

KERSTIN GIER

Trylogia czasu

# CZERWIEŃ RUBINU

Przekład  
Agata Janiszewska

Literacki  
EGMONT

Tytuł oryginału: *Rubinrot*

© 2009 by Arena Verlag GmbH, Wiirzburg

© for the Polish edition by Egmont Polska Sp. z o.o. Warszawa 2011

Redakcja: Anna Jutta-Walenko Korekta: Agnieszka Trzeszkowska, Anna Sidorek Projekt okładki:  
Katarzyna Borkowska

Wydanie pierwsze, Warszawa 2011 Wydawnictwo Egmont Polska Sp. z o.o. ul. Dzielna 60, 01-029  
Warszawa tel. 22 838 41 00 [www.egmont.pl/ksiazki](http://www.egmont.pl/ksiazki)

ISBN 978-83-237-3438-3

Skład i łamanie: Kątka, Warszawa Druk: Colonel, Kraków

*Dla losia, delfina i sowy, które tak wiernie towarzyszyły mi podczas pisania, i dla pewnego małego czerwonego piętrowego autobusu, który przyniósł mi szczęście dokładnie we właściwym czasie.*

## Prolog

*Hyde Park, Londyn 8 kwietnia 1912 roku*

Dziewczyna osunęła się na kolana i wybuchnęła płaczem. Towarzyszący jej chłopak rozejrzał się wokół. Tak jak się spodziewał, o tej porze park był zupełnie pusty. Moda na jogging miała nadejść dopiero wiele lat później, a dla śpiących na parkowych ławkach włóczęgów przykrytych jedynie gazetami było zbyt zimno.

Ostrożnie owinał chronograf chusteczką i schował go do plecaka.

Jego towarzyszka klęczała wśród przekwitłych krokusów pod jednym z drzew na północnym brzegu jeziora Serpentine. Ramiona jej drżały, a ciałem wstrząsał szloch, który brzmiał jak rozpaczliwy jęk zranionego zwierzęcia.

Nie mógł tego znieść, ale z doświadczenia wiedział, że lepiej będzie zostawić ją w spokoju. Usiadł więc obok na wilgotnej od rosy trawie, zapatrzył się w gładką niczym lustro powierzchnię wody i czekał. Czekał na to, by ból, który prawdopodobnie już nigdy do końca jej nie opuści, nieco zelżał.

Czuł się zresztą tak samo jak ona, ale starał się jakoś trzymać. Nie powinna martwić się jeszcze o niego.

- Czy wynaleźli już chusteczki higieniczne? - Pociągnęła w końcu nosem i zwróciła ku niemu twarz mokrą od łez.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Ale mogę ci zaoferować stylową chusteczkę z materiału, z monogramem.

- G.M. Czyżbyś ukradł ją Grace?

- Nie, sama mi ją dała. Możesz ją teraz zasmarkać, księżniczko.

Oddając mu chusteczkę, ściągnęła usta w krzywym uśmiešku.

- Jest teraz kompletnie do niczego. Przepraszam.
- Ach, co tam! W tych czasach wywiesza się je na słońcu, żeby wyschły, i używa jeszcze raz - powiedział. - Najważniejsze, że przestałaś płakać.  
W jej oczach natychmiast znów pojawiły się łzy.
- Nie powinniśmy byli tak jej zostawiać. Przecież ona nas potrzebuje! Wcale nie wiemy, czy nasz podstęp się uda, i nie mamy szansy kiedykolwiek się tego dowiedzieć.  
Jej słowa go zaboląły.  
Martwi zdalibyśmy się jej na jeszcze mniej.
- Gdybyśmy mogli się gdzieś ukryć wraz z nią, gdzieś za granicą, pod fałszywym nazwiskiem, do chwili kiedy będzie wystarczająco duża...
- Przerwał jej, energicznie potrząsając głową.
- Znaleźliby nas wszędzie, rozmawialiśmy już o tym tysiąc razy. Nie zostawiliśmy jej, wybraliśmy jedyne właściwe wyjście: umożliwiliśmy jej bezpieczne życie. Przynajmniej przez najbliższe szesnaście lat.  
Przez chwilę milczała. Gdzieś w oddali zarżał koń, a od strony West Carriage Drive dobiegły jakieś głosy, chociaż była jeszcze noc.
- Wiem, że masz rację - powiedziała w końcu. - Ale boli mnie świadomość, że już nigdy jej nie zobaczymy.  
Przeciagnęła dłonią po zapłakanych oczach.
- Przynajmniej nie będziemy się nudzić. Prędzej czy później wytropią nas również w tych czasach i naślą na nas Strażników. On nie zrezygnuje bez walki ani z chronografu, ani ze swoich planów.  
Uśmiechnął się, widząc w jej oczach błysk zainteresowania, i wiedział już, że kryzys minął.
- Może jednak byliśmy sprytniejsi niż on, a może na koniec okaże się, że ten drugi chronograf nie działa. Wtedy już się nie wydostanie.
- Byłoby wspaniale. Ale jeśli mu się uda, tylko my będziemy mogli pokrzyżować jego plany.
- I choćby dlatego zrobiliśmy to, co do nas należało. Wstał i otrzepał dzinsy.

- Chodź już! Ta przeklęta trawa jest wilgotna, a ty musisz o siebie dbać.

Pozwoliła, by podciągnął ją do góry i pocałował.

- I co teraz zrobimy? Znajdziemy kryjówkę dla chronografu? Zerknęła niezdecydowanie na most oddzielający Hyde Park

od Kensington Gardens.

- Tak. Ale najpierw opróżnimy skrytki Strażników i weźmiemy sobie pieniądze. A potem możemy pojechać pociągiem do Southampton. Stamtąd w środę wypływa w swój dziewiczy rejs „Titanic”.

Roześmiała się.

- Ach, więc tak rozumiesz dbanie o siebie! Ale i tak z tobą pojedę.

Był tak szczęśliwy, słysząc ponownie śmiech ukochanej, że natychmiast pocałował ją raz jeszcze.

- Pomyślałem sobie... Wiesz przecież, że kapitan na pełnym morzu ma prawo udzielić ślubu, prawda, księżniczko?

- Chcesz się ze mną ożenić? Na „Titanicu”? Zwariowałeś?

- To byłoby takie romantyczne!

- Owszem, gdyby nie ta góra lodowa!

Położyła mu głowę na piersi i wtuliła twarz w jego kurtkę.

- Tak bardzo cię kocham - wymruczała.

- Czy zostaniesz moją żoną?

- Tak - powiedziała, z twarzą ciągle ukrytą na jego piersi. - Ale tylko, jeśli wysiadziemy najpóźniej w Queenstown.

- Gotowa na kolejną przygodę, księżniczko?

- Gotowa, jeśli i ty jesteś gotów - odrzekła cicho.

*Niekontrolowaną podróż w czasie zapowiadają, występujące z reguły kilka minut, czasem też kilka godzin czy nawet dni wcześniej, zawroty głowy, mdłości i niekiedy drżenie nóg. Wielu nosicieli genu mówi także o migrenopodobnych bólach głowy. Pierwszy skok w czasie - nazywany również inicjacyjnym - ma miejsce między szesnastym a siedemnastym rokiem życia nosiciela genu.*

*Kroniki Strażników Tom II, Zasady ogólnie obowiązujące*

1 .

**Pierwszy** raz poczułam to w poniedziałek w południe w szkolnej stołówce. Przez moment ścisnęło mnie w brzuchu tak jak na górskiej kolejce, kiedy lecisz w dół z najwyższej położonego punktu. Trwało to tylko dwie sekundy, ale wystarczyło, żebym wywaliła sobie puree z sosem z talerza na mundurek. Sztucce z brzękiem upadły na podłogę, talerz udało mi się jeszcze przytrzymać.

- To i tak smakuje, jakby już raz było zbierane z podłogi -powiedziała moja przyjaciółka Leslie, podczas gdy ja usiłowałam uprzątnąć ten bałagan. Oczywiście wszyscy się na mnie gapili. - Jeśli chcesz, możesz sobie wysmarować bluzkę także moją porcją.

- Nie, dziękuję.

Góra od mundurka liceum Saint Lennox była wprawdzie przypadkiem tego samego koloru co puree z ziemniaków, ale plama i tak nieprzyjemnie kłuła w oczy. Zapięłam guziki granatowej bluzy, którą miałam na wierzchu.

- I co, mała Gwenny znowu bawi się jedzeniem? - odezwała się Cynthia Dale. - Tylko nie siadaj koło mnie, ofermo!

- W życiu nie usiadłabym koło ciebie z własnej woli, Cyn. Niestety, małe wypadki z jedzeniem zdarzały mi się w szkole dość często. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu zielony kisiel wyleciał mi /, aluminiowej foremki i wylądował dwa metry dalej w spaghetti carbonara jednego gościa z piątej klasy. Tydzień wcześniej wylat mi się sok wiśniowy i wszyscy przy stole wyglądali tak, jakby mieli ospę wietrzną. A ile razy zamoczyłam w sosie, soku czy mleku ten idiotyczny krawat, który był częścią mundurka, tego już nie zliczę.

Tyle że jeszcze nigdy dotąd mnie przy tym nie mdlilo.



Chociaż pewnie tylko to sobie wmówiłam. Ostatnio w naszym domu po prostu za dużo się mówi o mdłościach.

Ale nie moich, tylko mojej kuzynki Charlotty, która, jak zwykle śliczna i perfekcyjna, siedziała obok Cynthii i jadła łyżką puree.

Cała rodzina czekała na to, żeby Charlotte zemdlilo. W niektóre dni lady Arista - moja babka - dopytywała się co dziesięć minut, czy Charlotta coś czuje. Z przerw między tymi pytaniami korzystała ciotka Glenda, matka Charlotty, żeby zapytać do-kładnusięńko o to samo.

I za każdym razem kiedy Charlotta odpowiadała przecząco, lady Arista ściągała usta, a ciotka Glenda wzdychała. Czasami także na odwrót.

Pozostali - mama, moja siostra Caroline, mój brat Nick i cioteczna babka Maddy - przewracali oczami. Oczywiście posiadanie w rodzinie nosiciela genu podróży w czasie było ekscytujące, ale z upływem lat wyraźnie spowszedniało. Czasami po prostu mieliśmy dosyć tego teatru, jaki urządzano wokół Charlotty.

Sama Charlotta zwykle ukrywała swoje emocje za tajemniczym uśmiezkiem w stylu Mony Lisy. Na jej miejscu też bym nie wiedziała, czy brakiem mdłości mam się cieszyć, czy raczej martwić. No, szczerze mówiąc, pewnie bym się cieszyła. Byłam raczej typem strachajły. Wołałam mieć spokój.

- To się wydarzy prędzej czy później - powtarzała codziennie lady Arista. -I wtedy musimy być przygotowani.

No i faktycznie wydarzyło się po obiedzie, na lekcji historii z panem Whitmanem. Ze stołówki wyszłam głodna. Jakby tego wszystkiego było mało, w deserze - kompot z agrestu i pud-ding waniliowy - znalazłam czarny włos i nie byłam pewna, czy jest to mój włos, czy może kucharki. Tak czy owak, apetyt mi przeszedł.

Pan Whitman oddał nam klasówkę, którą pisaliśmy w zeszłym tygodniu.

- Widzę, że dobrze się przygotowaliście. Szczególnie Charlotta. Szóstka z plusem.

Charlotta odgarnęła z twarzy jeden ze swoich lśniących rudych kosmyków.

- Och - powiedziała, jakby wynik był dla niej zaskoczeniem, a przecież zawsze i ze wszystkiego dostawała najlepsze stopnie.

Ale także Leslie i ja mogłyśmy tym razem być zadowolone. Obie dostałyśmy szóstki z minusem, choć nasze przygotowanie polegało na obejrzeniu na DVD filmu o królowej Elżbiecie, z Cate Blanchett, i podjadaniu przy tym chipsów i lodów. Tyle że na historii zawsze uważałyśmy, co na innych przedmiotach niestety rzadziej się zdarzało.

Lekcje pana Whitmana były po prostu tak ciekawe, że nie dało się inaczej, jak tylko słuchać. Sam pan Whitman też był bardzo interesujący. Kochała się w nim, skrycie lub otwarcie, większość dziewczyn. Pani Counter, nauczycielka geografii, również. Gdy pan Whitman przechodził obok niej, zawsze czerwieniała jak burak. Ale rzeczywiście wyglądał zabójczo, co do tego wszystkie byłyśmy zgodne. To znaczy wszystkie prócz Leslie. Jej zdaniem pan Whitman przypominał wiewiórkę z kreskówki.

„Za każdym razem kiedy spogląda na mnie tymi wielkimi brązowymi oczami, mam ochotę dać mu orzecha” - powiedziała kiedyś. Doszła nawet do tego, że namolne wiewiórki w parku nazywała „panami Whitmanami”. I co zabawne, było to zaraźliwe i ja też zaczęłam mówić: „Zobacz tylko, taki grubiućki, mały pan Whitman, jaki śliczny!”, widząc zbliżającą się do nas w podskokach wiewiórkę.

Przez tę historię z wiewiórkami Leslie i ja byłyśmy z całą pewnością jedynymi dziewczynami w klasie, które nie durzyły się w panu Whitmanie. Ja wprawdzie od czasu do czasu próbowałam (choćby dlatego, że chłopcy w naszej klasie byli w sumie jeszcze dzieciakami), ale na nic się to nie zdawało, bo porównanie z wiewiórką nieodwołalnie zagnieździło się w mojej głowie. A jak tu pałać romantycznym uczuciem do wiewiórki?

Cynthia rozpuściła pogłoskę, że pan Whitman w czasie studiów pracował jako model. Na dowód wycięła z ilustrowanego pisma stronę z reklamą, na której mężczyzna, dość podobny do pana Whitmana, namydła! się żelem pod prysznic.

Prócz Cynthii nikt nie wierzy!, że to pan Whitman jest tym facetem od żelu. Bo tamten miał dołek w podbródku, a pan Whitman nie.

Chłopakom z naszej klasy pan Whitman niezbyt się podobał. A Gordon Gelderman wręcz go nie znosił. Bo zanim pan Whitman trafił do naszej szkoły, wszystkie dziewczyny z naszej klasy kochały się w Gordonie. Ja też, muszę się niestety do tego przyznać, ale miałam wtedy jedenaście lat, a Gordon był całkiem ładny. Teraz, w wieku szesnastu lat, był już tylko głupi. A od dwóch lat przechodził nieustającą mutację. Niestety, piski na przemian z buczeniem nie powstrzymywały go od ciągłego wygadywania głupot.

Strasznie się zdenerwował pałą z klasówki.

- To jest dyskryminacja, proszę pana. Zasłużyłem co najmniej na czwórkę. Nie może mi pan stawiać złych stopni tylko dlatego, że jestem chłopakiem.

Pan Whitman wyjął klasówkę z rąk Gordona i przewrócił stronę.

- „Elżbieta I była tak okropnie brzydka, że nie mogła znaleźć męża. Dlatego wszyscy nazywali ją brzydką dziewicą” - odczytał na głos.

Klasa zachichotała.

- No i co? Przecież to prawda - bronił się Gordon. - Wyłupiaste oczy, zaciśnięte usta, a już na pewno kretyńska fryzura.

Musieliśmy gruntownie przestudiować malowidła przedstawiające Tudorów w National Portrait Gallery i faktycznie, na tych obrazach Elżbieta I nie bardzo przypominała Cate Blanchett. Ale po pierwsze, w tamtych czasach uważano wąskie usta i spiczaste nosy za bardzo szykowne, a po drugie, ciuchy były naprawdę super. Po trzecie, Elżbieta I nie miała wprawdzie męża, ale miała za to masę romansów - między innymi z tym... no, jakżeż on się nazywa!? W filmie gra! go Clive Owen.

- To ona sama nazywała siebie Królową Dziewicą - wyjaśnił Gordonowi pan Whitman. - A to dlatego, że... - urwał. - Charlottto, źle się czujesz? Boli cię głowa?

Wszyscy spojrzeli na Charlottę, która obiema rękami trzymała się za głowę.

- Tylko mnie... mdli - powiedziała i spojrzała na mnie. - Wszystko wokół wiruje.

Wzięłam głęboki oddech. A więc stało się. Babcia będzie zachwycona. A co dopiero ciotka Glenda.

- Suuuper - szepnęła Leslie obok mnie. - Czy teraz stanie się przezroczysta?

Choć lady Arista od najmłodszych lat wpajała nam, byśmy pod żadnym pozorem nie rozmawiali o tym, co dzieje się w naszej rodzinie, sama podjęłam decyzję, by dla Leslie zakaz ten złamać. W końcu była moją najlepszą przyjaciółką, a najlepsze przyjaciółki nie mają przed sobą tajemnic.

Charlotta po raz pierwszy, odkąd ją znałam (co, ściśle biorąc, oznaczało całe moje życie), sprawiała wrażenie niemal bezradnej. Ja za to wiedziałam, co mam robić. Ciotka Glenda wystarczająco wiele razy mi to powtarzała.

- Zaprowadzę Charlotte do domu - zwróciłam się do pana Whitmana i wstałam. - Jeśli się pan zgodzi.

Wzrok pana Whitmana w dalszym ciągu spoczywał na Char-lotcie.

- Uważam, że to dobry pomysł, Gwendolyn - powiedział. - Życzę ci powrotu do zdrowia, Charlotta.

- Dziękuję - odrzekła Charlotta.

W drodze do drzwi zataczała się lekko.

- Idziesz, Gwenny?

Pospiesznie ujęłam ją za ramię. Po raz pierwszy w obecności Charlotty poczułam się ważna. To było miłe, dla odmiany poczuć się komuś potrzebnym.

- Koniecznie do mnie zadzwoń i wszystko mi opowiedz -szepnęła mi jeszcze Leslie.

Za drzwiami Charlotta odzyskała zwykłą energię. Oczywiście chciała jeszcze zabrać z szafki swoje rzeczy. Przytrzymałam jej ramię.

- Zostaw to, Charlotta. Musimy jak najszybciej znaleźć się w domu. Lady Arista powiedziała...

- Już mi przeszło - powiedziała Charlotta.

- No i co z tego? To się może zdarzyć w każdej chwili. Charlotta dała się pociągnąć w drugą stronę.

- Gdzie ja mam kredę? - Idąc, grzebałam w kieszeni kurtki. - O, tu jest. I komórka. Mam zadzwonić do domu? Boisz się? Och, głupie pytanie, przepraszam. Jestem zdenerwowana.

- Już dobrze. Nie boję się.

Spojrzałam na nią z boku, chcąc sprawdzić, czy nie kłamie. Przywdziała swój zamyślony uśmiezek Mony Lisy i nie było widać, jakie kryją się za nim uczucia.

- Mam zadzwonić do domu?

- A co to da? - odpowiedziała pytaniem Charlotta.

- Pomyślałam tylko...

- Myślenie możesz spokojnie pozostawić mnie - burknęła. Ramię w ramię zbiegłyśmy po schodach, w kierunku wnęki, w której zawsze siedział James. Natychmiast wstał, kiedy nas zobaczył, ale ja tylko się do niego uśmiechnęłam. Problem z Jamesem polegał na tym, że oprócz mnie nikt go nie widział ani nie słyszał.

James był duchem. Dlatego unikałam rozmów z nim, kiedy nie byłam sama. Wyjątek robiłam tylko dla Leslie. Ona nawet przez sekundę nie wątpiła w istnienie Jamesa. Leslie zawsze mi wierzyła i to był jeden z powodów, dla których była moją najlepszą przyjaciółką. Strasznie żałowała, że nie może zobaczyć ani usłyszeć Jamesa.

A ja się właściwie z tego cieszyłam, bo pierwsze słowa, jakie na jej widok powiedział James, brzmiały: „Boże w niebiesiech! To biedne dziecko ma więcej piegów, niż jest gwiazd na niebie! Jeśli jak najszybciej nie zaczniesz smarować się dobrym płynem wybielającym, nigdy nie znajdziesz sobie męża!”.

„Zapytaj go, czy może gdzieś nie zakopał skarbu?” - tak natomiast brzmiało pierwsze pytanie Leslie, kiedy ich sobie przedstawiłam.

Niestety, James nigdzie nie zakopał skarbu. Był dość urażony, że Leslie go o to posądziła. Był też zawsze urażony, gdy zachowywałam się tak, jakbym go nie widziała. W ogóle bardzo łatwo się obrażał.

„Czy on jest przezroczysty? - spytała Leslie podczas tego pierwszego spotkania. - A może czarno-biały?”.

Nie, James właściwie wyglądał zupełnie normalnie. Z wyjątkiem ciuchów, rzecz jasna.

„Możesz przez niego przejść na wskroś?”.

„Nie wiem, nigdy nie próbowałam”.

„To spróbuj” - zaproponowała Leslie.

Ale James nie zamierzał pozwolić na to, żebym przez niego przeszła.

„Co to ma znaczyć: duch?! - obruszył się. - James August Pere-grin Pimplebottom, spadkobierca czternastego hrabiego Hards-dale, nie pozwoli się obrażać nawet małym dziewczynom”.

Podobnie jak wiele duchów nie chciał przyjąć do wiadomości, że nie jest już człowiekiem. Po prostu nie pamiętał, że umarł. Zналиśmy się już od pięciu lat, od mojego pierwszego dnia w liceum Saint Lennox, ale Jamesowi zdawało się, że zaledwie parę dni temu grał z przyjaciółmi w karty i plół androny o koniach, sztucznych pieprzykach i perukach (nosi! jedne i drugie, pieprzyki i peruki, choć wyglądało to lepiej, niż teraz brzmi). To, że od początku naszej znajomości urosłam dwadzieścia centymetrów, że dorobiłam się aparatu na zębach i biustu, rozmyślnie ignorował. Podobnie jak fakt, że miejski pałac jego ojca przerobiono na prywatną szkołę, z bieżącą wodą, światłem elektrycznym i centralnym ogrzewaniem. Jedynym, co zdawał się od czasu do czasu rejestrować, była długość spódniczek szkolnych mundurków. Najwyraźniej widok damskich łydek i kostek należał w jego czasach do prawdziwych rzadkości.

- To niezbyt uprzejmie ze strony damy nie ukłonić się komuś wyżej postawionemu, panno Gwendolyn - zawołał teraz, znowu porządnie wkurzony, bo nie zwróciłam na niego uwagi.

- Wybacz. Spieszmy się - powiedziałam.

- Jeśli mógłbym w jakiś sposób być pomocny, jestem do dyspozycji. - James wygładził sobie koronkowe mankiety.

- Wielkie dzięki, ale nie. Musimy szybko znaleźć się w domu. - Tak jakby James mógł być nam w czymkolwiek pomocny! Nawet nie potrafił otworzyć drzwi. - Charlotta źle się czuje.

- Och, bardzo mi przykro - odrzekł James, który miał słabość do Charlotty. Uważał, że moja kuzynka, w przeciwieństwie do „pieguski bez manier”, jak zwykł nazywać Leslie, jest „zniewalająca i obdarzona czarującym wdziękiem”. Dzisiaj też zasypał ją pochlebstwami. - Proszę,

przekaż jej moje najlepsze życzenia. I powiedz jej, że dziś znowu wygląda zachwycająco. Nieco blado, ale uroczo niczym nimfa.

- Powiem.

Przestali rozmawiać ze swoim wyimaginowanym przyjacielem - odezwała się Charlotta. - Bo w końcu wylądujesz w domu wariatów.

No dobra, to jej nie powiem. I bez tego jest wystarczająco zarozumiała.

- James nie jest wyimaginowany, on jest niewidzialny. To chyba wielka różnica!

- Skoro tak twierdzisz - mruknęła Charlotta.

Obie z ciotką Glendą były zdania, że wymyśliłam Jamesa i inne duchy, aby pokazać, jaka jestem ważna. Żałowałam, że im o tym kiedyś powiedziałam. Ale gdy byłam mała, nie umiałam nie mówić o gargulcach, które ożywały i na moich oczach tańczyły na tle fasad domów, i stroiły do mnie miny. Gargulce były zabawne, ale widziałam też okropne, mroczne sylwetki duchów, które wzbudzały we mnie strach. Upłynęło kilka lat, zanim pojęłam, że duch nie może mi nic zrobić. Jedyne, co duch może zrobić, to napędzić człowiekowi stracha.

Oczywiście nie James. On był zupełnie niegroźny.

- Zdaniem Leslie to dobrze, że James umarł tak młodo. Z nazwiskiem Pimplebottom i tak nie znalazłby sobie żony - powiedziałam, upewniwszy się najpierw, że James już nas nie słyszy. - No bo kto chciałby nosić nazwisko Pryszczaty Tyłek? To okropne!

Charlotta przewróciła oczami.

- Tak czy owak, wcale nie wygląda źle - ciągnęłam. - I jest obrzydliwie bogaty, o ile można mu wierzyć. Tylko ten jego zwyczaj nieustannego podtykania sobie pod nos wyperfumowanej koronkowej chusteczki jest mało męski.

- Jaka szkoda, że nikt prócz ciebie nie może go podziwiać - powiedziała Charlotta.

Też byłam tego zdania.

- I jak to głupio, że rozpowiadasz o swoich dziwactwach poza rodziną - dodała.

To był znowu taki typowy dla Charlotty cios poniżej pasa. Miał mnie zboleć i niestety zabolął.

- Nie jestem dziwaczką!

- Oczywiście, że jesteś!

- I kto to mówi? Ty, nosicielka genu?

- Ale nie paplam o tym na lewo i prawo - zauważyła Charlotta. - A ty zachowujesz się zupełnie jak ta stuknięta ciotka Maddy. Ona nawet mleczarzowi opowiada swoje wizje.

- Jesteś bezczelna.

- A ty naiwna.

Kłócąc się, przemierzyliśmy hol, minęliśmy przeszkloną kan-ciapę szkolnego konserwatora i wyszliśmy na dziedziniec. Wiał wiatr, a niebo wyglądało tak, jakby zaraz miał lunąć deszcz. Żałowałam, że nie zabrałam naszych rzeczy z szafek. Płaszcz by się teraz przydał.

- Przepraszam cię za to porównanie z ciotką Maddy. -W głosie Charlotty zabrzmiała nuta skruchy. - Chyba jestem trochę podekscytowana.

Zaskoczyła mnie. Dotąd nigdy nie przeproszała.

- Rozumiem - powiedziałam szybko. Niech wie, że potrafię docenić jej przeprosiny. W rzeczywistości o zrozumieniu nie mogło być nawet mowy. Na jej miejscu trzęsłabym się ze strachu. Wprawdzie też byłabym podekscytowana, ale mniej więcej tak jak w czasie wizyty u dentysty. - Poza tym lubię ciotkę Maddy.

To była prawda. Cioteczna babka Maddy była wprawdzie odrobinę gadatliwa i miała skłonność do powtarzania wszystkiego po cztery razy, ale zdecydowanie wołałam to niż wielce tajemnicze miny pozostałych. Poza tym ciotka zawsze szczerze rozdzielała między nas cytrynowe cukierki. Ale Charlotta miała w nosie cytrynowe cukierki.

Przeszliśmy przez ulicę i dalej szybko podążaliśmy chodnikiem.

- Nie zezuj tak na mnie - burknęła Charlotta. - Zauważysz, kiedy zniknę. Wtedy narysujesz kredą ten swój dumny krzyżyk i polecisz do domu. Ale to się wcale nie wydarzy, nie dziś.

- A skąd to możesz wiedzieć? Jesteś ciekawa, gdzie wylądujesz? To znaczy kiedy?



- Oczywiście.
- Miejmy nadzieję, że nie w środku wielkiego pożaru w 1664 roku.
- Wielki pożar Londynu miał miejsce w 1666 roku - powiedziała Charlotta. - Doprawdy, łatwo to zapamiętać. Poza tym ta część miasta nie była wtedy zbyt zabudowana, a więc nic się tu nie paliło.

Mówiłam już, że Charlotta na drugie i trzecie imię miała „ponurak” i „przemądrzalec”?

Nie odpuszczałam jednak. Może i było to bezczelne, ale chciałam, choć na krótką chwilę, zetrzeć jej z twarzy ten durnowaty uśmieszek.

- Te mundurki pewnie palą się jak słoma - zauważyłam mimochodem.
- Wiedziałyby, co robić - rzuciła krótko Charlotta, nie przestając się uśmiechać.

Nie miałam innego wyjścia, jak tylko podziwiać jej opanowanie. Mnie wizja nagłego wylądowania w przeszłości po prostu przerażała.

Nieważne, w jakich czasach, przecież dawniej zawsze było okropnie. Co parę lat wybuchała jakaś wojna albo ospa czy inna zaraza, wystarczyło powiedzieć jedno fałszywe słowo, a już ogłaszali cię czarownicą i palili na stosie. Poza tym były tylko zwyczajne wychodki, wszyscy ludzie mieli pchły, a rankiem opróżniali zawartość nocników przez okna, nie zważając, czy ktoś nie idzie ulicą.

Charlotte przez całe życie przygotowywano do tego, by umiała odnaleźć się w przeszłości. Nigdy nie miała czasu na zabawę, na koleżanki, na chodzenie po sklepach, na kino czy chłopaków. Zamiast tego pobierała lekcje tańca, fechtunku i jazdy konnej, uczyła się języków i historii. Poza tym od roku w każdą środę po południu wyjeżdżała gdzieś z lady Aristą i ciotką Glendą i wracały dopiero późnym wieczorem. Nazywały to „nauką misteriów”. Jednak nikt nie chciał nam powiedzieć, co to są za misteria, a już najmniej sama Charlotta.

„To jest tajemnica” - tak prawdopodobnie brzmiało pierwsze zdanie, które płynnie wypowiedziała. I zaraz potem: „To nie wasza sprawa”.

Leslie zawsze mówiła, że nasza rodzina ma pewnie więcej tajemnic niż wywiad brytyjski w całej swojej historii. Bardzo możliwe, że miała rację.

Zwykle wracałyśmy do domu autobusem, przystanek linii numer 8 znajdował się przy Berkeley Square, a stamtąd do naszego domu było już niedaleko. Dziś te cztery przystanki pokonałyśmy pieszo, zgodnie z zarządzeniem ciotki Glendy. Przez chwilę ścisnęłam w dłoni kawałek kredy, ale Charlotta ciągle była obok mnie.

Kiedy wspięłyśmy się na schody przed drzwiami wejściowymi, byłam niemal rozczarowana. Tu bowiem kończył się mój udział w całej tej historii. Odtąd sprawę miała przejąć moja babka.

Pociągnęłam Charlotte za rękaw.

- Zobacz! Ten człowiek w czerni znowu tu jest.

- No i co z tego? - Charlotta nawet nie spojrzała. Mężczyzna stał naprzeciwko, przed wejściem do domu pod

numerem 18. Jak zawsze miał na sobie czarny płaszcz i kapelusz zsunięty na oczy. Myślałam, że jest duchem, dopóki się nie zorientowałam, że moje rodzeństwo i Leslie też go widzą.

Od miesięcy na okrągło obserwował nasz dom. Możliwe, że tych mężczyzn było więcej, że się zmieniali i że wyglądali tak samo. Sprzeczaliśmy się, czy są włamywaczami na przeszpiegach, prywatnymi detektywami czy złymi czarownikami. O tym ostatnim święcie przekonana była moja siostra Caroline. Miała dziewięć lat i uwielbiała historie o złych czarownikach i dobrych wrózkach. Mój brat Nick miał dwanaście lat i uważał historie o czarownikach i wrózkach za głupoty, dlatego obstawiał włamywaczy. Leslie i ja byłyśmy za prywatnymi detektywami.

Jednak kiedy przechodziliśmy na drugą stronę, aby przyjrzeć się temu człowiekowi z bliska, on albo zniknął w domu, albo wsiadał do czarnego bentleya zaparkowanego przy krawężniku i odjeżdżał.

„To czarodziejski samochód - twierdziła Caroline. - Kiedy nikt nie patrzy, zamienia się w kruka. A ten mężczyzna w czerni staje się bardzo małym ludzikiem i wznosi się na jego grzbiecie w przestworza”.

Nick zapisał sobie numery rejestracyjne bentleya, na wszelki wypadek. „Chociaż po skoku na pewno przemalują go na inny kolor i założą nowe tablice rejestracyjne” - powiedział.

Dorośli zachowywali się tak, jakby nie widzieli niczego podejrzanego w tym, że ubrany na czarno mężczyzna w kapeluszu obserwuje ich noc i dzień.

Charlotta również. „Czego się czepiacie tego biednego człowieka? - mówiła. - On tam po prostu pali papierosa, to wszystko”.

No jasne! Już raczej skłonna byłam uwierzyć w wersję z zaczarowanym krukiem.

Zaczęło padać. Dobrze, że dopiero teraz.

- Może przynajmniej znowu jest ci niedobrze? - zapytałam, kiedy czekałyśmy, aż otworzą nam drzwi, bo nie miałyśmy swoich kluczy.

- Nie rób takiej afery - powiedziała Charlotta. - Zdarzy się, kiedy będzie się miało zdarzyć.

Drzwi otworzył nam pan Bernhard. Leslie uważała, że pan Bernhard jest naszym lokajem i stanowi ostateczny dowód na to, że jesteśmy prawie tak bogaci jak królowa albo Madonna. Nie wiedziałam dokładnie, kim lub czym jest pan Bernhard. Dla mojej mamy był „powiernikiem babki”, a sama babka nazywała go „starym przyjacielem rodziny”. Dla mnie i mojego rodzeństwa był po prostu „tajemniczym służącym lady Aristy”.

Na nasz widok uniósł brwi.

- Dzień dobry panu - powiedziałam. - Paskudna pogoda, nieprawdaż?

- Absolutnie paskudna.

Z tym swoim haczykowatym nosem i brązowymi oczami, które patrzyły zza okrągłych złotych okularów, pan Bernhard przypominał mi zawsze sowę, a ściślej: puchacza.

- Wychodząc z domu, należy koniecznie włożyć płaszcz.

- Ehm, zapewne należy - zgodziłam się.

- Gdzie jest lady Arista? - spytała Charlotta.

Nigdy nie była nadmiernie uprzejma wobec pana Bernharda. Może dlatego, że w przeciwieństwie do reszty dzieci nigdy nie czuła przed nim żadnego respektu. Pan Bernhard miał przerażającą

zdolność nagłego wyłaniania się znikąd w każdym zakątku domu. Poruszał się przy tym cicho jak kot. Zdawało się, że nic nie ujdzie jego uwagi - niezależnie od pory dnia czy nocy on był obecny zawsze.

Pan Bernhard mieszkał w naszym domu, jeszcze zanim się urodziłam, a moja mama mówiła, że mieszkał nawet wtedy, kiedy ona była małą dziewczynką. Dlatego pan Bernhard miał prawdopodobnie tyle lat co lady Arista, choć może na tyle nie wyglądał. Zajmował apartament na drugim piętrze, a wchodziło się tam przez oddzielny korytarz schodami z pierwszego piętra. Nawet progu tego korytarza nie wolno nam było przestąpić.

Mój brat utrzymywał, że pan Bernhard zamontował tam drzwi spustowe i różne inne cuda, by odciąć drogę nieproszonym gościom. Nie miał na to jednak żadnego dowodu. Żadne z nas nigdy nie odważyło się zapuścić w ten korytarz.

„Pan Bernhard potrzebuje swojej sfery prywatności” - powtarzała często lady Arista.

„Tak, tak, to by się przydało każdemu z nas” - mówiła wtedy mama, ale tak cicho, że lady Arista tego nie słyszała.

- Wasza babcia jest w pokoju muzycznym - poinformował Charlotte pan Bernhard.

- Dziękuję.

Charlotta zostawiła nas przy drzwiach i pobiegła na górę. Pokój muzyczny znajdował się na pierwszym piętrze i nikt nie wiedział, dlaczego go tak nazwano. Nie było tam nawet fortepianu.

Było to ulubione pomieszczenie lady Aristy i ciotecznej babki Maddy. W powietrzu unosiła się woń fiołkowych perfum i dymu z cygaretek lady Aristy. Wietrzono tu o wiele za rzadko. Po dłuższym pobycie w tym pokoju robiło się człowiekowi niedobrze.

Pan Bernhard zamknął drzwi wejściowe, ale zdążyłam jeszcze szybko zerknąć na drugą stronę ulicy. Mężczyzna w kapeluszu ciągle tam stał. Czy mi się zdawało, czy właśnie podniósł rękę, jakby do kogoś machał? Może do pana Bernharda, a może do mnie...?

Drzwi się zatrzasnęły, a ja nie zdołałam dokończyć tej myśli, bo nagle w żołądku znowu odezwało się tamto uczucie z górskiej kolejki. Wszystko rozmyło mi się przed oczami. Kolana ugięły się pode mną i musiałam oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

Po chwili jednak wszystko minęło.

Serce biło mi jak oszalałe. Coś było ze mną nie tak. Bez górskiej kolejki człowiekowi nie robi się przecież niedobrze dwa razy w ciągu dwóch godzin.

A może... ach, co za bzdury! Prawdopodobnie za szybko ro-słam. A może miałam... hmmm... guza mózgu? Albo po prostu byłam głodna?

T.ik, pewnie o to chodziło. Od śniadania nic nie jadłam, bo ohiad wylądował na mojej bluzce. Odetchnęłam z ulgą.

Dopiero teraz spostrzegłam, że sowie oczy pana Bernharda przyglądają mi się z uwagą.

- Hopla - powiedział po dłuższej chwili. Czułam, jak oblewam się rumieńcem.

- To ja już pójdę... odrabiać lekcje.

Pan Bernhard z całkowitą obojętnością skinął głową. Ale idąc w górę po schodach, czułam na plecach jego wzrok.

*Kroniki Strażników 10 października 1994 roku*

*Powrót z Durham, gdzie byłem w odwiedzinach u najmłodszej córki lorda Montrose, Grace Shepherd, która ku zaskoczeniu wszystkich już przedwczoraj wydała na świat córkę. Wszyscy cieszymy się z narodzin*

*Gwendolyn Sophie Elisabeth Shepherd 2460g, 52 cm*

*Matka i dziecko czują się dobrze. Najserdeczniejsze gratulacje dla Wielkiego Mistrza z okazji narodzin jego piątej wnuczki.*

Raport: Thomas George, Krag Wewnętrzny

2.

**Leslie** nazywała nasz dom „wytwornym pałacem” ze względu na dużą liczbę pokoi, malowidła, boazerie i antyki. Podejrzewała, że za każdą ścianą znajduje się tajne przejście, a w każdej szafie jest przynajmniej jedna skrytka. Kiedy byliśmy młodsze, zawsze gdy mnie odwiedzała, wybierałyśmy się na odkrywczą wędrowkę po domu. To, że surowo zabraniano nam węszenia po kątach, sprawiało, że te wędrowki były jeszcze bardziej ekscytujące. Wypracowywałyśmy coraz zmyślniejsze strategie, żeby nas nie przyłapano. Z biegiem czasu rzeczywiście znalazłyśmy kilka skrytek, a nawet jedne tajemne drzwi. Znajdowały się na klatce schodowej, za obrazem przedstawiającym brodatego otylego mężczyznę na koniu, z obnażoną szpadą i ponurym spojrzeniem.

Ów ponury mężczyzna był, według informacji ciotecznej babki Maddy, moim praprapradziadkiem o imieniu Hugh, a jego kasztanka nosiła imię Gruba Andzia. Przejście za obrazem prowadziło wprawdzie tylko kilka schodków w dół, do łazienki, ale i tak na swój sposób było tajemne.

„Ale z ciebie szczęściara, że możesz tu mieszkać” - powtarzała zawsze Leslie.

Moim zdaniem to raczej Leslie była szczęściarą. Mieszkała z mamą, tatą i kudłatym psem o imieniu Bertie w przytulnej czynszówce w północnym Kensington. Nie było tam żadnych tajemnic, żadnych niezwykłych służących i żadnych wkurzających krewnych.

Dawniej my też mieszkaliśmy w takim domu, mama, tato, moje rodzeństwo i ja, w małym domu w Durham w północnej Anglii. Ale potem tato umarł. Moja siostra miała wtedy pół roku i mama wraz z nami przeniosła się do Londynu, pewnie dlatego, że czuła się samotna. Być może również nie starczało jej pieniędzy.

Mama dorastała w tym domu razem ze swoim rodzeństwem, Glendą i Harrym. Tylko wuj Harry nie mieszkał w Londynie -wraz z żoną osiadł w Gloucestershire.

Na początku ten dom mnie też, tak jak Leslie, wydawał się pałacem. Ale kiedy trzeba dzielić pałac z liczną rodziną, po pewnym czasie przestaje się wydawać aż taki wielki. Poza tym była w nim masa niepotrzebnych pomieszczeń, takich jak sala balowa na parterze, ciągnąca się przez całą szerokość domu.

Świetnie by się tu jeździło na deskorolce, ale to było zabronione. Sala była piękna, miała wysokie okna, sztukaterie na suficie i żyrandole, ale za mojego życia nie odbył się tu żaden bal ani nawet większa uroczystość czy impreza.

W tej sali balowej odbywały się jedynie lekcje tańca Charlotty i jej nauka fechtunku. Antresola dla muzyków, na którą wchodziło się z holu po schodach, była zbędna niczym kokłusz. Może przydawała się tylko Caroline i jej przyjaciółkom, które w czasie zabawy w chowanego anektowały ciemne kąty pod schodami prowadzącymi stąd na pierwsze piętro.

Na pierwszym piętrze znajdował się wspomniany już pokój muzyczny, poza tym pokoje lady Aristy i ciotecznej babki Maddy, łazienka (ta z tajemnymi drzwiami) oraz jadalnia, w której co wieczór o godzinie ósmej cała rodzina musiała gromadzić się przy kolacji. Między jadalnią a kuchnią, położoną dokładnie pod nią, kursowała staromodna winda, którą dla zabawy wozili się w górę i w dół Nick i Caroline, choć oczywiście było to surowo zabronione. Leslie i ja też to wcześniej robiłyśmy, potem jednak niestety przestałyśmy się do niej mieścić.

Na drugim piętrze znajdowało się mieszkanie pana Bernharda, gabinet mojego zmarłego dziadka, lorda Montrose, i ogromna biblioteka. Na tym piętrze, za rogiem, był także pokój Charlotty, z wykuszem, którym chętnie się pyszniła. Jej matka zajmowała salon i sypialnię z oknami wychodzącymi na ulicę.

Ciotka Glenda rozwiodła się z ojcem Charlotty, który wraz z nową żoną mieszkał gdzieś w hrabstwie Kent. Prócz pana Bernharda w domu nie było więc żadnego innego mężczyzny, chyba że za mężczyznę uznaloby się mojego brata. Zwierząt domowych też nie było, choć usilnie o nie błagaliśmy. Lady Arista nie lubiła zwierząt, a ciotka Glenda miała uczulenie na wszystko, co było porośnięte sierścią.



Moja mama, moje rodzeństwo i ja mieszkaliśmy na trzecim piętrze, na poddaszu z licznymi skosami; były tam jednak również dwa małe balkony. Każde z nas zajmowało niewielki pokój, a Charlotta zazdrościła nam dużej łazienki, bo ta na drugim piętrze nie miała okna, nasza zaś miała aż dwa. Ale ja lubiłam przebywać na naszym piętrze również dlatego, że mama, Nick, Caroline i ja byliśmy tu w swoim gronie, co w tym domu wariatów bywało czasem prawdziwym dobrodziejstwem.

Wadą natomiast była ogromna odległość od kuchni, co znów uświadomiłam sobie z przykrością, docierając na górę. Trzeba by to wziąć choćby jabłko. A tak musiałam zadowolić się maślanymi herbatnikami z zapasów, które mama zgromadziła w kredensie.

Z czystej obawy przed powrotem mdłości zjadłam aż jedenaście herbatników. Zdjęłam buty i kurtkę, opadłam na sofę w szwalni i wyciągnęłam się jak długa.

Dziś wszystko było jakieś dziwne. To znaczy jeszcze dziwniejsze niż zwykle.

Była dopiero druga. Zanim będę mogła zadzwonić do Leslie i pogadać z nią o moich problemach, upłynie co najmniej półtorej godziny. Rodzeństwo też nie wróci ze szkoły przed czwartą, a mama kończy pracę dopiero koło piątej. Zwykle uwielbiałam być sama w domu. Mogłam się w spokoju wykapać i nikt nie dobijał się w tym czasie do łazienki, chcąc skorzystać z toalety. Mogłam nastawić muzykę i głośno śpiewać sobie do niej. I mogłam oglądać w telewizji, co chciałam, i nikt nie jęczał mi nad uchem, że „zaraz będzie *Bob Budowniczy*”.

Ale dziś na żadną z tych rzeczy nie miałam ochoty. Nawet nie chciało mi się zdrzemnąć. Wręcz przeciwnie, sofa - zwykle miejsce niedoścignionego poczucia bezpieczeństwa - wydawała mi się teraz chwiejną tratwą na rwącej rzece. Bałam się, że wraz ze mną popłynie w dal, kiedy tylko zamknę oczy.

Aby pozbyć się tych natrętnych myśli, wstałam i zaczęłam trochę porządkować szwalnię. Była ona czymś w rodzaju naszego nieoficjalnego salonu, bo szczęśliwym trafem ani ciotki, ani moja babka niczego nie szyły i dlatego nadzwyczaj rzadko pojawiały się na trzecim piętrze. Zresztą brakowało tu nawet maszyny do szycia. Za to ze szwalni prowadziły na dach wąskie schody. Przeznaczone były wyłącznie dla kominiarza, ale Leslie i ja wybrałyśmy sobie dach na jedną z

naszych ulubionych kryjówek. Rozciągał się stamtąd cudowny widok i nie było lepszego miejsca na dziewczynskie rozmowy (na przykład o chłopakach i o tym, że nie znamy żadnego, w którym warto byłoby się zakochać).

Oczywiście mogło to być trochę niebezpieczne, bo nie było lam balustrady, tylko sięgające kolan zdobienie kalenicy z galwanizowanego żelaza. Ale w końcu nie musiałyśmy tam koniecznie ćwiczyć skoku w dal ani tańczyć do upadłego. Klucz do drzwi na dach spoczywał w kredensie, w cukiernicy w różyczki. W mojej rodzinie nikt nie wiedział, że znam tę skrytkę, w przeciwnym razie na pewno rozpętałyby się piekło. Dlatego zawsze bardzo uważałam, żeby nikt nie zobaczył, jak przekradam się na dach. Można się tam było też opalać, urządzać pikniki albo po prostu się schować, gdy chciało się mieć święty spokój. Jak mówiłam, często tego chciałam, ale akurat nie teraz.

Poskładałam koce, zmiotłam z sofy okruchy herbatników, przetrzepałam poduszki, nadając im właściwy kształt, i schowałam do pudełka porozrzucane wokół figury szachowe. Nawet podlałam azalię w doniczce stojącej na sekretarzyku w kącie i wilgotną ściereczką wytarłam stolik koło sofy. Potem rozejrzałam się po wysprzątanym już idealnie pokoju. Minęło dokładnie dziesięć minut, a mnie brakowało towarzystwa jeszcze bardziej niż przedtem.

Ciekawe, czy w pokoju muzycznym Charlotta znowu poczuła mdłości. Co się właściwie dzieje, kiedy przeskakuje się z domu w Mayfair w XXI wieku do, powiedzmy, XV wieku, kiedy w tym miejscu nie było jeszcze żadnych domów albo stało tylko kilka? Zawisało się w powietrzu, a potem spadało jak kamień siedem metrów w dół? Może lądowało się w mrowisku? Biedna Charlotta. Ale może w czasie tej tajemniczej nauki misteriów nauczono ją latać?

A propos misteriów: nagle wpadło mi do głowy, jak zacząć myśleć o czymś innym. Poszłam do pokoju mamy i wyrztałam na dół, na ulicę. Mężczyzna w czerni wciąż stał przed wejściem do domu pod numerem 18. Widziałam jego nogi i kawałek płaszcza. Jeszcze nigdy wysokość trzech pięter nie wydawała mi się tak gigantyczna. Dla żartu wyliczyłam sobie, ile metrów dzieli mnie od ziemi.

Czy w ogóle można przeżyć upadek z wysokości czternastu metrów? No, może gdyby człowiek miał szczęście i spadł na bagniste podłoże? Podobno dawniej cały Londyn rozciągał się na bagnach, tak przynajmniej twierdziła pani Counter, nasza nauczycielka geografii. Bagna były w porządku, przynajmniej wylądowałyby się miękko. Niestety tylko po to, by następnie marnie skończyć w szlamie.

Przełknęłam ślinę. Moje własne myśli przejmowały mnie grozą.

Aby nie być już dłużej sama, postanowiłam złożyć wizytę moim krewnym w pokoju muzycznym, nawet biorąc na siebie ryzyko, że odeślą mnie z powrotem ze względu na ściśle tajne rozmowy.

Gdy weszłam do pokoju, cioteczna babka Maddy siedziała pod oknem na swym ulubionym fotelu, Charlotta zaś stała przy drugim oknie, opierając się o biurko w stylu Ludwika XIV, którego barwnie polakierowanej i złoconej powierzchni nie wolno nam było dotykać pod żadnym pozorem, żadną częścią ciała (nie do wiary, że coś tak koszmarnego jak to biurko mogło być tak wartościowe, jak to utrzymywała lady Arista. Nawet nie miało skrytek, stwierdziłyśmy to z Leslie już wiele lat temu). Charlotta przebrała się i zamiast szkolnego mundurka miała teraz na sobie ciemnoniebieską sukienkę, która wyglądała jak połączenie koszuli nocnej, szlafroka i mnisiego habitu.

- Jak widzisz, ciągle jeszcze tu jestem - odezwała się.

- To... to świetnie - odrzekłam, starając się nie gapić z nadmiernym przerażeniem na jej strój.

- To jest nie do zniesienia - powiedziała ciotka Glenda, chodząc od jednego okna do drugiego.

Podobnie jak Charlotta była wysoka, szczupła i miała płomiennorude loki. Moja mama miała takie same loki i moja babcia też kiedyś była ruda. Również Caroline i Nick odziedziczyli ten kolor włosów. Tylko ja miałam proste, ciemne włosy jak mój ojciec.

Dawniej też bardzo chciałam być ruda, ale Leslie przekonała mnie, że moje czarne włosy pięknie kontrastują z niebieskimi oczami i jasną cerą. Leslie wmówiła mi, że znamię w kształcie półksiężyca, które miałam na skroni, nazywane przez ciotkę Glendę „śmiesznym bananem”, wygląda tajemniczo i interesująco. Obecnie uważałam, że jestem całkiem ładna, głównie dzięki

aparatu, który poskromił moje wystające przednie zęby i uwolnił mnie od podobieństwa do zajaczka. Ale oczywiście daleko mi było do tego „uroku i zupełnie zniewalającego wdzięku”, jaki miała Charlotta, żeby wspomnieć Jamesa. Ha! Ileż bym dała, żeby mógł ją zobaczyć w tej workowatej kiece.

- Ciwendolyn, aniołku, chcesz cytrynowego cukierka? - Ciotka Maddy postukała w stojący obok taboret. - Chodź, usiądź tu obok i zajmij mnie trochę rozmową. Glenda strasznie mnie denerwuje tym swoim bieganiem w tę i we w tę.

- Nie masz pojęcia o uczuciach matki, ciociu Maddy - powiedziała ciotka Glenda.

- Nie, pewnie, że nie mam - westchnęła cioteczna babka Maddy.

Była siostrą mojego dziadka i nigdy nie wyszła za męża. Była okrągłą, niewielką osobką z roześmianymi, dziecięcymi oczami i włosami ufarbowanymi na złoty blond, w których nierzadko tkwił zapomniany papilot.

- A gdzie jest lady Arista? - zapytałam, biorąc cukierka.

- Jest obok, telefonuje - odrzekła cioteczna babka. - Ale niestety rozmawia tak, że nie można zrozumieć ani słowa. Nawiasem mówiąc, to była ostatnia puszka cukierków. Nie miałabyś przypadkiem czasu, żeby polecieć do Selfridges i kupić mi nową?

- Jasne - powiedziałam.

Charlotta przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą i ciotka Glenda natychmiast ruszyła w jej kierunku.

- Charlotto!

- Nic - powiedziała Charlotta. Ciotka Glenda zacisnęła wargi.

- Może powinnaś raczej poczekać na parterze? - zapytałam Charlotte. - Nie spadłabyś z tak dużej wysokości.

- Może powinnaś raczej się zamknąć, skoro mowa o sprawach, o których nie masz bladego pojęcia? - odparowała Charlotta.

- Naprawdę, głupie uwagi są ostatnią rzeczą, jakiej Charlotta teraz potrzebuje - powiedziała ciotka Glenda.

Zacęłam żałować, że zesłam na dół.

- Za pierwszym razem nosiciel genu nie przeskakuje w czasie dalej niż o sto pięćdziesiąt lat - wyjaśniła cierpliwie cioteczna babka. - Ten dom zbudowano w 1781 roku, a zatem tu, w pokoju muzycznym, Charlotta jest absolutnie bezpieczna. Może najwyżej wystraszyć kilka muzykujących pań.

- W tej sukience na pewno - mruknęłam tak cicho, że mogła mnie usłyszeć jedynie cioteczna babka, która zachichotała.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wkroczyła lady Arista. Wyglądała tak jak zawsze, jakby połknęła kij. Albo nawet kilka. Jeden w rękach, drugi w nogach i trzeci, który pośrodku utrzymywał to wszystko w kupie. Siwe włosy gładko zaczesalała do tyłu i związała w węzeł na karku, jak nauczycielka baletu, która potrafi nieźle dać popalić.

- Kierowca już jedzie. Państwo de Villiers oczekują nas w Tempie. W drodze powrotnej można będzie od razu wczytać Charlotte do chronografu.

Nie zrozumiałam z tego ani słowa.

- A jeśli się to dzisiaj w ogóle nie wydarzy? - zapytała Charlotta.

- Charlotto, kochanie, dziś było ci trzy razy niedobrze - przypomniała jej ciotka Glenda.

- Prędzej czy później to się wydarzy - powiedziała lady Arista. - A teraz chodź już, kierowca może tu być w każdej chwili.

Ciotka Glenda ujęła Charlotte pod ramię i razem z lady Arista opuściły pokój. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, cioteczna babka Maddy i ja spojrzaliśmy na siebie.

Czasami człowiek ma wrażenie, że jest niewidzialny, prawda? - odezwała się ciotka Maddy. - Byłoby miło, gdyby rzuciły chociaż „do widzenia” albo „trzymajcie się”. Albo spytały roztropnie: „Ciociu Maddy, może miałaś wizję, która mogłaby nam pomóc?”.

- A miałaś?

- Nie - odparła ciotka Maddy. - Dzięki Bogu, nie miałam. Po wizjach dopada mnie straszliwy głód, a i tak jestem za gruba.

- Kim są państwo de Villiers? - zapytałam.

- Bandą aroganckich snobów, jeśli chcesz znać moje zdanie - powiedziała cioteczna babka. - Sami adwokaci i bankowcy. Są właścicielami banku de Villiers w śródmieściu. Mamy u nich konta.

To brzmiało bardzo mało mistycznie.

- A co ci ludzie mają wspólnego z Charlotta?

- Powiedzmy, że mają podobne problemy jak my.

- Co za problemy?

Czyżby musieli mieszkać pod jednym dachem z babką tyranem, ciotką bestią i zarozumiałą kuzynką?

- Gen podróży w czasie - odrzekła cioteczna babka. - W rodzinie de Villiers dziedziczą go mężczyźni potomkowie.

- A zatem oni też mają taką Charlotte w domu?

- Jej męski odpowiednik. O ile dobrze wiem, ma na imię Gideon.

- I on też czeka na to, żeby mu się zrobiło niedobrze?

- On ma to już za sobą. Jest dwa lata starszy od Charlotty.

- To znaczy, że od dwóch lat rześko przeskakuje sobie w czasie?

- Można tak powiedzieć.

Spróbowałam jakoś połączyć te nowe rewelacje ze strzępkami wiedzy, które miałam już wcześniej. Ponieważ jednak ciotka Maddy chętnie dziś sypała informacjami, dałam sobie na to za ledwie kilka sekund.

- A co to jest ten chroni... chrono...

- Chronograf! - Ciotka Maddy przewróciła swoimi okrągłymi niebieskimi oczami. - To jest rodzaj aparatu, za pomocą którego można wysłać nosiciela genu, ale tylko jego, w ściśle określone czasy. To ma coś wspólnego z krwią.

- Wehikuł czasu? Napędzany krwią? O rany! Cioteczna babka wzruszyła ramionami.  
- Nie mam pojęcia, jak to działa. Zapominasz, że wiem tylko to, co usłyszę przypadkiem, siedząc tutaj i udając, że o niczym nie mam pojęcia. To wszystko jest całkowicie tajne.

- Tak. I bardzo skomplikowane - powiedziałam. - Skąd w ogóle wiadomo, że Charlotta ma ten gen? I dlaczego ona go ma, a nie na przykład... hmm... ty?

- Dzięki Bogu, ja go mieć nie mogę. My, Montrose'owie, zawsze byliśmy wprawdzie dziwadłami, ale gen trafił do naszej rodziny dopiero przez twoją babkę. Bo mój brat musiał się koniecznie z nią ożenić - parsknęła ciotka Maddy.

Była siostrą mojego zmarłego dziadka Lucasa. Ponieważ nie miała męża, już jako młoda dziewczyna przeniosła się do niego i prowadziła mu dom.

- Pierwszy raz o genie usłyszałam po weselu Lucasa i lady Aristy. Ostatnią nosicielką genu w linii dziedziczenia Charlotty była pewna dama nazwiskiem Margret Tilney, a ona z kolei była babką twojej babki lady Aristy.

- I Charlotta odziedziczyła ten gen po tamtej Margret?

- Och, nie. Wcześniej odziedziczyła go Lucy. Biedna dziewczyna.

- Co to za Lucy?

- Twoja kuzynka Lucy, najstarsza córka Harry'ego.

- Ach! Ta Lucy!

Mój wuj Harry, ten z Gloucestershire, był znacznie starszy niż Glenda i moja mama. Miał troje dorosłych dzieci. Najmłodszy, David, miał dwadzieścia osiem lat i był pilotem British Airways. Co jednak wcale nie znaczyło, że dostawaliśmy tańsze bilety. Janet, średnia, miała już swoje dzieci, dwa małe denerwujące grzdyle o imionach Poppy i Daisy. Nigdy nie poznałam natomiast najstarszej, Lucy. Niewiele też o niej wiedziałam. W rodzinie na temat Lucy się milczało. Była bowiem kimś w rodzaju czarnej owcy w rodzie Montrose. W wieku siedemnastu lat uciekła z domu i od tej pory wszelki śluch po niej zaginął.

- A więc Lucy jest nosicielką genu?

- O tak - powiedziała cioteczna babka. - Kiedy znikła, rozpętało się prawdziwe piekło. Twoja babka omal nie dostała zawału serca. To był straszliwy skandal.

Tak gwałtownie potrząsnęła głową, że w jej złotych loczkach zapanował kompletny nieład.

- Wyobrażam sobie.

Pomyślałam, co by się stało, gdyby Charlotta po prostu spakowała walizki i uciekła.

- Nie, nie możesz sobie tego wyobrazić. Nie wiesz, w jak dramatycznych okolicznościach znikła, i co to wszystko miało wspólnego z tym chłopcem... Gwendolyn! Wyjmij palec z buzi! Cóż za paskudny nawyk!

- Przepraszam. - Nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęłam obgryzać paznokiec. - To tylko nerwy. Jest tyle rzeczy, których nie rozumiem...

- Ja też - zapewniła mnie cioteczna babka. - A przysłuchuję się tej całej historii, od kiedy skończyłam piętnaście lat. Przy tym mam coś takiego jak naturalne predyspozycje do misteriów. Wszyscy w rodzinie Montrose kochają tajemnice. Zawsze tak było. Jeśli chcesz wiedzieć, tylko dlatego mój nieszczęsny brat ożenił się z twoją babką. To nie mogło być za sprawą jej zniewalającego uroku, bo go nie miała. - Zanurzyła dłoń w puszcze z cukierkami i westchnęła, kiedy jej palce trafiły w próżnię. - O matko, obawiam się, że uzależniłam się od tych słodkości.

- Polecę szybko do Selfridges i przyniosę ci nowe - powiedziałam.

- Jesteś i zawsze będziesz moim najukochańszym aniołkiem. Daj mi buziaka i włóż płaszcz, bo pada. I już nigdy więcej nie obgryzaj paznokci, słyszysz?

Ponieważ mój płaszcz ciągle jeszcze wisiał w szkolnej szafce, włożyłam kwiecisty płaszcz przeciwdeszczowy mamy i wychodząc na zewnątrz, naciągnęłam kaptur na głowę. Mężczyzna przed drzwiami domu numer 18 właśnie zapala! papierosa. Wiedziona nagłym impulsem pomachałam mu, zeskakując po schodach.

Nie odmachał mi. Oczywiście, że nie.

Głupek.

Ruszyłam przed siebie, w kierunku Oxford Street. Lało strasznie. Powinnam była włożyć nie tylko płaszcz przeciwdeszczowy, ale i kalosze. Moja ulubiona magnolia na rogu smętnie



zwiesiła kwiaty. Zanim do niej dotarłam, trzy razy wdepnęłam w kałużę. W chwili gdy właśnie chciałam ominąć czwartą, zupełnie bez ostrzeżenia coś zważyło mnie z nóg. Żołądek powędrował mi do góry jak na górskiej kolejce, ulica rozmyła mi się przed oczami i zmieniła się w burą rzekę.

*Ex hoc momento pendet aeternitas. (Na tej chwili wisi wieczność).*

Inskrypcja na zegarze słonecznym, Middle Tempie, Londyn

3.

**Kiedy** odzyskałam ostrość widzenia, staromodne auto skręcało właśnie za róg, ja natomiast klęczałam na chodniku i trzęsłam się ze strachu.

Coś z tą ulicą było nie tak. Wyglądała inaczej niż zwykle. W ciągu ostatniej sekundy wszystko się zmieniło. Deszcz przestał padać, wiał za to lodowaty wiatr i było znacznie ciemniej niż poprzednio, prawie jak w nocy. Magnolia nie miała ani kwiatów, ani liści. W zasadzie nie byłam pewna, czy to w ogóle magnolia.

Czubki ogrodzenia wokół niej były pomalowane na złoty kolor. Mogłabym przysiąc, że jeszcze wczoraj były czarne.

Zza rogu wyjechał następny stary samochód. Dziwaczny wehikuł z dużymi kołami o cienkich szprychach. Spojrzałam na chodnik - kałuże znikły. Znaki drogowe też. Za to bruk był nierówny i pofałdowany, a uliczne latarnie wyglądały inaczej, ich żółtawe światło sięgało nie dalej niż do drzwi najbliższego domu.

Gdzieś głęboko w duszy przeczuwałam coś złego, ale ciągle jeszcze nie dopuszczałam do siebie tej myśli.

Najpierw więc zmusiłam się, żeby głęboko odetchnąć. Potem ponownie się rozejrzałam, tym razem uważniej.

No, ściśle biorąc, tak wiele się znowu nie zmieniło. Większość domów wyglądała właściwie tak jak zwykle. A jednak... tam dalej znikła herbaciarnia, w której mama kupowała pyszne ciastka Prince-of-Wales, a tego narożnego domu po przeciwnej stronie, z potężnymi kolumnami z przodu, nigdy przedtem nie widziałam.

Mężczyzna w kapeluszu i w czarnym płaszczu przeszedł obok, mierzając mnie wzrokiem, nieco zaskoczony, jednak nie zrobił żadnego ruchu, żeby mnie zagadnąć czy chociaż pomóc mi wstać. Podniosłam się i otrzepałam piasek z kolan.

Dramat, który kołatał mi się po głowie, powoli, ale nieodwołalnie stawał się ponurą rzeczywistością.

Kogo jeszcze chciałam okłamywać?

Nie trafiłam na rajd starych samochodów ani magnolia nie zrzuciła nagle wszystkich liści. I choć dałabym wszystko za to, żeby teraz zza rogu wyszła Nicole Kidman, niestety, nie był to także plan filmu *Portret damy* według książki Henry'ego Jamesa.

Dobrze wiedziałam, co się stało. Po prostu wiedziałam. I wiedziałam też, że musiała zajść jakaś pomyłka. Wylądowałam w innej epoce.

Nie Charlotta. JA. Ktoś tu popełnił bardzo wielki błąd.

W tej samej chwili zaczęłam szczekać zębami. Nie tylko z emocji, ale także z przejmującego chłodu. Było zimno.

„Wiedziałabym, co robić” - zabrzmiały mi w uszach słowa Charlotty.

No jasne, Charlotta wiedziała, co robić. Ale mnie nikt tego nie wyjaśnił.

Stałam więc na rogu mojej ulicy, drząc i szczekając zębami, i wystawiałam się na widok gapiów. Przechodziło tędy niewiele osób. Minęła mnie młoda kobieta w płaszczu do kostek, z koszykiem w rękę, a za nią mężczyzna w kapeluszu, w palcie z postawionym kołnierzem.

- Przepraszam - odezwałam się. - Może mogliby mi państwo powiedzieć, który mamy rok?

Kobieta przeszła obok, jakby nie usłyszała, i tylko przyspieszyła kroku.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Impertynentka - burknął.

Westchnęłam. Ta informacja i tak nie na wiele by mi się zdała. W gruncie rzeczy nie miało żadnego znaczenia, czy znalazłam się w 1899 czy na przykład w 1923 roku.

Przynajmniej wiedziałam, gdzie jestem. Mieszkałam niecałe sto metrów stąd. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak udać się teraz po prostu do domu.

Coś przecież musiałam zrobić.

W zapadającym zmroku ulica wydawała się spokojna. Szłam powoli z powrotem, uważnie rozglądając się na wszystkie strony. Co się zmieniło, a co było tak samo? Domy bardzo przy-

pominały te z moich czasów. Wprawdzie miałam wrażenie, że niektóre szczegóły widzę po raz pierwszy w życiu, ale być może nie zwracałam na nie dotąd uwagi. Automatycznie skierowałam wzrok na dom pod numerem 18, ale przed wejściem nikogo nie było, żadnego mężczyzny w czerni.

Zatrzymałam się.

Nasz dom wyglądał dokładnie tak samo jak w moich czasach. Okna na parterze i na pierwszym piętrze były jasno oświetlone, świeciło się również w pokoju mamy na pierwszym piętrze. Patrząc w górę, poczułam prawdziwą tęsknotę za domem. Z okapu dachu zwisały lodowe sople.

„Wiedziałabym, co robić”.

No właśnie, co zrobiłaby Charlotta? Zapadał zmrok i było okropnie zimno. Dokąd poszłaby Charlotta, żeby nie zamarznąć? Do domu?

Wlepiłam wzrok w okna. Może na świecie był już mój dziadek? Może nawet by mnie poznał. Przecież huśtał mnie na kolanach jak na koniu, kiedy byłam mała... och, co za bzdury.

Nawet jeśli już zdążył się urodzić, raczej nie będzie pamiętał, że huśtał mnie na kolanach, kiedy był już starszym człowiekiem.

Chłód zakradł mi się pod płaszcz. No dobrze, więc po prostu zadzwonię do drzwi i poproszę, żeby mnie przenocowano. Pytanie tylko, jak miałam to zrobić.

„Dzień dobry, mam na imię Gwendolyn i jestem wnuczką lorda Montrose, który być może jeszcze się w ogóle nie urodził”.

Raczej nie należało zakładać, że ktoś mi uwierzy. Najprawdopodobniej wylądowałabym w domu wariatów szybciej, niżbym sobie tego życzyła. A w tamtych czasach na pewno były to bardzo ponure miejsca. Jak raz się tam trafiło, człowiek już nigdy stamtąd nie wychodził.

Z drugiej strony miałam niewielki wybór. Za chwilę zapadną kompletne ciemności, a gdzieś musiałam spędzić tę noc, jeśli nie chciałam zamarznąć. I jeśli nie chciałam spotkać Kuby Rozpruwacza. O mój Boże! Właściwie kiedy on grasował po świecie? I gdzie? Miejmy nadzieję, że nie w szacownym Mayfair!

Gdyby udało mi się porozmawiać z jednym z moich przodków, może zdołałabym go przekonać, że wiem więcej o rodzinie i o domu, niż mógłby wiedzieć ktokolwiek z zewnątrz. Kto na przykład

wiedziałyby z marszu, że praprapradziadek Hugh miał konia o imieniu Gruba Andzia? Takie rzeczy mógł wiedzieć tylko ktoś z rodziny.

Podmuch wiatru sprawił, że się wzdrygnęłam. Było tak zimno. Nie zdziwiłabym się, gdyby zaczął padać śnieg.

„Cześć, jestem Gwendolyn i przybywam z przyszłości. Jako dowód mogę pokazać zamek błyskawiczny. Założę się, że w ogóle jeszcze nie został wynaleziony, prawda? Tak samo jak jumbo jęty, telewizory i lodówki.

Mogłam przynajmniej spróbować. Odetchnęłam głęboko i podeszłam do drzwi.

Schody pod stopami wydawały się dziwnie znajome, a zarazem obce. Pomacałam ścianę w poszukiwaniu dzwonka, ale go nie było. Najwidoczniej nie wynaleziono jeszcze dzwonek elektrycznych. Ale na tej podstawie nie umiałam stwierdzić, w którym roku się znalazłam. Nie miałam pojęcia, kiedy wynaleziono te wszystkie elektryczne urządzenia. Wcześniej niż parowce czy później? Chyba uczyliśmy się o tym w szkole. Jeśli tak, niestety nie mogłam sobie tego przypomnieć.

Znalazłam uchwyt, na którym wisiał łańcuszek przypominający nieco tę staroświecką spłuczkę klozetową u Leslie w domu. Mocno pociągnęłam i usłyszałam dzwonek, który rozległ się po drugiej stronie drzwi.

O mój Boże.

Prawdopodobnie otworzy mi ktoś ze służby. Co mam powiedzieć, żeby dopuszczono mnie przed oblicze kogoś z mojej rodziny? Może praprapradziadek Hugh jeszcze żyje? Albo już się urodził? Czy jak tam w ogóle. Po prostu o niego zapytam. Albo o Grubą Andzię.

Usłyszałam odgłos zbliżających się kroków i zebrałam się na odwagę. Ale nie zobaczyłam już, kto otworzył mi drzwi, bo znowu ziemia usunęła mi się spod nóg, przekotłowało mnie w czasie i przestrzeni i wypluło z powrotem.

Ponownie znalazłam się na wycieraczce przed drzwiami naszego domu. Poderwałam się z ziemi i spojrzałam dokoła. Wszystko wyglądało tak jak wtedy, gdy wychodziłam z domu po cukierki cytrynowe dla ciotki Maddy. Domy, samochody na parkingu, nawet deszcz.

Mężczyzna w czerni przed wejściem do domu numer 18 gapił się na mnie.

- No, nie tylko ty jesteś zdziwiony - mruknęłam.

Jak długo mnie nie było? Czy mężczyzna w czerni widział, jak na rogu znikłam i pojawiłam się z powrotem na wycieraczce? Na pewno nie dowierzał własnym oczom. Dobrze mu tak. Niech wie, jak to jest, kiedy ciągle dają człowiekowi do rozwiązania jakieś zagadki.

Zadzwoiłam jak po ogień. Pan Bernhard otworzył drzwi.

- Tak nam spieszno? - zapytał.

- Panu pewnie nie, ale mnie tak! Pan Bernhard uniósł brwi.

- Przepraszam, zapomniałam czegoś ważnego. Przemknęłam obok niego i wbiegłam na górę po schodach,

przeskakując po dwa stopnie.

Ciotka Maddy spojrzała na mnie zaskoczona, kiedy wpadłam do pokoju.

- Myślałam, że już cię nie ma, aniołeczku.

Nie mogąc złapać tchu, rzuciłam okiem na zegar. Od momentu gdy wyszłam z pokoju, minęło dwadzieścia minut.

- Ale dobrze, że wróciłaś. Zapomniałam ci powiedzieć, że w Selfridges mają te same cukierki również bez cukru, a opakowanie wygląda dokładnie tak samo. Ale pod żadnym pozorem ich nie kupuj, bo od tych bez cukru dostaje się... no, tego... rozwolnienia.

- Ciociu Maddy, dlaczego wszyscy są tacy pewni tego, że Charlotta ma ten gen?

- Dlatego, że... czy nie możesz mi zadać jakiegoś prostszego pytania?

Ciotka Maddy wyglądała na nieco skołowaną.

- Zbadano jej krew? A może ktoś inny ma ten gen? Mój oddech powoli wracał do normy.

- Charlotta jest z całą pewnością nosicielką genu.

- Bo znaleziono go w jej DNA?

- Aniołeczku, naprawdę, pytasz niewłaściwą osobę. Z biologii zawsze byłam kompletną nogą, ja nawet nie wiem, co to jest DNA. Myślę, że to wszystko ma mniej wspólnego z biologią, a więcej z wyższą matematyką. Niestety, z matematyki też zawsze byłam bardzo słaba. Gdy mowa o liczbach

i wzorach, zwykle od razu się wyłączam. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że Charlotta przyszła na świat dokładnie tego dnia, który dla niej wyznaczono i który był znany już przed setkami lat.

- A więc to data urodzenia decyduje o tym, czy ma się ten gen, czy nie?

Zagryzłam dolną wargę. Charlotta urodziła się siódmego października, ja - ósmego. Dzielili nas tylko jeden dzień.

- Raczej na odwrót - odrzekła cioteczna ciotka. - Gen określa datę urodzenia. Oni to dokładnie obliczyli.

- A jeśli się pomylili w rachunkach?

O jeden dzień! Jakież to proste. To była pomyłka. To nie Charlotta miała ten przeklęty gen, lecz ja. Albo obie go miałyśmy. Albo... Opadłam na taboret.

Ciotka Maddy potrząsnęła głową.

- Nie pomylili się, aniołeczku. Myślę, że jeśli ci ludzie coś umieją, to właśnie liczyć.

Kim w ogóle byli „ci ludzie”?

- Przecież każdy może się kiedyś pomylić - powiedziałam. Cioteczna babka zaśmiała się.

- Obawiam się, że Isaac Newton jednak nie.

- Newton wyliczył datę urodzin Charlotty?!

- Moje kochane dziecko, rozumiem twoją ciekawość. Kiedy miałam twoje lata, byłam taka sama. Ale po pierwsze, czasem lepiej nie wiedzieć wszystkiego, a po drugie, naprawdę mam wielką, ale to wielką ochotę na moje cukierki.

- To wszystko jest nielogiczne - powiedziałam.

- Tylko z pozoru.

Ciotka Maddy pogłaskała mnie po dłoni.

- Chociaż wiesz teraz dokładnie tyle samo co przedtem, niech ta rozmowa zostanie między nami. Twoja babka byłaby zła, gdyby się dowiedziała, co ci tutaj mówiłam. A kiedy jest zła, staje się jeszcze straszniejsza niż zwykle.

- Nie sypnę cię, ciociu Maddy. I zaraz przyniosę te twoje cukierki.

- Dobre z ciebie dziecko.



- Mam jeszcze tylko jedno pytanie: ile musi minąć od pierwszej podróży w czasie, żeby wydarzyła się następna?

Ciotka Maddy westchnęła.

- Proszę! - powiedziałam błagalnie.

- Myślę, że nie ma tu reguły - rzekła. - Zapewne każdy nosiciel genu jest inny. Nikt jednak nie steruje sam podróżami w czasie. Mogą zdarzać mu się co dzień, czasami nawet po kilka razy dziennie, w sposób całkowicie niekontrolowany. Dlatego tak ważny jest ten chronograf. O ile dobrze to rozumiem, dzięki jego pomocy Charlotta nie musi bezwolnie dawać się przerzucać z jednej epoki w drugą. Może zostać wysłana do specjalnie wybranego, bezpiecznego czasu, gdzie nic nie powinno jej się stać. Nie musisz się więc o nią martwić.

Szczerze mówiąc, bardziej się martwiłam o siebie.

- A na jak długo człowiek znika z teraźniejszości, kiedy przebywa w przeszłości? - zapytałam bez tchu. - I czy można na przykład trafić do ery dinozaurów, kiedy wszędzie naokoło były tylko bagna...?

Cioteczna babka machnęła ręką, przerywając mi w pół zdania.

- Wystarczy już, Gwendolyn. Przecież ja też tego wszystkiego nie wiem.

Zebrałam się w sobie.

- Mimo to dziękuję za to, co mi powiedziałaś - odrzekłam. - To mi bardzo pomogło.

- Niezbyt w to wierzę. Mam straszliwe wyrzuty sumienia. Nie powinnam ci pomagać nawet w twoim własnym interesie, bo przecież sama nie powinnam tego wszystkiego wiedzieć. Kiedy wypytywałam o te tajemnice mojego brata, twojego ukochanego dziadka, zawsze odpowiadał mi w taki sam sposób. Mówił, że im mniej o tym wiem, tym lepiej dla mojego zdrowia. Pójdiesz wreszcie po te moje cukierki? I nie zapomnij, proszę: z cukrem!

Ciotka Maddy pomachała za mną ręką. Jak tajemnice mogą być szkodliwe dla zdrowia? I jak dużo o tym wszystkim wiedział mój dziadek?

- Isaac Newton? - powtórzyła zdezorientowana Leslie. - Ten od siły ciężenia?

- Jasne, że ten. Najwyraźniej jednak poza tym obliczył datę urodzenia Charlotty.

Stałam w dziale spożywczym Selfridges przy jogurtach, prawą ręką przyciskając do jednego ucha komórkę, a lewą zakrywając drugie ucho.

- Pech tylko, że nikt nie wierzy, że mógłby się pomylić w rachunkach. No jasne, to Newton, kto by w to uwierzył? Ale on musiał się pomylić, Leslie. Urodziłam się dzień później niż Charlotta i to ja przeniosłam się w czasie, a nie ona!

- To wszystko jest bardziej niż zagadkowe. Cholera, ten rupieć potrzebuje godziny, żeby się przeładować! No, dawaj, baranie! - Leslie walczyła ze swoim komputerem.

- Och, Leslie, to było takie... dziwne. Mało brakowało, a porozmawiałabym z jednym z moich przodków. No wiesz, może tam był ten gruby facet z obrazu koło tajemnego przejścia, praprapradziadek Hugh. To znaczy jeśli to były jego czasy, a nie inne. Równie dobrze mogliby mnie wysłać do domu wariatów.

- Diabli wiedzą, co ci się jeszcze mogło przydarzyć - odrzekła Leslie. - Dalej nie mogę tego pojąć! Przez tyle lat urządzają ten cały cyrk z Charlotta, a potem dzieje się coś takiego! Musisz koniecznie opowiedzieć zaraz o tym swojej mamie. W ogóle musisz natychmiast wracać do domu. Przecież to się może powtórzyć w każdej chwili!

- Okropne, no nie?

- Total. No dobra, już jestem online. Najpierw wrzucę do (ioogle Newtona. A ty marsz do domu, natychmiast! Wiesz w ogóle, od kiedy istnieje Selfridges? Pewnie wcześniej była tam kopalnia i zaraz zlecisz dwanaście metrów w dół.

- Babcia dostanie szału, jak się dowie - powiedziałam.

- Dostanie. A co dopiero ta biedna Charlotta... Pomyśl tylko, przez te wszystkie lata musiała sobie wszystkiego odmawiać, a teraz kompletnie nic z tego nie ma. No dobra, mam Newtona. Urodzony w 1643 roku w Woolsthorpe... gdzie to w ogóle jest? Zmarł w 1727 roku w Londynie. Bła, bła, bła. Nic tu nie ma o podróżach w czasie, tylko coś o rachunku wariacyjnym, w życiu nie słyszałam, a ty? Transcendencja spirali... kwa-dratrysa, optyka, mechanika nieba... bła, bła, bła... o,

jest też prawo powszechnego ciężenia... No... to o tej transcendencji spirali brzmi trochę tak, jakby mogło mieć coś wspólnego z podróżami w czasie, nie sądzisz?

- Szczerze mówiąc, nie - odpowiedziałam.

Obok mnie jakaś parka głośno dyskutowała, jaki jogurt mają kupić.

- Czy ty cały czas jeszcze jesteś w Selfridges? - zawołała Leslie. - W tej chwili marsz do domu!

- Już idę. - Machnęłam w stronę wyjścia żółtą torebką z cukierkami dla ciotki Maddy. - Ale Leslie, przecież ja nie mogę opowiedzieć tego w domu. Wezmą mnie za wariatkę.

Leslie prychnęła do telefonu.

- Gwen! Każda inna rodzina mogłaby cię wysłać do wariatkowa, ale nie twoja! Przecież oni nie gadają o niczym innym prócz genów podróży w czasie, chronometrów i nauki misteriów.

- Chronografów - poprawiłam ją. - To coś chodzi na krew! Czyż to nie obrzydliwe?

- Chro-no-graf. Okej, znalazłam to w Google. Przepisnęłam się przez tłumy przechodniów na Oxford

Street do kolejnych świateł.

- Ciotka Glenda powie, że wszystko to sobie wymyśliłam, żeby tylko pokazać, jaka jestem ważna, i odsunąć Charlotte na drugi plan.

- No i co z tego? Jak znowu przeniesiesz się w czasie, zobaczy, że się myliła.

- A jeśli już się wcale nie przeniosę? Jeśli to była tylko jednorazowa sprawa? Jak katar?

- Chyba sama w to nie wierzysz! No dobra, chronograf wygląda jak całkiem normalny zegarek na rękę. Na eBayu możesz tego kupić całą masę, od dziewiętnastu funtów w górę. Cholera... poczekał, wrzucę do Google jednocześnie Isaaca Newtona i chronograf, i podróż w czasie, i krew.

- No i co?

- Nie znaleziono. - Leslie pociągnęła nosem. - Teraz żałuję, że wcześniej tego nie zbadaliśmy. Najpierw wypożyczę książki, wszystko na temat podróży w czasie. W końcu na diabła mi ta kretyńska karta biblioteczna? Gdzie teraz jesteś?

- Przechodzę przez Oxford Street, a potem skręcam w Duke Street. - Nie mogłam powstrzymać chichotu. - Pytasz dlatego, że chcesz tu przyjść i narysować kredą znak krzyża, gdyby nagle

przerwało nam rozmowę? Też się właśnie zastanawiam, po co Charlotcie był potrzebny ten głupi krzyż.

- Hmm, może wysłaliby za tobą tego drugiego podróżnika w czasie? Jak on się nazywa?

- Gideon de Villiers.

- Niezłe nazwisko. Też go wrzucę do Google. Gideon de Villiers. Jak to się pisze?

- A skąd ja mam wiedzieć? Wracając do znaku krzyża: do-k;|d oni by mieli wysiać tego Gideona? To znaczy do jakich czasów? Przecież Charlotta mogła być wszędzie. W każdej minucie, w każdej godzinie, w każdym roku, w każdym stuleciu. Nie, len znak krzyża w ogóle nie ma sensu.

Leslie zaskrzeczała mi prosto do ucha tak głośno, że o mało nie wypuściłam komórki.

- Gideon de Villiers. Mam takiego.

- Serio?

- Tak! Słuchaj: „Drużyna polo internatu Vincent w Green-wich także w tym roku odniosła zwycięstwo w ogólnokrajowych szkolnych zawodach w polo. Z pucharu cieszą się, od lewej: dyrektor William Henderson, trener John Carpenter, kapitan drużyny Gideon de Wliers"... i tak dalej, i tak dalej. Ho, ho, nawet kapitan. Fotka jest niestety tak mała, że nie mogę rozróżnić, gdzie człowiek, a gdzie koń. A ty gdzie teraz jesteś, Gwen?

- Ciągle na Duke Street. To by się zgadzało: internat w Greenwich, polo na pewno. Piszą tam może jeszcze, że od czasu do czasu pojawia się i znika? Może wprost z końskiego grzbietu?

- O, właśnie widzę, że ten artykuł jest sprzed trzech lat. Może od tego czasu skończył już szkołę. Znowu ci niedobrze?

- Nie, jak dotąd nie.

- Gdzie teraz jesteś?

- Leslie! Cały czas na Duke Street. Szybciej już nie mogę iść.

- No dobra, dzwoniemy się, jak tylko wrócisz do domu. I natychmiast masz pogadać ze swoją mamą.

Spojrzałam na zegarek.

- Przecież ona jeszcze nie przyszła z pracy.
  - No to porozmawiasz z nią od razu, jak przyjdzie, jasne? Będzie wiedziała, co trzeba zrobić, żeby nic ci się nie stało. Halo! Jesteś tam? Zrozumiałaś mnie?
  - Tak. Zrozumiałam. Leslie?
  - No?
  - Cieszę się, że cię mam. Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie.
  - Ty jako przyjaciółka też jesteś całkiem niezła - powiedziała Leslie. - To znaczy chodzi mi o to, że mogłabyś mi przywieźć coś fajowego z przeszłości. Jaka inna przyjaciółka to potrafi? A następnym razem jak się będziemy miały uczyć do jakiegoś durnowatego testu z historii, po prostu sprawdzisz wszystko na miejscu.
  - Gdybym cię nie miała, zupełnie nie wiedziałabym, co robić.
- Zdawałam sobie sprawę, że moje słowa brzmią dość żałośnie. Ale na Boga - ja też czułam się żałośnie.
- A właściwie czy można przenosić przedmioty z przeszłości? - spytała Leslie.
  - Nie mam pojęcia. Naprawdę, nie mam bladego pojęcia. Następnym razem po prostu spróbuję. Na marginesie, jestem właśnie na Grosvenor Square.
  - No to zaraz będziesz na miejscu - powiedziała z ulgą Leslie. - Poza tą historią z polo nie znalazłam w Google nic więcej na temat Gideona de Yilliers. Za to jest bardzo dużo o prywatnym banku de Villiers i o kancelarii adwokackiej de Villiers w Tempie.
  - Tak, to muszą być oni.
  - Jak tam, znowu ci niedobrze?
  - Nie, ale dzięki, że zapytałaś. Leslie odchrząknęła.
  - Wiem, że się boisz, ale w sumie to jest całkiem cool. Chciałam powiedzieć, że to prawdziwa przygoda, Gwen. A ty tkwisz w niej po uszy.
- Tak. Tkwiłam w niej po uszy. Co za bagno.

Leslie miała rację: nie było powodu, żeby zakładać, że mama mi nie uwierzy. Przecież moich „historii o duchach” wysłuchiwała kiedyś z należytą powagą. Zawsze mogłam do niej przyjść, jeśli się czegoś bałam.

Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Durham, całymi miesiącami prześladował mnie duch demona, który właściwie powinien był sprawować służbę jako kamienny gargulec na dachu katedry. Nazywał się Azrael i wyglądał jak połączenie człowieka, kota i orła. Kiedy zorientował się, że go widzę, był tak zachwycony tym, iż wreszcie może z kimś porozmawiać, że biegał za mną krok w krok, nieustannie do mnie gadał, a nocą nawet chciał spać ze mną w łóżku. Po przewyciężeniu początkowych obaw - Azrael, jak wszystkie gargulce, miał dosyć koszmaryny pysk - stopniowo się zaprzyjaźniliśmy. Niestety, Azrael nie mógł się przeprowadzić z Durham do Londynu i wciąż jeszcze za nim tęskniłam. Kilka gargulcowych demonów, jakie widziałam w Londynie, było raczej mało sympatycznymi stworzeniami i ile lej pory nie spotkałam żadnego, który mógłby się mierzyć z Azraelem.

Skoro mama uwierzyła w Azraela, pewnie uwierzy też w podróż w czasie. Czekałam na odpowiedni moment, żeby z nią pogadać. Ale ten odpowiedni moment jakoś nie chciał przyjść. Zaraz po powrocie z pracy do domu musiała przeprowadzić poważną rozmowę z moją siostrą Caroline, ponieważ Caroline zgłosiła się do opieki w czasie wakacji nad klasowym terrarium, w tym klasową maskotką, czyli kameleonem o imieniu Jaś Fasola. Choć od wakacji dzieliło nas jeszcze kilka miesięcy, najwyraźniej tej rozmowy nie dało się odłożyć.

- Nie możesz opiekować się Jasiem Fasolą, Caroline! Wiesz doskonale, że twoja babka nie pozwala trzymać zwierząt w domu - powiedziała mama. - A ciocia Glenda ma alergię.
- Ale Jaś Fasola w ogóle nie ma sierści - odparła Caroline. - A poza tym on przez cały czas siedzi w terrarium. I nikomu nie przeszkadza.
- Przeszkadza twojej babci!
- No to moja babcia jest głupia!
- Caroline! Tak nie można! Nikt z nas nie ma bladego pojęcia o kameleonach. Wyobraź sobie, co by się stało, gdybyśmy coś zrobili źle i Jaś Fasola by zachorował albo nawet zdechł!

- Nie zdechnie! Wiem, jak się nim zajmować. Mamo, proszę! Pozwól mi go wziąć! Jeśli ja go nie wezmę, zabierze go Tess i znowu będzie się chwalić, że jest ulubienicą Jasia Fasoli.

- Nie, Caroline!

Kwadrans później ciągle jeszcze dyskutowały, nawet wtedy, gdy mama poszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Caroline stanęła pod drzwiami i krzyknęła:

- Lady Arista przecież w ogóle nie musi o tym wiedzieć! Możemy przemycić terrarium do domu, kiedy jej nie będzie. Ona prawie w ogóle nie przychodzi do mojego pokoju.

- Czy w tym domu można mieć spokój przynajmniej w klozecie? - odkrzyknęła mama.

- Nie - odparła Caroline.

Potrafi nieźle grać ludziom na nerwach. Przestała nudzić dopiero wtedy, kiedy mama obiecała jej osobiste wstawiennictwo u lady Aristy w sprawie pobytu Jasia Fasoli na wakacjach w naszym domu.

Czas, który Caroline z mamą zmitrężyły na te swoje dyskusje, spożytkowałam na wyciągnięcie mojemu bratu Nickowi gumy do żucia z włosów.

Siedzieliśmy w szwalni. Miał przyklejone do głowy przynajmniej ćwierć kilo tego świństwa, ale nie mógł sobie przypomnieć, skąd się tam wzięło.

- Takie rzeczy się przecież pamięta - zauważyłam. - Niestety, będę musiała ci obciąć parę kosmyków.

- Nie szkodzi - odparł Nick. - Możesz od razu ściąć całą resztę. Lady Arista powiedziała, że wyglądam jak dziewczyna.

- Dla lady Aristy każdy, kto ma włosy dłuższe niż zapalki, wygląda jak dziewczyna. Masz takie piękne loki, że grzechem byłoby je ścinać.

- Przecież odrosną. Zetnij je wszystkie, dobra?

- Nie dam rady nożyczkami do paznokci. Musisz iść do fryzjera.

- Dasz radę - odrzekł ufnie Nick.

Najwyraźniej zupełnie zapomniał, że już kiedyś obciąłam mu włosy nożyczkami do paznokci i wyglądał wtedy jak mały sęp, świeżo wykluty z jaja. Miałam wtedy siedem lat, a on cztery. Jego

loki były mi potrzebne, bo chciałam sobie z nich zrobić perukę. Nawiasem mówiąc, nie udało mi się to, a w dodatku ukarano mnie jednodniowym aresztem domowym.

- Nie przeginaj - powiedziała mama. Właśnie weszła do pokoju i wyjęła mi nożyczki z ręki. - Jeśli w ogóle, to zrobi to fryzjer. A teraz musimy zejść na dół, na kolację.

Nick westchnął.

- Nie martw się, lady Aristy dzisiaj nie ma. - Uśmiechnęłam się szeroko. - Nikt nie będzie ci truł o tę gumę do żucia. Ani o tę plamę na swetrze.

- Jaką plamę? - Nick spojrzał w dół. - O kurczę, to pewnie sok z granatów. Nic nie zauważyłem.

Biedne maleństwo. Podszedł do mnie całkiem blisko.

- Już ci mówiłam, że nikt nie będzie ci truł.

- Ale przecież dzisiaj wcale nie jest środa - powiedział Nick.

- Nie szkodzi, i tak pojechały.

- No to super.

Kolacja była zwykle dość uciążliwym wydarzeniem, gdy uczestniczyły w niej lady Arista, Charlotta i ciocia Glenda. Lady Arista krytykowała przede wszystkim zachowanie Caroline i Nicka przy stole (czasem też zachowanie ciotecznej babki Maddy), ciotka Glenda wypytywała mnie bezustannie o stopnie w szkole, a następnie porównywała je ze stopniami Charlotty, Charlotta zaś uśmiechała się niczym Mona Lisa i na każde pytanie odpowiadała: „To nie wasza sprawa”.

W gruncie rzeczy moglibyśmy więc spokojnie zrezygnować z tych wieczornych zgromadzeń, ale babcia upierała się przy tym, byśmy brali w nich udział.

Jedynie choroba zakaźna stanowiła wystarczające usprawiedliwienie. Posiłek szykowała pani Brompton, która przychodziła do nas od poniedziałku do piątku i prócz gotowania zajmowała się także praniem (w czasie weekendu gotowała albo ciotka Glenda, albo mama. Ku rozpaczy mojej i Nicka nigdy nie zamawialiśmy pizzy ani chińszczyzny).

W środowe wieczory, kiedy lady Arista, ciotka Glenda i Charlotta zajmowały się swoimi misteriami, kolacje przebiegały znacznie swobodniej. Cieszyliśmy się wszyscy, że dziś, choć był dopiero poniedziałek, było tak jak w środę. Nie, żebyśmy głośno siorbali, mlaskali czy bekali, ale



mieliśmy odwagę przerywać sobie nawzajem, kłaść łokcie na stole i zgłębiać tematy, które lady Arista uważała za nieodpowiednie.

Na przykład kameleony.

- Lubisz kameleony, ciociu Maddy? Nie chciałabyś mieć jednego w domu? Takiego całkiem oswojonego?

- Hmm, no tak, właściwie... no tak, kiedy to mówisz, dochodzę do wniosku, że właściwie zawsze chciałam mieć kameleona - powiedziała ciotka Maddy i nałożyła sobie na talerz stertę ziemniaków z rozmarynem. - Koniecznie.

Caroline wyjaśniała.

- Może twoje marzenie wkrótce się spełni.

- Czy lady Arista i Glenda się odezwały? - spytała mama.

- Twoja matka zadzwoniła wieczorem, żeby uprzedzić, że nie będzie ich na kolacji - powiedziała cioteczna babka. - W imieniu nas wszystkich wyraziłam z tego powodu nasz głęboki żal i mam nadzieję, że się ze mną zgadzacie.

- Och, tak. - Nick parsknął śmiechem.

- A Charlotta. Czy ona...? - zaczęła mama.

- Jak dotąd chyba nie. - Ciotka Maddy wzruszyła ramionami. - Ale spodziewają się tego w każdej chwili. Biednej dziewczynie jest strasznie niedobrze, a teraz dostała jeszcze migreny.

- Naprawdę mi jej żal - powiedziała mama.

Odłożyła na bok widelec i nieobecny wzrokiem wpatrywała się w ciemnobrązową boazerię, która wyglądała tak, jakby ktoś pomylił podłogę ze ścianą i omyłkowo wyłożył ją parkietem.

- A co się stanie, jeśli Charlotta w ogóle nie przeniesie się w czasie? - zapytałam.

- To się stanie, wcześniej czy później - oznajmił Nick, naśladując namaszczony ton naszej babci.

Wszyscy się roześmiali prócz mnie i mamy.

- A jeśli się nie stanie? Jeśli oni się pomylili i Charlotta w ogóle nie ma tego genu? - zapytałam.

Tym razem Nick zmalpował ciotkę Glendę.

- Już w niemowlęctwie po Charlotte było widać, że została stworzona do wyższych rzeczy. W ogóle nie można jej porównywać z takimi zwykłymi dziećmi jak wy.

Znowu się wszyscy roześmiali. Prócz mamy.

- Czemu ci to przyszło do głowy, Gwendolyn?

- Tak sobie... - Zawahałam się.

- Przecież wytłumaczyłam ci, że pomyłka jest tutaj zupełnie niemożliwa - odezwała się cioteczna babka Maddy.

- Tak, bo Isaac Newton był geniuszem, a geniusze nie mylą się w obliczeniach, wiem - powiedziałam. - A dlaczego w ogóle Newton obliczył właśnie datę urodzenia Charlotty?

- Ciociu Maddy! - Mama spojrzała na nią z wyrzutem. Ciotka Maddy głośno mlasnęła językiem.

- Wierciła mi dziurę w brzuchu pytaniami, to co miałam /robić? Jest dokładnie taka sama jak ty, kiedy byłaś mała, Grace. Poza tym obiecała, że utrzyma naszą rozmowę w absolutnej tajemnicy.

- Tylko przed babcią - wtrąciłam. - A może Isaac Newton wynalazł też ten chronograf?

- Papla - rzuciła cioteczna babka. - Nic więcej ci nie powiem.

- Co za chronograf? - spytał Nick.

- To wehikuł czasu, za pomocą którego Charlotta zostanie wysłana w przeszłość - wyjaśniłam mu. - A krew Charlotty będzie jakby paliwem dla tego wehikułu.

- Bomba - powiedział Nick, a Caroline pisnęła:

- Fuj, krew!

- Czy za pomocą chronografu można też podróżować w przyszłość? - spytał Nick.

Mama westchnęła.

- Zobacz tylko, co narobiłaś, ciociu Maddy.

- To twoje dzieci, Grace - uśmiechnęła się ciotka Maddy. -To normalne, że chciałyby wiedzieć.

- Tak, pewnie tak. - Mama popatrzyła na nas. - Ale nigdy nie wolno wam zadawać takich pytań babci, zrozumiano?

- Choć pewnie tylko ona zna odpowiedzi - zaznaczyłam.

- Ale ich wam nie udzieli.

- A ile ty z tego wszystkiego wiesz, mammo?

- Więcej, niżbym chciała. - Mówiąc to, mama wprawdzie się uśmiechała, ale moim zdaniem to był smutny uśmiech. - Zresztą nie da się podróżować w przyszłość, Nick, a to dlatego, że przyszłość jeszcze się nie wydarzyła.

- He? - rzucił Nick. - A cóż to za logika?

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili do jadalni wszedł pan Bernhard z telefonem. Leslie z pewnością spadłaby z krzesła, gdyby zobaczyła, że telefon spoczywa na srebrnej tacy. Czasami pan Bernhard rzeczywiście przeginał.

- Telefon do pani Grace - oznajmił.

Mama wzięła telefon z tacy, pan Bernhard odwrócił się i opuścił jadalnię. Siadał z nami do kolacji tylko wtedy, gdy lady Arista wyraźnie o to poprosiła, co jednak zdarzało się zaledwie parę razy w roku. Nick i ja podejrzewaliśmy, że potajemnie zamawia jedzenie na wynos u Wiocha albo u Chińczyka i że spożywa je w samotności.

- Halo? Aha, to ty, mammo. Ciotka Maddy puściła do nas oko.

- Wasza babka potrafi czytać w myślach - szepnęła. - Podejrzewa, że prowadzimy tu zakazane dyskusje. Kto sprzątnie naczynia? Potrzebujemy miejsca na szarlotkę pani Brompton.

- I na sos waniliowy!

Mimo że zjadłam ogromną górę ziemniaków z rozmarynem, karmelizowanych marchewek i medalionów wieprzowych, wciąż jeszcze się najadłam. Te wszystkie emocje wzbudziły we mnie wilczy apetyt. Wstałam i zaczęłam wstawiać brudne naczynia do kuchennej windy.

- Jeśli Charlotta przeskoczy do ery dinozaurów, to czy mogłaby mi przywieźć stamtąd małego dinozaura? - spytała Caroline.

Cioteczna babka potrząsnęła głową.

- Nie da się przenosić w czasie zwierząt ani osób, które nie mają tego genu. A tak daleko w przeszłość w ogóle nie można się przenieść.

- Szkoda - westchnęła Caroline.

- No, ja uważam, że to całkiem dobrze - powiedziałam. -Wyobraź sobie, co by to było, gdyby podróżnicy w czasie bez przerwy przywozili dinozaury i tygrysy szabłożeńne... albo wodza Hunów Attyłę czy Hitlera.

Mama skończyła rozmawiać przez telefon.

- Zostaną tam na noc - oznajmiła. - Na wszelki wypadek.

- Ale gdzie? - spytał Nick. Mama nie odpowiedziała.

- Ciociu Maddy! Czy wszystko w porządku?

*Filarów dwanaście dźwiga czasu zamczysko. Królestwem dwanaście zwierząt włada. Do lotu orła  
jest już całkiem blisko. Pięć to klucz i zarazem zasada. Dwanaście to dwa więc w Dwunastu Kręgu.  
Trzeci sokół stoi, choć siódmy był w łęgu.*

Z tajnych zapisków hrabiego de Saint Germain

4.

Ciotka Maddy dziwnie sztywno siedziała na krześle, patrząc przed siebie pustym wzrokiem, z rękami zaciśniętymi na poręczach. Z jej twarzy znikły wszelkie kolory.

- Ciociu Maddy? Och, mamó, czy ciocia ma udar? Ciociu Maddy! Słyszysz mnie? Ciociu Maddy! - Chciałam wziąć ją za rękę, ale mama mnie powstrzymała.

- Nie dotykać! Nie dotykaj jej. Caroline zaczęła płakać.

- Co jej jest? - zawołał Nick. - Czymś się zakrztusiła?

- Musimy zadzwonić po pogotowie! - krzyknęłam. - Mamó, zrób coś!

- Ona nie ma udaru. I niczym się nie zakrztusiła. Ma wizję -powiedziała mama. - Zaraz jej przejdzie.

- Na pewno?

Nieruchomy wzrok ciotecznej babki Maddy przerażał mnie. Miała rozszerzone źrenice, a jej powieki w ogóle się nie poruszały.

- Ale się tu nagle zimno zrobiło - wyszeptał Nick. - Czujecie to?

Caroline cicho szlochała.

- Zróbcie coś, żeby się to skończyło.

- Lucy! - rozległ się czyjś głos.

Wzdrygnęliśmy się przestraszeni, a potem dotarło do nas, że to głos ciotki Maddy. I faktycznie, zrobiło się zimno. Rozejrzałam się, ale w pokoju nie było widać żadnego ducha.

- Lucy, kochane dziecko. Prowadzi mnie do drzewa. Drzewa o czerwonych owocach. Och, gdzie ona teraz jest? Już jej nie widzę. Tam między korzeniami coś leży. Ogromny szlachetny kamień, oszlifowany szafir. Jajo. Szafirowe jajo. Ależ jest piękne. Jakie cenne. Ale teraz zaczyna pękać, rozpada się, tam w środku coś jest... wykluwa się pisklę. Kruk. Wskakuje na drzewo. - Roześmiała się, ale jej wzrok był tak samo nieruchomy jak przedtem, a ręce w dalszym ciągu zaciskały się kurczowo na oparciu. - Wieje wiatr. - Śmiech ciotki Maddy zamarł. - Burza. Wszystko wiruje.

Lecę. Lecę z krukiem do gwiazd. Wieża. Wysoko na wieży ogromny zegar. Tam ktoś siedzi, na zegarze, i macha nogami. Schodź natychmiast na dół, lekkomyślna dziewczyno!

Nagle w jej głosie zabrzmiał strach. Zaczęła krzyczeć.

- Burza zrzuci ją na dół! To o wiele za wysoko. Co ona tam robi? Cień? Wielki ptak krąży po niebie! Tam! Rzuci się na nią! Gwendolyn! Gwendolyn!

To było nie do wytrzymania. Odsunęłam mamę na bok, złapałam cioteczną babkę za ramiona i lekko nią potrząsnęłam.

- Ja jestem tutaj, ciociu Maddy. Proszę! Popatrz! Cioteczna babka odwróciła głowę i spojrzała na mnie. Jej

twarz stopniowo odzyskiwała kolory.

- Mój aniołeczku - powiedziała. - To naprawdę była czysta lekkomyślność wspinać się tak wysoko.

- Dobrze się czujesz? - Spojrzałam na mamę. - Jesteś pewna, że to nie było nic złego?

- To była wizja - odrzekła mama. - Ciocia czuje się dobrze.

- Nie, wcale nie dobrze - zaprzeczyła ciotka Maddy. - To była straszna wizja. To znaczy początek był całkiem miły.

Caroline przestała płakać. Ona i Nick patrzyli na cioteczną babkę, jakby była obcą osobą.

- To było okropne - odezwał się Nick. - Zauważyliście, jak zimno się zrobiło?

- Tak ci się tylko zdawało - powiedziałam.

- Na pewno nie!

- Ja też to zauważyłam - wtrąciła Caroline. - Dostałam gęziej skórki.

Ciotka Maddy chwyciła mamę za rękę.

- Grace, spotkałam twoją bratanicę Lucy. Wyglądała dokładnie tak samo jak kiedyś. Ten słodki uśmiech...

Mama sprawiała wrażenie, jakby się zaraz miała rozplakać.

- Reszty znowu nie rozumiałam - mówiła dalej ciotka Maddy. - Szafirowe jajo, kruk, Gwendolyn na wieży zegarowej, a potem ten zły ptak. A ty to rozumiesz?

Mama pociągnęła nosem.

- Oczywiście, że nie, ciociu Maddy. To są twoje wizje. Opadła obok niej na krzesło.

- Co z tego, i tak ich nie rozumiem - westchnęła cioteczna babka. - Zapisywałaś wszystko, żebyśmy mogły to później opowiedzieć twojej mamie?

- Nie, cioteczko, nie zapisywałam. Ciotka Maddy pochyliła się do przodu.

- W takim razie powinnyśmy natychmiast to zapisać. A więc najpierw była tam Lucy, potem drzewo. Czerwone owoce... czy to mogła być jarzębina? Tam leżał ten kamień, oszlifowanyna kształt jaja... mój Boże, jaka ja jestem głodna! Mam nadzieję, że nie zjedliście beze mnie podwieczorku. Dziś zasłużyłam co najmniej na dwie porcje. Albo trzy.

- To było naprawdę przerażające - powiedziałam.

Caroline i Nick poszli już spać, a ja siedziałam na brzegu łóżka w pokoju mamy i próbowałam wymyślić jakieś sensowne przejście do mojego problemu. „Mamo, dziś po południu coś się wydarzyło i boję się, że to się powtórzy”.

Mama była zajęta wieczorną toaletą. Właśnie skończyła smarować kremem twarz. Dbalosc o urodę najwyraźniej się opłacała. Nikt by się nie domyślił, że skończyła już czterdzieści lat.

- Pierwszy raz byłam przy jednej z wizji cioci Maddy - dodałam.

- Pierwszy raz miała wizję w czasie kolacji - odrzekła mama, nakładając sobie krem na dłonie i wcierając go.

Zawsze uważała, że wiek najszybciej można poznać po rękach i po szyi.

- I co, można te jej wizje traktować serio? Mama wzruszyła ramionami.

- Taaaa... Sama słyszałaś, co mówiła, pomieszanie z poplątaniem. Coś takiego zawsze można sobie odpowiednio zinterpretować. Trzy dni przed śmiercią twojego dziadka też miała wizję. Zobaczyła czarną panterę, która skoczyła mu na piersi.

- Dziadek umarł przecież na zawał serca. To by się zgadzało.



- No więc mówię, zawsze jakoś tam pasuje. Chcesz kremu do rąk?
- A ty, wierzysz w to? To znaczy nie w krem do rąk, tylko w wizje cioci Maddy.
- Myślę, że ciocia Maddy naprawdę widzi to, o czym opowiada. Ale to jeszcze nie znaczy, że to, co widzi, przepowiada przyszłość. Albo że w ogóle coś znaczy.

- Nie rozumiem!

Wyciągnęłam do mamy ręce, a ona zaczęła mi wcierać krem.

- To jest trochę tak jak z twoimi duchami, kochanie. Jestem przekonana, że je widzisz, podobnie jak wierzę cioci Maddy, że ma wizje.

- Czy to ma znaczyć, że wierzysz wprawdzie, że widzę duchy, ale nie wierzysz, że one istnieją?  
- wykrzyknęłam i oburzona cofnęłam ręce.

- Nie wiem, czy naprawdę istnieją - powiedziała mama. -A w co ja wierzę, to zupełnie nieważne.

- Ale gdyby one nie istniały, to znaczyłoby, że je sobie wmówiłam. A to z kolei oznaczałoby, że zwariowałam.

- Nie - zaprzeczyła mama. - To znaczyłoby tylko tyle, że... och, kochanie! Sama nie wiem. Czasami mi się zdaje, że wszyscy w tej rodzinie mają po prostu odrobinę za bardzo wybujałą fantazję. Bylibyśmy znacznie spokojniejsi i szczęśliwsi, gdybyśmy ograniczyli się do tego, w co wierzą normalni ludzie.

- Rozumiem.

Może to nie był dobry pomysł, żeby wyjeżdżać teraz z moimi nowinkami. „Wiesz, mamó, dzisiaj po południu odbyliśmy podróż w przeszłość, ja i moja nienormalna fantazja”.

- Oj, nie obrażaj się na mnie - powiedziała mama. - Wiem, że istnieją rzeczy na niebie i ziemi, których nie potrafimy sobie wytłumaczyć. Ale być może nadajemy tym rzeczom zbyt wielkie znaczenie, zajmując się nimi tak mocno. Nie uważam, że zwariowałaś. Ciocia Maddy też nie. Ale powiedz szczerze: czy sądzisz, że wizja cioci Maddy ma coś wspólnego z twoją przyszłością?

- Być może.

- Ach tak? Masz zamiar w najbliższym czasie wdrapać się na wieżę i usiąść tam na zegarze, żeby pomajtać sobie nogami?

- Oczywiście że nie. Ale to może być symbol.

- Tak, może być - przyznała mama. - A może i nie. Idź już spać, kochanie. To był długi dzień. - Spojrzała na zegar na nocnej szafce. - Miejmy nadzieję, że Charlotta ma to już za sobą. Mój Boże, jak bardzo bym chciała, żeby to się w końcu stało.

- A może Charlotta też ma zbyt wybujałą fantazję? - Wstałam i pocałowałam mamę na dobranoc. Jutro spróbuję jeszcze raz. Może.

- Dobranoc.

- Dobranoc, moje szczęście. Kocham cię.

- Ja ciebie też, mamo.

Poszłam do swojego pokoju, zamknęłam drzwi i wdrapałam się na łóżko. Czułam się dość paskudnie. Oczywiście powinnam była wszystko mamie opowiedzieć. Ale jej słowa dały mi do myślenia. Z pewnością miałam wybujałą fantazję, ale mieć fantazję to jedno, a uroić sobie podróżę w czasie to zupełnie co innego.

Ludzi, którzy roili sobie coś takiego, poddawano leczeniu. Może byłam taka sama jak ci wszyscy, którzy opowiadają, że porwało ich UFO. Po prostu walnięta.

Zgasiłam lampkę nocną i otuliłam się kołdrą. Co było gorsze? Zwariować czy naprawdę podróżować w czasie?

Chyba to drugie, pomyślałam. Na to pierwsze pewnie można brać jakieś tabletki.

W ciemnościach powrócił lęk. Myślałam znowu o tym, jak spadłabym z trzeciego piętra, stąd aż na ziemię. Włączyłam więc ponownie lampkę i odwróciłam się twarzą do ściany. Aby zasnąć, próbowałam myśleć o czymś zupełnie neutralnym, ale wciąż mi się to nie udawało. Wreszcie zaczęłam liczyć od tysiąca do tyłu.

W końcu musiałam jednak zasnąć, bo śnił mi się wielki ptak, gdy nagle przebudziłam się i usiadłam na łóżku z mocno bijącym sercem.

I znowu to samo, to paskudne uczucie mdłości. Ogarnięta paniką wyskoczyłam z łóżka i na miękkich nogach pognałam co sił do mamy. Było mi wszystko jedno, czy uzna, że jestem wariatką, chciałam tylko, żeby się to skończyło. I nie chciałam spaść w dół, w bagno, z wysokości trzeciego piętra.

Ledwie zdążyłam wyjść na korytarz, ziemia usunęła mi się spod nóg. Przekonana, że nadeszła moja ostatnia godzina, mocno zacisnęłam powieki. Ale tylko łupnęłam kolaniem o podłogę, dobrze mi znaną w dotyku. Ostrożnie otworzyłam oczy. Zrobiło się jaśniej, jak gdyby w ciągu ostatniej sekundy nagle wstał dzień. Przez chwilę miałam nadzieję, że nic się nie stało, ale potem zobaczyłam, że jestem wprawdzie na naszym korytarzu, ale ten korytarz wygląda inaczej niż normalnie. Ściany były pomalowane na ciemnooliwkowy kolor, a z sufitu znikły lampy.

Z pokoju Nicka dobiegły mnie głosy. Żeńskie głosy.

Szybko się podniosłam. Gdyby ktoś mnie zobaczył... jak miałabym wytłumaczyć, skąd się tu nagle znalazłam? W piżamie w obrazki z Hello Kitty.

- Jak ja mam dosyć tego wczesnego wstawania - odezwał się jakiś głos. - Walter może spać do dziewiątej. A my? To ja sobie mogłam zostać na wsi i dalej doić krowy!

- Walter przez pół nocy miał służbę, Klarysso. Masz przekrzywiony czepek - usłyszałam drugi głos. - Schowaj pod nim porządnie włosy, inaczej dostaniesz burę od pani Mason.

- Ona i tak nic innego nie robi, tylko krzyczy - mruknął ten pierwszy głos.

- Niektóre ochmistrzynie są znacznie surowsze, moja droga Klarysso. A teraz chodź, zrobiło się późno. Mary zeszła na dół już piętnaście minut temu.

- Tak, i nawet pościeliła łóżko. Zawsze pilna, zawsze schludna, wszystko tak, jak sobie życzy pani Mason. Ale ona to robi specjalnie. Dotykałaś kiedyś jej kołdry? Jest bardzo miękka. To niesprawiedliwe!

Musiałam uciekać stąd jak najszybciej. Tylko dokąd? Dobrze, że wszystko tutaj znałam.

- Moja kołdra strasznie drapie - poskarżyła się Klaryssa.

- Zimą będziesz się cieszyć, że ją masz. No chodź już.

Klamka przesunęła się w dół. Skoczyłam szczupakiem w stronę wielkiej szafy, gwałtownie szarpnęłam drzwi i zamknęłam je dokładnie w chwili, kiedy otworzyły się drzwi pokoju Nicka.

- Ja tylko nie rozumiem, dlaczego moja kołdra drapie, a Mary ma taką miękką - rozległ się głos Klaryssy. - To wszystko tutaj jest takie niesprawiedliwe. Betty może jechać z lady Montrose na wieś, a my musimy całe lato wytrzymać w tym dusznym mieście.

- Naprawdę powinnaś spróbować nieco mniej narzekać, Klarysso.

Mogłam się tylko zgodzić z tą kobietą. Ta cała Klaryssa była straszliwą mękołą.

Usłyszałam, jak schodzą po schodach, i odetchnęłam. Mało brakowało. Jak dobrze, że wszystko tutaj znałam. Ale co teraz? Mam po prostu czekać w szafie, aż wrócę do swoich czasów? Ib by chyba było najbezpieczniejsze. Chlipnęłam i splotłam ręce na piersi.

Za mną, w ciemnościach, ktoś westchnął.

Zamarłam z przerażenia. Co to miało być, na Boga?

- Klarysso, to ty? - padło pytanie od strony półek z bielizną. To był męski głos. - Czyżbym zaspał?

O niebios! Tu w szafie ktoś spał. Co to za zwyczaje?!

- Klarysso? Mary? Kto tu jest? - zapytał głos, tym razem znacznie przytomniej.

W ciemnościach rozległ się rumor. Jakaś ręka wyciągnęła się w moim kierunku i dotknęła moich pleców. Nie chciałam czekać, aż mnie chwyci, otworzyłam drzwi szafy i uciekłam.

- Stać! Zatrzymać się!

Szybko obejrzałam się przez ramię. Z szafy wyskoczył za mną młody mężczyzna w długiej białej koszuli.

Zbiegłam po schodach. Gdzie, na miłość boską, mogłabym się teraz schować? Kroki szafowego śpiocha dudniły za mną, a on sam wrzeszczał: „Łapać złodzieja!”.

Złodzieja? Chyba się przesłyszałam. A cóż ja mu mogłam ukraść? Może szlafmycę?

Dobrze, że mogłabym pędzić po tych schodach nawet w najgłębszym śnie. Doskonale znałam każdy stopień. Z szybkością światła zbiegłam dwa piętra. Z pewnym żalem minęłam portret praprapradziadka Hugh, bo tajemne drzwi byłyby doskonałym

wyjściem z tej przekłętej sytuacji. Ale ich mechanizm zawsze się trochę zacinał i zanim zdążyłabym się z nim uporać, mężczyzna w nocnej koszuli pewnie by mnie dogonił. Nie, potrzebowałam lepszej kryjówki.

Na pierwszym piętrze omal nie wpadłam na dziewczynę w czepku, która dźwigała wielki dzban. Zapiszczała głośno, kiedy minęłam ją biegiem i - jak w scenie z filmu - wypuściła dzban z rąk. Rozbił się na kawałki, a jego zawartość rozlała się po podłodze.

Miałam nadzieję, że - też jak na filmie - mój prześladowca się na tym pośliznie. W każdym razie pokonanie tego odcinka zajęło mu nieco więcej czasu. Wykorzystałam przewagę, by dobiec do antresoli dla orkiestry. Jednym szarpnięciem otworzyłam drzwi do małego schowka pod schodami i wczłogałam się do niego. Tak jak za moich czasów było tu pełno kurzu, bałagan i cała masa pajęczyn. Przez szczeliny między stopniami przenikało do mojej kryjówki nieco światła, w każdym razie dość, by się zorientować, że nikt tutaj nie spał. Zupełnie tak samo jak u nas, każdy kąt wypełniały stare graty.

Nade mną rozległy się donośne głosy. Mężczyzna w koszuli dyskutował z tym biednym dziewczęciem, które upuściło dzban.

- To pewnie złodziejka! Nigdy przedtem nie widziałem jej w tym domu!

Teraz odezwały się inne głosy.

- Pobiegnij na dół. W domu może być jeszcze ktoś z tej szajki.

- To nie moja wina, pani Mason. Ta złodziejka po prostu mnie ominęła. Pewnie chciała ukraść kosztowności milady.

- Na schodach nikogo nie spotkałam. Musi gdzieś tu być. Zamknijcie drzwi na klucz i przeszukajcie dom - rozkazał bardzo energiczny damski głos. - A pan, Walterze, natychmiast pójdzie na górę i coś na siebie włoży. Pana owłosione łydki nie są wczesnym rankiem miłym widokiem.

O mój Boże! Jako dziecko chowałam się tu może z milion razy, ale nigdy aż tak bardzo się nie bałam, że ktoś mnie znajdzie. Ostrożnie, by nie zdradził mnie żaden szmer, wsunęłam się głębiej

między stare graty. Po ręce przebiegł mi pająk. Był lak wielki, że ledwie się powstrzymałam od głośnego krzyku.

- Lester, pan Jenkins i Tott, sprawdźcie parter i piwnice. Mary i ja zajmiemy się piętem.

Klaryssa dopilnuje tylnych drzwi, a Helena wejścia.

- A jeśli będzie chciała uciec przez kuchnię?

- Musiałyby najpierw pokonać przeszkodę w postaci pani Craine i jej żeliwnych patelni.

Przeszukajcie schowki pod schodami i zajrzyjcie za wszystkie kotary.

Byłam zgubiona.

Niech to diabli. To wszystko tutaj było takie... nierealne!

Tkwiałam w tym schowku, siedząc w kucki, w piżamie, między tłustymi pająkami i zakurzonymi meblami - brrrrr, czyżby to był wypchany krokodyl? - i czekałam, aż aresztują mnie za próbę kradzieży. I to wszystko tylko dlatego, że coś poszło nie tak, a Isaac Newton pomylił się w obliczeniach.

Z wściekłości i bezsilności zaczęłam płakać. Może tym ludziom zrobi się mnie szkoda, kiedy znajdą mnie w tym stanie? Szklane oczy krokodyla drwiąco błyskały ku mnie w mroku. Wszędzie dokoła słyhać było kroki. Kurz ze stopni sypał mi się do oczu.

I wtedy znowu poczułam ucisk w żołądku. Jeszcze nigdy nie ucieszył mnie tak bardzo jak w tym momencie. Krokodyl rozmył mi się przed oczami, wszystko wokół zawirowało i zapadła cisza. I kompletne ciemności.

Odetchnęłam głęboko. Nie ma powodu do paniki. Prawdopodobnie wróciłam do swoich czasów. I prawdopodobnie tkwiłam tylko wśród gratów pod schodami, ale już w swojej epoce. Teraz też było tu pełno tłustych pająków.

Coś delikatnie dotknęło mojej twarzy. No dobra, panikuję! Zamachałam gwałtownie rękami i szybkim ruchem wyciągnęłam nogi spod komody. Rozległ się rumor, deski zaskrzypiały, stara lampa runęła na podłogę. To znaczy, domyślałam się, że to była lampa, bo w dalszym ciągu nic nie widziałam. Ale udało mi się wyswobodzić. Z ulgą wymacałam dłońią drzwi i wyczołgałam się z

kryjówki. Na zewnątrz wprawdzie też było ciemno, ale udało mi się dostrzec zarys poręczy, wysokich okien i lśniących żyrandoli.

I postać, która się do mnie zbliżała. Oślepił mnie snop światła latarki.

Otworzyłam usta, żeby zacząć krzyczeć, ale nie mogłam z siebie wydobyć żadnego dźwięku.

- Szuka panienka czegoś specjalnego w komorze, panno Gwendolyn? - zapytała postać. To był pan Bernhard. - Chętnie pomogę panience w poszukiwaniach.

- Och... ja... - Nie mogłam złapać oddechu, strach ciągle ścisnął mnie za gardło. - Co pan tutaj robi?

- Usłyszałem hałas - powiedział z godnością pan Bernhard. - Wygląda panienka na... nieco zakurzoną.

- Tak.

Zakurzoną, podrapaną i zapłakaną. Ukradkiem otarłam łzy z oczu.

Pan Bernhard obejrzał mnie w świetle latarki przez swoje swoje okulary. Spojrzałam na niego przekornie. Nocne wczolgi-wanie się do schowka nie było przecież zabronione, prawda? A powody nie powinny pana Bernharda nic a nic obchodzić.

Ciekawe, czy on śpi w okularach.

- Budzik zadzwoni dopiero za dwie godziny - rzekł w końcu. - Proponuję, żeby panienka spędziła ten czas w swoim łóżku. Ja też jeszcze trochę odpocznę. Dobranoc.

- Dobranoc, panie Bernhard.

## Kroniki Strażników 12 lipca 1851 roku

*Mimo gruntownego przeszukania domu nie udało się ująć złodziejki, która wczesnym rankiem była widziana w domu lorda Horacego Montrose (Krag Wewnętrzny) przy Bourdon Place.*

*Prawdopodobnie zbiegła przez okno do ogrodu. Ochmistrzyni, pani Mason, sporządziła listę przedmiotów, które zostały skradzione. Należą do nich srebra i cenna biżuteria lady Montrose, w tym kolia, którą hrabia Wellington podarował matce lorda Montrose. Lady Montrose przebywa obecnie na wsi.*

Raport: David Loyde, adept II stopnia



## 5.

Wyglądasz na kompletnie wykończoną - powiedziała Leslie podczas przerwy, gdy wyszliśmy na boisko.

- Bo czuję się fatalnie.

Leslie pogłaskała mnie po ramieniu.

- Ale do twarzy ci z tymi podkrążonymi oczami - spróbowała dodać mi otuchy. - Dzięki temu twoje oczy wydają się jeszcze bardziej błękitne.

Mimo woli się uśmiechnęłam. Leslie była taka kochana. Siedziałyśmy na drewnianej ławce pod kasztanowcem i musiałyśmy rozmawiać szeptem, bo tuż za nami siedziała Cynthia Dale z przyjaciółką, a zaraz obok Gordon Piszcząca Kaczuszka Mruczający Miś Gelderman dyskutował z dwoma chłopakami z naszej klasy o piłce nożnej. Nie chciałam, żeby się zorientowali, o czym gadamy. I tak uważali mnie za dziwaczkę.

- Och, Gwen! Powinnaś była porozmawiać z mamą.

- Mówiłaś mi to już przynajmniej pięćdziesiąt razy.

- Mówiłam, bo to prawda. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tego nie zrobiłaś!

- Bo... och, właściwie sama tego nie rozumiem. Chyba jakoś tak ciągle wierzyłam, że to się nie powtórzy.

- Już sama ta nocna przygoda... przecież wszystko się mogło wtedy zdarzyć. Przypomnij sobie choćby przepowiednię

twojej ciotki. To nie mogło znaczyć nic innego jak tylko grożące ci wielkie niebezpieczeństwo.

Zegar oznacza podróżę w czasie, wieża symbolizuje niebezpieczeństwo, a ptaki... nie powinnaś jej była budzić! Pewnie dopiero potem zrobiłoby się naprawdę ciekawie. Dziś po południu posprawdzam wszystko dokładnie: kruk, szafir, wieża, jarzębina. Znalazłam taką stronę o zjawi-

skach nadprzyrodzonych, jest bardzo pouczająca. I wyszukałam ci mnóstwo książek o podróżach w czasie. I filmy. *Powrót do przyszłości*, trzy części. Może się czegoś dowiemy...

Z utęsknieniem pomyślałam o tym, jak wesoło było zawsze u Leslie, kiedy przewalałyśmy się po kanapie i oglądałyśmy filmy na DVD. Czasami ściszałyśmy dźwięk i same podkładałyśmy głos - nasze własne listy dialogowe.

- Mdl cię?

Pokręciłam głową. Teraz wiedziałam, jak biedna Charlotta musiała się czuć przez ostatnie tygodnie. To wypytywanie mogło człowiekowi działać na nerwy. Nie mówiąc o tym, że cały czas wyczekiwałam pierwszych oznak mdłości.

- Gdyby tylko było wiadomo, kiedy się to znowu zdarzy - rzekła Leslie. - Moim zdaniem to bardzo niesprawiedliwe: Charlotte przygotowywano na to cały czas, a ty musisz skakać na głęboką wodę.

- Nie mam pojęcia, co zrobiłaby Charlotta, gdyby to ją, a nie mnie wczoraj w nocy gonił ten człowiek, który spał w naszej szafie - powiedziałam. - Nie sądzę, żeby w tej sytuacji pomogły jej lekcje tańca czy fechtunku. Jak okiem sięgnąć, nie było także konia, na którym mogłaby uciec.

Parsknęłam śmiechem, wyobraziwszy sobie Charlotte, jak zamiast mnie ucieka przed wściekłym Walterem po całym domu.

A może chwyciłaby szpadę ze ściany w salonie i urządziła wśród biednej służby krwawą jatkę.

- Pewnie, że nie, głuptasie. Tylko jej nic takiego by nie spotkało, ponieważ w porę przeskoczyłaby za pomocą tego chrono-cośtam do innych czasów. Tam gdzie panowałby spokój. Tam gdzie nic nie mogłoby się jej stać. Ale ty wolisz ryzykować własne życie, zamiast opowiedzieć swojej rodzinie, że wyszkolili nie tę osobę co trzeba.

- Może tymczasem Charlotta też przeskoczyła w przeszłość? Mieliby to, czego chcieli.

Leslie westchnęła i zaczęła wertować plik papierów leżący na jej kolanach. Założyła dla mnie teczkę z całą masą przydatnych informacji. Albo nieco mniej przydatnych. Wydrukowała na przykład zdjęcia starych samochodów i napisała obok rok produkcji. Wynikało z tego, że samochód, który widziałam podczas pierwszej podróży w czasie, pochodził z 1906 roku.

- Kuba Rozpruwacz grasował na East Endzie. To było w 1888 roku. Co interesujące, nigdy nie wykryto, kto nim był. Podejrzewano wszelkie możliwe typy, ale żadnemu nie zdołano niczego udowodnić. A więc jeśli miałabyś się zaplatać na East End: w 1888 roku każdy facet stanowi potencjalne zagrożenie. Wielki pożar Londynu miał miejsce w 1666 roku, zaraza panowała prawie przez cały czas, szczególnie źle było jednak w latach 1348, 1528 i 1664. Następnie: bombardowania w czasie drugiej wojny światowej. Zaczęły się w 1940 roku, cały Londyn legł w gruzach. Musisz się dowiedzieć, czy wasz dom się uratował, jeśli tak, jesteś tam bezpieczna. A jeśli nie, to niezłym miejscem byłaby katedra Świętego Pawła, bo wprawdzie ją trafili, ale jakimś cudem ocalała. Mogłabyś się tam schronić.

- To wszystko brzmi strasznie groźnie - powiedziałam.

- Tak, ja też to sobie wyobrażałam jakoś bardziej romantycznie. Wiesz, myślałam, że to będzie coś jak film historyczny z Charlotta w roli głównej. Zatańczy z panem Darcym na balu. Zakocha się w Robin Hoodzie. Powie Annie Boleyn, żeby pod żadnym pozorem nie wychodziła za Henryka VIII. I takie tam.

- Anna Boleyn to ta, której ścięli głowę?

- Tak - potwierdziła Leslie. - Jest o tym świetny film, z Natalie Portman. Mogłabym wypożyczyć to na DVD... Gwen, proszę, obiecaj mi, że dziś porozmawiasz z mamą.

- Obiecuję. Porozmawiam dziś wieczorem.

- A gdzie jest Charlotta? - Cynthia Dale wytknęła głowę zza drzewa. - Chciałam od niej odpisać wypracowanie o Szekspirze. To znaczy... hmm... chciałam zaczerpnąć nieco inspiracji.

- Charlotta jest chora - powiedziałam.

- A co jej jest?

- Hmm...

- Ma biegunkę - rzuciła Leslie. - Cały czas siedzi na kiblu.

- Faj, bez szczegółów, proszę - skrzywiła się Cynthia. - A mogę zobaczyć wasze wypracowania?

- Jeszcze ich nie skończyłyśmy - powiedziała Leslie. - Chcemy przedtem obejrzeć na DVD

*Zakochanego Szekspira.*

- Możesz przeczytać moje wypracowanie - odezwał się Gordon Gelderman swoim bardzo grubym basem. Wychylił się zza drzewa z drugiej strony. - Wszystko zerznąłem z Wikipedii.  
- Sama mogę wejść na Wikipedię - burknęła Cynthia.  
- Dwie godziny angielskiego - westchnął Gordon, gdy rozległ się dzwonek na lekcję. - Męka dla każdego faceta. Ale Cynthia już się ślini na samą myśl o Cudownym Księżciu.

- Zamknij się, Gordon.

Ale jak wiadomo, Gordon nigdy się nie zamykał.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego się tak wszystkie zachwycacie tym waszym panem Whitmanem. Przecież to gej, aż w oczy kłuje.

- Bzdury! - Cynthia oburzona wstała z miejsca.

- Pewnie, że gej. - Gordon poszedł za nią aż do wejścia. Mógłby tak gadać do Cynthii aż do drugiego piętra i nawet nie musiałby nabierać powietrza. Leslie przewróciła oczami.

- Chodź. - Wyciągnęła do mnie rękę, żeby mi pomóc podnieść się z ławki. - Idziemy do Cudownego Księcia Wiewióra.

Na schodach na drugim piętrze wyprzedziłyśmy Cynthię i Gordona. Cały czas gadali jeszcze o panu Whitmanie.

- Przecież to widać po tym jego wieśniackim sygnecie - powiedział Gordon. - Takie coś noszą tylko geje.

- Mój dziadek też zawsze nosił sygnety - rzuciłam, chociaż wcale nie zamierzałam się wtrącać.

- No to twój dziadek też był gejem - oznajmił Gordon.

- Ty po prostu jesteś zazdrosny - podsumowała Cynthia.

- Zazdrosny? Ja? O tego mięczaka?

- Oczywiście. Dlatego, że pan Whitman jest najprzystojniejszym, najbardziej męskim, najmądrzejszym heteroseksualnym mężczyzną, jaki w ogóle istnieje. I dlatego, że wyglądasz przy nim jak mały, głupi, śmieszny chłopczyk.

- Dzięki za komplement - powiedział pan Whitman. Pojawił się niezauważony tuż obok nas, dzierżąc pod pachą plik kartek papieru. Jak zawsze wyglądał olśniewająco (choć odrobinę przypominał wiewiórkę). Cynthia poczerwieniała bardziej niż burak, o ile to w ogóle możliwe. Naprawdę zrobiło mi się jej szkoda. Gordon uśmiechnął się z mściwą satysfakcją.

- A ty, mój drogi Gordonie, powinieneś dowiedzieć się kiedyś czegoś więcej o sygnetach i ich posiadaczach - dodał pan Whitman. - W przyszłym tygodniu chciałbym dostać od ciebie krótkie wypracowanie na ten temat.

Teraz Gordon też poczerwieniał. Ale w przeciwieństwie do Cynthii mowy mu nie odebrało.

- Z angielskiego czy z historii? - zaskrzeczał.

- Życzyłbym sobie, żebyś na pierwszym planie umieścił! aspekty historyczne, ale pozostawiam ci całkowicie wolną rękę. Powiedzmy, pięć stron na najbliższy poniedziałek? - Pan Whitman otworzył drzwi do klasy i promiennie się do nas uśmiechnął. - Mogę prosić?

- Nienawidzę go - mruknął Gordon, idąc do swojej ławki. Leslie poklepała go pocieszająco po ramieniu.

- Myślę, że z wzajemnością.

- Proszę cię, powiedz, że to mi się tylko śniło - zwróciła się do mnie Cynthia.

- Tylko ci się śniło - powiedziałam zgodnie z jej życzeniem. - W rzeczywistości pan Whitman nie usłyszał ani słowa o tym, że uważasz go za najbardziej seksownego faceta na świecie.

Cynthia z głośnym westchnieniem opadła na krzesło.

- Rozstąp się, ziemio, i pochłoń mnie! Usiadłam na swoim miejscu obok Leslie.

- Biedaczka ciągle wygląda jak burak.

- Pewnie będzie wyglądała jak burak aż do skończenia tej szkoły. Matko, ale to głupio wyszło.

- Może pan Whitman będzie jej teraz stawiał lepsze stopnie? Pan Whitman w zamyśleniu spojrzął na puste miejsce Charlotty.

- Panie Whitman? Charlotta jest chora - odezwałam się. -Nie wiem, czy moja ciocia dzwoniła do sekretariatu.

- Ma biegunkę - ryknęła Cynthia.

Najwyraźniej odczuwała silną potrzebę powiększenia grona tych, którym było głupio.

- Charlotta jest usprawiedliwiona - powiedział pan Whitman. - Prawdopodobnie nie będzie jej przez kilka dni. Aż wszystko... wróci do normy.

Odwrócił się i napisał na tablicy słowo „sonet”.

- Czy ktoś wie, ile Szekspir napisał sonetów?

- Co on miał na myśli, mówiąc, że wszystko wróci do normy? - szepnęłam do Leslie.

- Mnie się w każdym razie zdawało, że on wcale nie mówi o biegunce Charlotty - odrzekła cicho. Mnie też się tak zdawało.

- Przyjrzałaś się kiedyś jego sygnetowi? - szepnęła Leslie.

- Nie, a ty?

- Jest na nim gwiazda. Gwiazda z dwunastoma ząbkami.

- No i co z tego?

- Dwanaście ząbków, jak na zegarze.

- Przecież zegar nie ma ząbków. Leslie przewróciła oczami.

- Czy ty naprawdę niczego nie jarzysz? Dwanaście! Zegar! Czas! Podróże w czasie! Mogę się założyć, że... Gwen?

- A niech to szlag! - Żołądek znowu podjechał mi do góry, jakbym była na karuzeli.

Leslie patrzyła na mnie przerażona.

- O, nie!

Byłam tak samo przerażona jak ona. Rozpłynięcie się w powietrzu na oczach całej klasy było ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowałam. Wstałam więc i chwiejnie podeszłam do drzwi, przyciskając rękę do brzucha.

- Jest mi bardzo niedobrze - powiedziałam do pana Whitmana i nie czekając na jego reakcję, gwałtownie otworzyłam drzwi i wyskoczyłam na korytarz.

- Może ktoś powinien za nią pójść - usłyszałam głos pana Whitmana. - Leslie, może ty?

Leslie pędem wybiegła za mną i z hukiem zamknęła za sobą drzwi.

- No dobra, szybko! Do toalety, tam nas nikt nie zobaczy. Gwen! Gwenny!

Twarz Leslie rozplynęła mi się przed oczami, a jej głos zaczął dobiegać z bardzo daleka. A potem znikła. Stałam sama w korytarzu ze wspaniałymi złoconymi tapetami na ścianach. Pod moimi stopami zamiast solidnych płyt z trawertynu rozciągał się kunsztownie intarsjowany lśniący parkiet. Najwyraźniej była noc albo co najmniej wieczór, bo w przytwierdzonych do ścian kandelabrach płonęły świece, a z ozdobionego malowidłami stropu zwisały żyrandole, także z płonącymi świecami. Wszystko było spowite miękkim, złotym światłem.

Moja pierwsza myśl była taka: super, nie poleciałam w dół. Moja druga myśl: gdzie się mogę schować, żeby mnie nikt nie zobaczył?

Nie byłam bowiem w tym budynku sama. Z dołu dobiegała muzyka skrzypiec. I głosy. Sporo głosów.

To miejsce niezbyt przypominało dobrze mi znany szkolny korytarz na drugim piętrze liceum Saint Lennox. Spróbowałam uprzytomnić sobie rozkład pomieszczeń. Za mną znajdowały się drzwi do naszej klasy, naprzeciwko pracownia klasy szóstej, gdzie właśnie pani Counter prowadziła lekcję geografii. Obok był składzik. Gdybym się tam ukryła, nikt by mnie nie zobaczył, przynajmniej kiedy będę wracać.

Z drugiej strony składzik najczęściej był zamknięty na klucz i ukrycie się tam mogło nie być dobrym pomysłem. Gdybym po powrocie znalazła się w zamkniętym pomieszczeniu, musiałabym wymyślić naprawdę przekonujące wyjaśnienie, jak, u diabła, się tam dostałam.

Jeśli jednak poszłabym gdzie indziej, to w chwili powrotu mogłabym się zmaterializować na oczach całej masy uczniów i nauczycieli. Wy tłumaczenie tego faktu byłoby chyba jeszcze trudniejsze. Może więc po prostu powinnam zostać na tym korytarzu i mieć nadzieję, że to

wszystko długo nie potrwa. Moje pierwsze dwie podróże w czasie trwały przecież zaledwie po kilka minut.

Oparłam się o brokatową tapetę i z utęsknieniem czekałam na nadejście mdłości. Z dołu dobiegał szum głosów i śmiechy. Słyszałam, jak brzęczą szklanki, a potem znowu zagrały skrzypce. To brzmiało tak, jak gdyby tam na dole świetnie bawiła się spora gromada ludzi. Może James też tam był. W końcu kiedyś tutaj mieszkał. Wyobraziłam sobie, jak - całkiem żywy - jest tam na dole i tańczy do dźwięków muzyki.

Szkoda, że nie mogłam się z nim spotkać. Ale pewnie by się nie ucieszył, gdybym mu powiedziała, skąd się znamy. To znaczy gdzie go zobaczę długo po tym, jak już umrze.

Gdybym wiedziała, na co umarł, być może mogłabym go ostrzec. „Hej, James, 15 lipca na Park Lane spadnie ci cegła na głowę, więc może tego dnia zostań lepiej w domu”. Żeby było ciekawiej, James też nie wiedział, na co umarł. On nawet nie wiedział, że w ogóle umarł. To znaczy, że umrze. Że będzie nieżywy.

Im dłużej myślałam o wszystkim, co miało związek z podróżami w czasie, tym bardziej skomplikowane mi się to wydawało.

Usłyszałam kroki na schodach. Ktoś biegł na górę. Nie, to były dwie osoby. Cholera! Czy nie można tu sobie spokojnie postać przez parę minut? Co teraz? Zdecydowałam się na pokój naprzeciwko, za moich czasów pracownię klasy szóstej. Klamka w drzwiach się zacięła i trwało parę sekund, nim pojęłam, że powinnam ją podnieść, a nie naciskać w dół.

Gdy wreszcie zdołałam się wśliznąć do środka, kroki rozbrzmiewały już całkiem blisko. Również tutaj w kandelabrach na ścianach płonęły świece. Jakże lekkomyślne było pozostawianie ich zapalonych bez nadzoru! A mnie urządzano awantury nawet wtedy, gdy zdarzyło mi się zapomnieć w szwalni zdmuchnąć małą świeczkę do podgrzewacza.

Rozejrzałam się za jakąś kryjówką, ale pomieszczenie było bardzo skąpo umeblowane. Stało tu coś w rodzaju sofy na wygiętych pozłacanych nogach oraz tapicerowane krzesła, nic, za czym można by się schować, jeśli się było większym od myszki. Nie miałam innego wyjścia, jak ukryć



się za jedną z sięgających podłogi złotych kotar. Była to mało oryginalna kryjówka, ale w końcu przecież nikt mnie nie szukał.

Z korytarza dobiegły mnie głosy.

- A ty dokąd się wybierasz? - usłyszałam głos mężczyzny, chyba dość rozwścieczonego.

- Wszystko mi jedno! Byle dalej stąd - odpowiedział inny głos.

To był głos dziewczyny, a mówiąc ściślej, dziewczyny zanoszącej się płaczem. Ku mojemu przerażeniu wbiegła właśnie do tego pokoju. A za nią ów mężczyzna. Przez kotarę widziałam ich płaskie cienie.

Tego można się było spodziewać! Ze wszystkich pomieszczeń na górze musieli sobie wybrać właśnie to, w którym się ukryłam.

- Zostaw mnie w spokoju - powiedziała dziewczyna.

- Nie mogę cię zostawić - odparł mężczyzna. - Zawsze kiedy zostawiam cię samą, robisz coś nieprzemyślanego.

- Idź sobie!

- Nigdzie nie pójdę. Posłuchaj, przykro mi, że to się wydarzyło. Nie powinienem był do tego dopuścić.

- Ale dopuściłeś! Bo wpadła ci w oko! Mężczyzna roześmiał się cicho.

- Ty jesteś zazdrosna.

- Chciałbyś!

No pięknie! Kłóący się kochankowie! To może potrwać. Chyba uświerknę za tą kotarą, nim wrócę do swoich czasów i niespodziewanie pojawię się przy oknie na lekcji pani Coun-ter. Może jej powiem, że brałam udział w doświadczeniu z fizyki. Albo że przez cały czas tam byłam, a ona mnie po prostu nie zauważyła.

- Hrabia będzie się zastanawiał, gdzie się podziałiliśmy - powiedział męski głos.

- Niech ten twój hrabia wyśle na poszukiwania swojego przyjaciela z Transylwanii. Po prawdzie to on wcale nie jest hrabią. Jego tytuł jest tak samo fałszywy jak różane policzki tej... jak ona się nazywała? - Dziewczyna gniewnie prychnęła.

To mi się wydało jakoś dziwnie znajome. Bardzo znajome. Ostrożnie wyjrzałam zza kotary. Oboje stali tuż przy drzwiach, zwróceniu do mnie profilami.

Dziewczyna była naprawdę dziewczyną i miała na sobie fantastyczną suknię z ciemnoniebieskiego jedwabiu, przetykaną brokatem, ze spódnicą tak szeroką, że chyba trudno byłoby w niej przejść przez normalne drzwi. Miała śnieżnobiałe włosy, upięte w przedziwny kok na czubku głowy i opadające stamtąd swobodnymi lokami na ramiona. To musiała być peruka.

Także mężczyzna miał białe włosy, związane na karku kokardą. Mimo tych siwych włosów oboje wyglądali na bardzo młodych i bardzo ładnych, przede wszystkim mężczyzna. Właściwie był to raczej chłopak, w wieku może osiemnastu, może dziewiętnastu lat. Był tak przystojny, że aż mi zaparło dech w piersiach. Można by powiedzieć, idealny męski profil. Wprost nie mogłam oderwać od niego wzroku. Wychyliłam się zza kotary znacznie dalej, niżby należało.

- Już nie pamiętam, jak się nazywała - odrzekł chłopak, ciągle jeszcze z uśmiechem.

- Kłamca!

- To nie wina hrabiego, że Rakoczy tak się zachowuje - powiedział chłopak już całkiem poważnie. - Z pewnością go za to ukarze. Nie musisz lubić hrabiego, musisz go tylko szanować.

Dziewczyna znowu lekceważąco prychnęła przez nos i znowu wydało mi się to dziwnie znajome.

- Nic nie muszę - burknęła i gwałtownie odwróciła się w stronę okna.

To znaczy odwróciła się w moją stronę. Chciałam się schować za kotarą, ale nagle znieruchomiałam. To niemożliwe!

Ta dziewczyna miała moją twarz. Patrzyłam w moje własne, wystraszone oczy!

Dziewczyna zdawała się równie zaskoczona jak ja, ale udało jej się szybciej dojść do siebie. Gest, jaki zrobiła ręką, był jednoznaczny.

Schowaj się! Znikaj stąd!

Oddychając z trudem, wsunęłam głowę z powrotem za kotarę. Kim ona była? Przecież to nie mogło być zwykłe podobieństwo. Po prostu musiałam jeszcze raz popatrzeć.

- Co to było? - usłyszałam głos chłopaka.

- Nic - powiedziała dziewczyna. Czy to był może mój głos?

- Pod oknem.
- Nic tam nie ma!
- Ktoś mógłby stać za kotarą i nas podsłu... - Zdanie urwało się niespodziewanie.

Nagle zapanowała cisza. Cóż się tam znowu mogło stać?

Bez zastanowienia odsunęłam kotarę na bok. Dziewczyna, która wyglądała tak jak ja, przycisnęła wargi do ust chłopaka. Zrazu pozwolił na to zupełnie biernie, potem zaś objął ją obiema rękami w tali i mocniej przyciągnął do siebie. Dziewczyna zamknęła oczy.

Raptem w moim żołądku zatańczyły motyle. Dziwnie było przypatrywać się sobie samej, jak całuję się z chłopakiem.

Moim zdaniem robiłam to całkiem nieźle. Było dla mnie jasne, że dziewczyna pocałowała go tylko po to, by odwrócić jego uwagę ode mnie. Miło z jej strony, ale dlaczego to zrobiła? I jak mam przejść koło nich niezauważona?

Motyle w moim brzuchu przeistoczyły się w trzepoczące się ptaki i obraz całującej się pary zamazał mi się przed oczami. I zaraz potem znalazłam się w pracowni szóstej klasy. Moje nerwy były w strzępach.

Panowała cisza.

Liczyłam się z tym, że moje nagłe pojawienie się wyrwie okrzyk z wielu uczniowskich gardeł, i z tym, że ktoś - być może pani Counter - zemdleje z wrażenia.

Ale klasa była pusta. Odetchnęłam z ulgą. Przynajmniej ten jeden raz miałam szczęście. Opadłam na krzesło i oparłam głowę na blacie stolika. To, co się wydarzyło, przekraczało moje granice pojmowania. Ta dziewczyna, ten przystojny chłopak, ten pocałunek...

Ta dziewczyna nie tylko wyglądała jak ja.

Ta dziewczyna była mną.

Nie mogło być mowy o pomyłce. Bez żadnych wątpliwości rozpoznałam siebie samą po znamieniu w kształcie półksiężyca na skroni, które ciotka Glenda nazywała „śmiesznym bananem”.

To niemożliwe, żeby było aż tyle podobieństw.

*Opal i bursztyn to pierwsza para, agatu w B glosy, wilka awatara, duet - solutio! - z akwamarynem, za nimi z mocą szmaragd z cytrynem, kameole bliźniacze to Skorpion, ósmy jest jadeit, digestion. WE-dur czarny turmalin pobrzmiewa, w F blask szafiru jasny olśniewa i diament, z nimi prawie w rzedzie, jednaście i siedem, Lew poznany będzie. Projectio! Czas płynie strumieniem, rubin to początek, lecz i zakończenie.*

*Z Tajnych Akt hrabiego de Saint Germain*

## 6.

**Nie.** To tak nie mogło być.

Jeszcze nigdy nie całowałam się z chłopakiem.

W sumie nigdy tak naprawdę. W każdym razie nie w ten sposób. Był ten Mortimer, który chodził klasę wyżej i z którym w ostatnie wakacje spotykałam się dokładnie dwa tygodnie i pół dnia. Nie tyle dlatego, że byłam w nim zakochana, ile dlatego, że był najlepszym kumplem ówczesnego chłopaka Leslie, Maksa, i tak się jakoś złożyło. Ale do całowania w usta Mortimer się nie zabierał, raczej zależało mu przede wszystkim na tym, żeby robić mi na szyi malinki, kiedy - niby jako manewr odwracający uwagę - próbował mi wsunąć rękę pod koszulkę. Przy trzydziestu stopniach w cieniu musiałam nosić na szyi chustkę i właściwie zajmowałam się wyłącznie odsuwaniem rąk Mortimera (w ciemnej sali kinowej wyrastały mu przynajmniej trzy dodatkowe ręce). Po dwóch tygodniach „za porozumieniem stron” zakończyliśmy nasz „związek”. Ja byłam dla Mortimera zbyt niedojrzała, a Mortimer był dla mnie... hmm... zbyt namolny.

Prócz niego całowałam się tylko z Gordonem na wycieczce szkolnej na wyspę Wight. Ale to się nie liczyło, ponieważ a) było częścią zabawy „prawda lub całus” (powiedziałam prawdę, ale Gordon uparł się, że to było kłamstwo) i b) nie był to prawdziwy pocałunek. Gordon nawet nie wyjął z ust gumy do żucia.

Poza „malinkowym romanssem” (jak to wtedy określiła Leslie) i miętowym całusem od Gordona byłam więc całkowicie niecałowana. Zapewne byłam też „niedojrzała”, jak skomentował to Mortimer. Wiedziałam, że strasznie późno zaczęłam, w wieku szesnastu i pół roku, ale Leslie, która bądź co bądź chodziła z Maksem przez cały rok, uważała, że całowanie jest ogólnie przereklamowane. Mówiła, że pewnie miała pecha, ale chłopcy, z którymi się całowała, zdecydowanie nie byli fachowcami w tej dziedzinie. Twierdziła, że należałoby wprowadzić przedmiot pod tytułem „całowanie”, najlepiej zamiast religii, której i tak nikt nie potrzebuje.

Dość często rozmawialiśmy o tym, jaki powinien być idealny pocałunek, i masę filmów oglądałyśmy po wiele razy tylko dlatego, że były w nich bardzo piękne sceny pocałunków.

- Ach, panna Gwendolyn. Będiesz łaskawa porozmawiać dziś ze mną, pani, czy znowu mnie zignorujesz? - James zobaczył, jak wychodzę z pracowni szóstej klasy, i podszedł do mnie.

- Która godzina? - Popatrzyłam wokół, szukając Leslie.

- Czy ja wyglądam jak zegar? - James rzucił mi oburzone spojrzenie. - Chyba na tyle dobrze mnie znasz, żeby wiedzieć, że czas nie odgrywa dla mnie żadnej roli.

- Święte słowa.

Skręciłam za róg, aby rzucić okiem na wielki zegar na końcu korytarza. James poszedł za mną.

- Byłam tam tylko dwadzieścia minut - powiedziałam.

- Gdzież znowu?

- Och, James, wydaje mi się, że byłam u ciebie w domu. Wszystko tam było naprawdę ładne. Dużo złota. I światło świec, takie przytulne.

- Tak - przyznał James. - Nie takie smutne i pozbawione smaku jak tutaj. - Zatoczył ręką łuk, wskazując szary korytarz szkolny.

Nagle zrobiło mi się go strasznie żal. Przecież nie był znów tak dużo starszy ode mnie - a już nie żył.

- James, powiedz mi, całowałeś się kiedyś z dziewczyną?

- Co proszę?

- Czy się całowałeś?

- Nie przystoi tak mówić, panno Gwendolyn.

- To znaczy, że się nie całowałeś?

- Jestem mężczyzną - odrzekł James.

- A co to ma być niby za odpowiedź? - parsknęłam, a James przybrał tak oburzony wyraz twarzy, że mimo woli musiałam, się roześmiać. - Czy ty właściwie wiesz, kiedy się urodziłeś?

- Chcesz mnie obrazić? Oczywiście, że znam datę własnych urodzin. Trzydziesty pierwszy marca.
- Którego roku?
- 1762. - James butnie wysunął podbródek do przodu. -Trzy tygodnie temu skończyłem dwadzieścia jeden lat. Razem z przyjaciółmi doskonale bawiłem się w White Club, a z okazji tego święta ojciec spłacił wszystkie moje karciane długi i podarował mi cudowną kasztankę. A potem musiałem dostać tej głupiej gorączki i położyłem się do łóżka. Tylko po to, by po przebudzeniu zobaczyć, że wszystko się zmieniło, i spotkać bezczelną pannicę, która powiada, że jestem duchem.
- Przykro mi. Prawdopodobnie z powodu tej gorączki umarłeś.
- Bzdura! Po prostu nie najlepiej się poczułem - burknął James, lecz w jego oczach pojawił się cień niepewności.
- Doktor Barrow stwierdził, że zaraziłem się czarną ospą od lorda Stanhope'a.
- Hmm - powiedziałam tylko.  
Muszę poszukać tej czarnej ospy w Google.
- Hmm. A cóż ma znaczyć to: hmm? - James obrzucił mnie złym spojrzeniem.
- O, tutaj jesteś. - Leslie wypadła z toalety, dobiegła do mnie i rzuciła mi się na szyję. -  
Myślałam, że umrę ze strachu.
- Nic mi nie jest. Po powrocie wylądowałam wprawdzie w pracowni szóstej klasy, ale nikogo tam nie było.
- Szósta klasa pojechała na wycieczkę do obserwatorium w Greenwich - wyjaśniła Leslie. - O Boże, ale się cieszę, że cię widzę. Powiedziałam panu Whitmanowi, że jesteś w toalecie i wyrzucasz sobie duszę z ciała. Wysłał mnie z powrotem do ciebie, żebym odgarnęła ci włosy z twarzy.
- Ohyda. - James z niesmakiem przytknął do nosa chusteczkę. - Powiedz tej piegowatej, że dama nie rozprawia o takich rzeczach.  
Nie zwracałam na niego uwagi.
- Leslie, zdarzyło się coś śmiesznego... Coś, czego nie potrafię sobie wytłumaczyć.

- Wcale w to nie wątpię. - Leslie podetknęła mi pod nos moją komórkę. - Masz. Przyniosłam z twojej szafki. W tej chwili masz zadzwonić do mamy.

- Leslie, ona jest w pracy. Nie mogę...

- Zadzwon do niej! Odbyłaś trzy podróże w czasie, a ten ostatni raz widziałam na własne oczy. Po prostu nagle znikłaś! To było niesamowite. Musisz natychmiast opowiedzieć o tym mamie, żeby nic ci się nie stało. Proszę.

Czyżby Leslie miała łzy w oczach?

- Piegowata ma chyba dzisiaj swój dramatyczny dzień - zauważył James.

Wzięłam od niej komórkę i zaczerpnęłam powietrza.

- Proszę - powtórzyła Leslie.

Moja mama pracowała w administracji szpitala Świętego Bartłomieja. Wystukałam jej numer, patrząc przy tym na Leslie.

Kiwnęła głową i spróbowała się uśmiechnąć.

- Gwendolyn? - Mama najwyraźniej zobaczyła moje imię na wyświetlaczu. Miała zatroskany głos. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żebyś zadzwoniła do niej ze szkoły. - Coś się stało?

- Mamo... źle się czuję.

- Chora jesteś?

- Nie wiem.

- Może bierze cię ta grypa, na którą chorują teraz wszyscy wokoło. Posłuchaj, idź do domu i od razu się połóż, a ja spróbuję dzisiaj wcześniej wrócić z pracy. Zrobię ci sok ze świeżo wyciskanych pomarańczy i gorący okład na szyję.

- Mamo, to nie grypa. To coś gorszego, ja...

- Może to czarna ospa - wtrącił James.

Leslie spojrzała na mnie, chcąc dodać mi otuchy.

- Dawaj! - syknęła. - Powiedz jej!

- Kochanie? Wzięłam głęboki wdech.



- Mamo, wydaje mi się, że jestem taka jak Charlotta. Bo ja właśnie przed chwilą... I dziś w nocy też... właściwie to się zaczęło już wczoraj. Chciałam ci o tym powiedzieć, ale bałam się, że mi nie uwierzysz.

Mama milczała.

- Mamo?

Spojrzałam na Leslie.

- Ona mi nie wierzy.

- Bo tylko się jąkasz i płaczesz - szepnęła Leslie. - No, spróbuj jeszcze raz.

Ale to już nie było potrzebne.

- Zostań tam, gdzie jesteś - mama miała zupełnie zmieniony głos. - Czekaj na mnie przy szkolnej bramie. Wezmę taksówkę i przyjadę do ciebie najszybciej, jak to możliwe.

- Ale...

Mama zdążyła się już rozłączyć.

- Pan Whitman się na ciebie wkurzy - powiedziałam.

- Mam to w nosie - odrzekła Leslie. - Poczekam, aż przyjedzie twoja mama. Nie zaprzataj sobie głowy Wiewiórem. Owinę go sobie wokół małego paluszka.

- Co ja zrobiłam?

- Dokładnie to, co powinnaś - zapewniła mnie Leslie.

Opowiedziałam jej, ile się dało, o mojej podróży w przeszłość. Leslie uznała, że ta dziewczyna, która wyglądała tak jak ja, mogła być jedną z moich przodkiń.

Byłam innego zdania. Dwie osoby nie mogą być aż tak do siebie podobne. Chyba że są jednojajowymi bliźniętami. Leslie uważała, że ta teoria także jest do przyjęcia.

- No! Jak Mania czy Ania! - powiedziała. - Przy okazji wypożyczę film na DVD.

Zachciało mi się ryczeć. Kiedy znowu Leslie i ja będziemy mogły obejrzeć sobie w spokoju film na DVD?

Taksówka przyjechała szybciej, niż się spodziewałam. Zatrzymała się przed szkolną bramą. Mama otworzyła drzwi auta.

- Wsiadaj - rzuciła krótko. Leslie ścisnęła mnie za rękę.
- Trzymaj się. Zadzwoń do mnie, jak będziesz mogła. O mało się nie rozplakałam.
- Leslie... dziękuję!

- Już dobrze - powiedziała Leslie, także walcząc ze Izami, które napływały jej do oczu. Na filmach też zawsze płakałyśmy w tych samych momentach.

Wgramoliłam się do taksówki i usiadłam obok mamy. Najchętniej rzuciłabym się jej na szyję, ale miała taki wyraz twarzy, że dałam sobie spokój.

- Tempie - powiedziała do kierowcy.

Potem szyba między szoferką a tylną kanapą powędrowała do góry i taksówka ruszyła.

- Jesteś na mnie zła? - spytałam.
- Nie, oczywiście, że nie, kochanie. To nie twoja wina.
- To prawda! To wina tego głupiego Newtona - spróbowałam nieśmiało zażartować, ale mama nie była w nastroju do żartów.
- Nie, to nie jego wina. Jeśli w ogóle, to winna jestem ja. Miałam nadzieję, że ominie nas ten kielich goryczy.

Patrzyłam na nią szeroko otwartymi oczami.

- Co masz na myśli?
- Myślałam... miałam nadzieję... nie chciałam cię...

To jąkanie się było do niej zupełnie niepodobne. Wyglądała na spiętą i bardzo poważną. Tylko raz widziałam ją w takim stanie - kiedy umarł tata.

- Nie chciałam tego przyjąć do wiadomości. Przez cały czas miałam nadzieję, że to Charlotta.
- Chyba wszyscy w to wierzyli. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że Newton pomylił się w obliczeniach. Babcia na pewno dostanie szału.

Taksówka włączyła się w szpaler aut na Piccadilly.

- Tu nie chodzi o twoją babcie - powiedziała mama. - Kiedy to się zdarzyło pierwszy raz?
- Wczoraj! Po drodze do Selfridges.
- O której?
- Chwilę po trzeciej. Nie wiedziałam, co mam zrobić, więc wróciłam pod dom i zadzwoniłam do drzwi. Ale zanim ktoś zdążył mi otworzyć, byłam już znowu w naszych czasach. Drugi raz zdarzył się dziś w nocy. Schowałam się w szafie, ale tam ktoś spał, jakiś służący. Taki lekki awanturnik. Gonił mnie przez cały dom i wszyscy mnie szukali, bo myśleli, że jestem złodziejką. Na szczęście przeskoczyłam z powrotem w czasie, zanim zdążyli mnie znaleźć. A trzeci raz przed chwilą. W szkole. Tym razem pewnie przeniosłam się w czasie dużo dalej, bo ludzie byli w perukach... Mammo! Jeśli teraz zaczniesz mi się to zdarzać co parę godzin, już nigdy nie będę miała normalnego życia! I to wszystko dlatego, że ten idiota Newton... - Sama zauważyłam, że ten dowcip już się nieco zużył.
- Powinnaś była natychmiast mi powiedzieć! - Mama pogłaskała mnie po głowie. - Mogło ci się stać coś złego!
- Chciałam to zrobić, ale ty powiedziałaś, że my wszyscy mamy zbyt wybujałą wyobraźnię.
- Tak, ale nie miałam na myśli... Nie byłaś ani trochę na to przygotowana. Tak mi przykro. Przecież to nie twoja wina, mammo! Nikt nie mógł tego wiedzieć.
- Ja wiedziałam - przyznała się mama. I po krótkiej, niezręcznej przerwie dodała: - Urodziłaś się tego samego dnia co Charlotta.
- Nie, wcale nie tego samego dnia. Moje urodziny są ósmego października, a Charlotty siódmego.
- Ty też urodziłaś się siódmego października, Gwendolyn. Nie mogłam uwierzyć w to, co powiedziała. Mogłam się tylko w nią wpatrywać.
- Skłamałam w kwestii daty twoich urodzin - mówiła dalej mama. - To nie było trudne. Urodziłaś się w domu i położna, która wystawiała świadectwo urodzenia, przychyliła się do naszej prośby.
- Ale dlaczego?!

- Chodziło tylko o to, żeby cię chronić, kochanie. Nie zrozumiałam.

- Chronić? A przed czym? Przecież to się właśnie stało.

- My... ja chciałam, żebyś miała normalne dzieciństwo. Beztróskie dzieciństwo. - Mama spojrzała na mnie błagalnie. - Przecież równie dobrze mogłaś wcale nie odziedziczyć tego genu.

- Mimo że urodziłam się w dniu dokładnie wyliczonym przez Newtona?

- Nadzieja umiera ostatnia - powiedziała mama. - I daj w końcu spokój z Isaakiem Newtonem. Ta cała historia jest dużo szersza, niż to sobie wyobrażasz. Dużo szersza, dużo starsza i dużo potężniejsza. I znacznie bardziej niebezpieczna. Chciałam, żebyś trzymała się od tego z daleka.

- Ale od czego? Mama westchnęła.

- To było głupie z mojej strony. Powinam była wiedzieć. Proszę, wybacz mi.

- Mamo! - Głos mi się niemal załamał. - Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym ty w ogóle mówisz. - Z każdym jej zdaniem moje oszołomienie i rozpacz rosły. - Wiem tylko, że zdarzyło się coś, co wcale nie powinno się zdarzyć. I że mnie to wkurza! Co parę godzin robi mi się niedobrze i przeskakuję do innych czasów. Nie mam pojęcia, jak temu zaradzić.

- I dlatego pojedziemy teraz do nich - oznajmiła mama. Zauważyłam, że moja rozpacz sprawia jej ból, jeszcze nigdy nie widziałam, żeby była aż tak załamana.

- A oni to...

- Strażnicy. Prastara tajna organizacja, nazywana również lożą hrabiego de Saint Germain. - Mama wyrzała przez okno.

- Zaraz będziemy na miejscu.

- Tajna organizacja! Chcesz mnie zawieźć do jakiejś podejrzaney sekty, mamo?

- To nie jest żadna sekta. Choć podejrzeni są tak czy owak.

- Mama odetchnęła głęboko i na chwilę zamknęła oczy. - Twój dziadek był członkiem tej loży - mówiła dalej. - A przed nim jego ojciec, podobnie jak przedtem jego dziadek. Tak samo członkiem loży był Isaac Newton, Wellington, Klaproth, von Arneth, Hahnemann, Karol von Hessen-Kassel, oczywiście wszyscy członkowie rodu de Villiers i wielu, wielu innych... Twoja babcia twierdzi, że do tej loży należeli również Churchill i Einstein.

Te nazwiska nic mi nie mówiły.

- Ale co oni robią?

- To jest... hmm... Zajmują się prastarymi mitami. I czasem. I takimi ludźmi jak my.

- To znaczy, że takich jak ja jest wielu? Mama potrząsnęła głową.

- Tylko dwanaścioro. I większość z nich już dawno nie żyje. Taksówka zatrzymała się i szyba dzieląca nas od kierowcy

spłynęła w dół. Mama podała mu kilka jednofuntowych banknotów.

- Reszty nie trzeba - powiedziała.

- A po co przywiozłaś mnie właśnie tutaj? - zapytałam, kiedy stanęłyśmy na chodniku.

Przejechałyśmy przez cały Strand, prawie do samego skrzyżowania z Fleet Street. Wokół nas pędziły samochody, po chodnikach płynęły rzeki ludzi. Kawiarnie i restauracje po drugiej stronie były wypełnione do ostatniego miejsca, na poboczu stały dwa czerwone piętrowe autobusy wycieczkowe, a turyści na górnym, otwartym pokładzie pstrykali zdjęcia monumentalnego zespołu budynków Royal Court of Justice.

- Tam w bok, między tymi budynkami, wchodzi się do dzielnicy Tempie. - Mama odgarnęła mi włosy z twarzy.

Spojrzałam na wąskie przejście dla pieszych, które pokazała. Nie mogłam sobie przypomnieć, bym choć raz tędy szła. Mama musiała zauważyć zaskoczenie na mojej twarzy.

- Nigdy nie byłaś ze szkołą w Tempie? - zapytała. - Kościół i ogrody są naprawdę warte zobaczenia. I Fountain Court. Moim zdaniem to najpiękniejsza fontanna w całym mieście.

Rzuciłam jej wściekłe spojrzenie. Co jest, zmieniła się nagle w przewodniczkę?

- Chodź, musimy przejść na drugą stronę - powiedziała i wzięła mnie za rękę.

Poszłyśmy za grupą turystów, sami Japończycy, wszyscy z płachtami planu miasta w rękach.

Za rzędem domów wchodziło się w zupełnie inny świat. Ani śladu po ożywionym ruchu Strandu i Fleet Street. Tu, pomiędzy zwartymi majestatycznymi ciągami domów o ponadczasowej urodzie, panował zaskakujący spokój i cisza.

Wskazałam ręką na turystów.

- A ci tutaj czego szukają? Najpiękniejszej fontanny w całym mieście?

- Przyszli zwiedzić kościół w Tempie - odrzekła mama, puszczając moją ironiczną uwagę mimo uszu. - Bardzo stary, wiele legend, wiele mitów. Japończycy to uwielbiają. A na scenie Middle Tempie Hall po raz pierwszy wystawiono *Wieczór Trzech Króli* Szekspira.

Przez chwilę szliśmy za Japończykami, potem skręciliśmy w lewo i brukowaną uliczką ruszyliśmy dalej między domami, wielokrotnie skręcając. Atmosfera była niemal sielska, ptaki śpiewały, na obficie ukwieconych klombach bzyczały pszczoły, nawet powietrze było tu świeże i ożywcze.

Przy wejściach do domów wisiały miedziane tabliczki z wygrawerowanymi kolumnami nazwisk.

- To wszystko adwokaci, pracownicy naukowcy instytutu prawniczego - wyjaśniła mama. - Nawet nie chcę wiedzieć, ile kosztuje wynajęcie tutaj takiego biura.

- Ja też nie - mruknęłam urażona.

Jakby nie było ważniejszego tematu do rozmowy! Przed kolejnymi drzwiami zatrzymała się.

- To tutaj - powiedziała.

Był to skromny dom, który mimo idealnej fasady i świeżo pomalowanych futryn sprawiał wrażenie bardzo starego. Chciałam przeczytać nazwiska na miedzianej tablicy, ale mama popchnęła mnie w otwarte drzwi i poprowadziła na pierwsze piętro. Dwie młode kobiety, które wyszły nam naprzeciw, przywitały nas uprzejmie.

- Gdzie my jesteśmy?

Mama nie odpowiedziała. Nacisnęła dzwonek, obciągnęła sweter i odgarnęła sobie włosy z twarzy.

- Nie bój się, kochanie - powiedziała, a ja nie byłam pewna, czy mówi do mnie, czy do siebie.

Drzwi otworzyły się z cichym zgrzytem i weszliśmy do jasnego pomieszczenia, które wyglądało jak najzwyklejsze biuro. Półki z segregatorami, telefon, faks, komputer - nawet blondynka w średnim wieku za biurkiem nie wyglądała jakoś niezwykle. Tylko jej okulary były troszkę straszne, czarne jak smoła, z szerokimi oprawkami, które zakrywały jej pół twarzy.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytała. - Och, pani jest... panną... panią Montrose?

- Shepherd - poprawiła ją mama. - Nie noszę już panińskiego nazwiska. Wyszłam za męż.  
- Och, tak, oczywiście. - Kobieta uśmiechnęła się. - Ale nic a nic się pani nie zmieniła. Zawsze i wszędzie poznałabym panią po tych włosach. - Omiotła mnie wzrokiem. - Czy to pani córka? Ale podobna jest raczej do taty, nieprawdaż? Jak się czuje...

Mama przerwała jej w pół słowa.

- Pani Jenkins, muszę pilnie zobaczyć się z moją matką i panem de Villiers.  
- Och, obawiam się, że pani matka i pan de Villiers odbywają teraz rozmowę. - Pani Jenkins uśmiechnęła się przepaszająco. - Czy ma pani...

Mama znowu wpadła jej w słowo.

- Chciałabym wziąć udział w tej rozmowie.  
- A więc... to... przecież pani wie, że to nie będzie możliwe.  
- W takim razie proszę mi to umożliwić. Proszę im powiedzieć, że przynoszę im Rubin.  
- Co takiego? Ale... - Pani Jenkins spoglądała oszołomiona to na mnie, to na mamę.  
- Niech pani po prostu zrobi to, o co proszę.

Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby moja mama mówiła takim zdecydowanym tonem.

Pani Jenkins wstała i wyszła zza biurka. Zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół i od razu poczułam się nie najlepiej w tym wstrętnym szkolnym mundurku. Miałam brudne włosy związane gumką w koński ogon. Umalowana też nie byłam (właściwie rzadko się maluję).

- Jest pani pewna?  
- Oczywiście. Myśli pani, że pozwoliłabym sobie na głupie żarty? Niech pani się pośpieszy, mamy coraz mniej czasu.  
- Proszę tu poczekać. - Pani Jenkins odwróciła się i znikła w kolejnych drzwiach między biurowymi szafami.  
- Rubin? - powtórzyłam.  
- Tak - potwierdziła mama. - Każde z dwanaściorga podróżników w czasie jest przyporządkowane określonemu kamieniowi szlachetnemu. Ty jesteś rubinem.

- Skąd to wiesz?

- „Opal i bursztyn to pierwsza para, agatu w B głosy, wilka awatara, duet - solutio! - z akwamarynem, za nimi z mocą szmaragd z cytrynem, karneole bliźniacze to Skorpion, ósmy jest jadeit, digestion. W E-dur czarny turmalin pobrzmiewa, w F blask szafiru jasny olśniewa i diament, z nimi prawie w rzędzie, jednaście i siedem, Lew poznany będzie. Projectio! Czas płynie strumieniem, rubin to początek, lecz i zakończenie...”. - Mama spojrzała na mnie, uśmiechając się ze smutkiem. - Wciąż jeszcze znam to na pamięć.

Kiedy recytowała ten tekst, z jakiegoś powodu dostałam gęziej skórki. Mniej przypominał mi wiersz, bardziej formułę zaklęcia, coś, co mamroczą złe czarownice, mieszając w kotle, z którego unoszą się zielonkawę opary.

- Co to ma znaczyć?

- Nic innego jak wierszyk ułożony przez panów uwielbiających tajemnice, po to, żeby jeszcze bardziej skomplikować to, co i tak jest skomplikowane - powiedziała mama. - Dwanaście cyfr, dwanaścioro podróźników w czasie, dwanaście kamieni szlachetnych, dwanaście rodzajów dźwięku, dwanaście ascen-dentów, dwanaście kroków na drodze do stworzenia kamienia filozoficznego...

- Kamienia filozoficznego? A co takiego... - przerwałam i westchnęłam głęboko.

Miałam dosyć nieustannego zadawania pytań, których nawet nie mogłam dokończyć, a z każdą odpowiedzią czułam, że wiem coraz mniej i jestem coraz bardziej zagubiona.

Zresztą mama najwyraźniej wcale nie zamierzała na nie odpowiadać. Wyglądała przez okno.

- Tu się w ogóle nic nie zmieniło. Tak jakby czas zatrzymał się w miejscu.

- Często tu bywałaś?

- Ojciec czasem mnie tu przywoził - odrzekła mama. - Był pod tym względem odrobinę bardziej wspaniałomyślny niż moja matka. Również w kwestii tajemnic. Jako dziecko chętnie tu przyjeżdżałam. A potem, kiedy Lucy... - westchnęła.

Przez chwilę walczyłam ze sobą, zastanawiając się, czy powinnam pytać dalej, ale potem ciekawość zwyciężyła.



- Ciocia Maddy powiedziała mi, że Lucy także podróżuje w czasie. To dlatego uciekła?
- Tak - potwierdziła mama.
- A dokąd?
- Tego nikt nie wie.

Mama przejechała ręką po włosach. Najwyraźniej była poruszona, jeszcze nigdy nie widziałam jej tak zdenerwowanej. Gdybym sama nie była tak wkurzona, pewnie byłoby mi jej szkoda.

Przez chwilę milczaliśmy. Mama znowu wyjrzała przez okno.

- A więc jestem rubinem - odezwałam się po chwili. - Taki czerwony, prawda?

Mama skinęła głową.

- W takim razie jakim kamieniem jest Charlotta?

- Żadnym - odparła mama.

- Mamo, a może ja mam siostrę bliźniaczkę, o której zapomniałaś mi powiedzieć?

Mama spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Nie, nie masz siostry, kochanie.

- Jesteś pewna?

- Tak, jestem całkowicie pewna. Przecież byłam przy twoich narodzinach, zapomniałaś?

Skądś dobiegły nas odgłosy szybko zbliżających się kroków. Mama zeszywniała i wzięła głęboki oddech. Razem z panią w okularach, która nas przywitała, do pokoju wkroczyła ciotka (ilenda, a za nimi wszedł starszy, niski, łysy mężczyzna.

Ciotka Glenda wyglądała na rozzłoszczoną.

- Grace! Pani Jenkins twierdzi, że powiedziałaś...

- Zgadza się - potwierdziła mama. - I nie mam ochoty marnować czasu Gwendolyn na przekonywanie akurat ciebie, że to prawda. Chcę się natychmiast zobaczyć z panem de Villiers.

Gwendolyn musi zostać wczytana do chronografu.

- Ależ to idiotyzm! - Ciotka Glenda niemal krzyczała. - Charlotta...

- Jeszcze nie przeszkoczyła w czasie, prawda? - Mama zwróciła się do niskiego, grubego łysielca.

- Bardzo mi przykro, znam pana, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak się pan nazywa.

- George - przedstawił się mężczyzna. - Thomas George. A pani jest najmłodszą córką lady Aristy, Grace. Bardzo dobrze panią pamiętam.
- Pan George - powiedziała mama. - Oczywiście. Odwiedził nas pan po narodzinach Gwendolyn w Durham, pamiętam pana. Oto Gwendolyn. To ona jest rubinem, którego panu brakuje.
- To niemożliwe - odezwała się piskliwie ciotka Glenda. -To zupełnie i absolutnie niemożliwe. Gwendolyn ma niewłaściwą datę urodzenia. Poza tym przyszła na świat dwa miesiące za szybko. Nedorozwinięty wcześniak. Proszę tylko na nią spojrzeć.
- Pan George właśnie to czynił. Taksował mnie spojrzeniem przyjaznych bladoniebieskich oczu. Spróbowałam patrzeć na niego możliwie swobodnym wzrokiem, ukrywając skrępowanie.
- Nedorozwinięty wcześniak! Ciotce Glendzie najwyraźniej brakowało piątej klepki. Miałam prawie metr siedemdziesiąt wzrostu i nosiłam biustonosz z miseczką B, z uciążliwą tendencją do C.
- Wczoraj przeskoczyła w czasie po raz pierwszy - powiedziała mama. - Nie chciałam tylko, żeby coś jej się stało. Każdy niekontrolowany przeskok w czasie zwiększa ryzyko.
- Ciotka Glenda zaśmiała się szyderczo.
- Nikt ci w to nie uwierzy. To tylko żałosna próba znalezienia się w centrum uwagi.
- Och, zamknij się wreszcie, Glendo. Niczego bardziej bym sobie nie życzyła, jak trzymać się jak najdalej od tego wszystkiego i pozostawić twojej Charlotte niewdzięczną rolę obiektu badań tych opętanych ezoteryczną manią pseudonaukowców i fanatycznych wielbicieli tajemnic! Ale to nie Charlotta odziedziczyła ten przeklęty gen, lecz Gwendolyn!
- Wzrok mamy przeppełniały wściekłość i pogarda. Z tej strony kompletnie jej nie znałam. Pan George zaśmiał się cicho.
- Nie ma pani o nas najlepszego zdania, pani Shepherd. Mama wzruszyła ramionami.
- Nie, nie, nie. - Ciotka Glenda opadła na jedno z krzeseł. -Nie mogę dłużej wysłuchiwać tych bzdur. Przecież nawet nie urodziła się w odpowiednim dniu. Poza tym była wcześniakiem.
- Wydawało się, że ta cała sprawa z wcześniactwem jest dla niej szczególnie ważna.
- Ma pani ochotę na filiżankę herbaty, pani Montrose? -s/.cpnęła pani Jenkins.
- Niechże mi pani da spokój z tą pani herbatą - prychnęła ciotka Glenda.

- Czy ktoś napiłby się herbaty?

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam.

Pan George znów mierzył mnie spojrzeniem bladoniebieskich oczu.

- A więc, Gwendolyn, odbyłaś już podróż w czasie? Skinęłam głową.

- A dokąd, jeśli mogę spytać?

- Tam, gdzie akurat stałam - odrzekłam. Pan George uśmiechnął się.

- Chodziło mi o to, do jakich czasów trafiłaś?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparłam bojowo. - Nigdzie nie było napisu z datą. I nikt nie miał ochoty mi jej zdradzić. Proszę posłuchać! Nie chcę tego! Chcę, żeby się to skończyło. Czy może pan zrobić tak, żeby się to skończyło?

Pan George nie odpowiedział.

- Gwendolyn przyszła na świat dwa miesiące przed wyliczoną datą porodu - zaczął, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Ósmego października. Sam osobiście sprawdziłem świadectwo urodzenia i wpis w urzędzie stanu cywilnego. I dziecko też sprawdziłem.

Zadałam sobie pytanie, co takiego można sprawdzić u dziecka. Czy jest prawdziwe?

- Urodziła się wieczorem siódmego października - powiedziała mama, a jej głos lekko drzał. - Przekupiliśmy położną, żeby w metryce przesunęła o kilka godzin czas urodzenia.

- Ale dlaczego? - Pan George najwyraźniej rozumiał z tego równie mało jak ja.

- Bo... po tym wszystkim, co stało się z Lucy, chciałam zaoszczędzić memu dziecku tych problemów. Chciałam ją chronić. I miałam nadzieję, że może wcale nie odziedziczyła tego genu, tylko zupełnie przypadkowo urodziła się tego samego dnia co nosicielka genu. W końcu Glenda urodziła wtedy Charlotte, w której pokładano wszelkie nadzieje...

- Nie kłam! - zawołała ciotka Glenda. - Przecież to wszystko było celowe! Twoje dziecko miało się urodzić dopiero w grudniu, ale ty specjalnie zakombinowałaś ze swoją ciążą i zaryzykowałaś przedwczesny poród tylko po to, żebyś mogła urodzić w tym samym dniu co ja! Ale ci się nie udało! Twoja córka urodziła się dzień później. Ależ się ubawiłam, jak o tym usłyszałam!

- Sprawdzenie tego powinno być dosyć proste - powiedział pan George.

- Nie pamiętam nazwiska tej położnej - wtrąciła szybko mama. - Wiem tylko, że miała na imię Dawn. Ale to bez znaczenia.
- Ha! - wykrzyknęła ciotka Glenda. - Też bym tak mówiła na twoim miejscu.
- Na pewno mamy nazwisko i adres tej położnej w naszych aktach. - Pan George odwrócił się w stronę pani Jenkins. - Trzeba ją znaleźć, to ważne.
- Nie ma takiej potrzeby - powiedziała mama. - Zostawcie tę biedną kobietę w spokoju. Dostała od nas tylko trochę pieniędzy.
- Chcemy jej zadać parę pytań - rzekł pan George. - Pani Jenkins, proszę się dowiedzieć, gdzie teraz mieszka.
  
- Już idę. - Pani Jenkins wyszła przez boczne drzwi.
- Kto jeszcze o tym wie? - spytał pan George.
- Wiedział o tym tylko mój mąż. - W głosie mamy pobrzmiewała nuta przekory, a zarazem triumfu. - A jego nie może już pan dręczyć pytaniami. Niestety, umarł.
- Wiem. Białaczka, czyż nie? Wielka tragedia. - Pan George zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. - Jak pani mówiła, kiedy to się zaczęło?
- Wczoraj - wtrąciłam.
- Zdarzyło się trzykrotnie w ciągu ostatnich dwudziestu godzin - wyjaśniła mama. - Boję się o nią.
- Aż trzykrotnie! - Pan George zatrzymał się. - A kiedy był ostatni raz?
- Mniej więcej godzinę temu - powiedziałam.
- Od kiedy wydarzenia zaczęły się toczyć w szaleńczym tempie, straciłam całkowicie poczucie czasu.
- To znaczy, że zdążymy jeszcze wszystko przygotować.
- Chyba jej pan nie wierzy! - zawołała ciotka Glenda. - Panie George! Zna pan Charlotte. A teraz niech pan weźmie tę dziewczynę tutaj i porównaj ją z moją Charlottą. Czy naprawdę pan wierzy, że

stoi przed panem Numer Dwanaście? „Rubin czerwony magią kruka obdarzony, G-dur zamyka krąg, przez dwunastu utworzony". Czy pan w to wierzy?

- Zawsze istnieje taka możliwość - powiedział pan George. - Chociaż pani motywy, pani Shepherd, wydają mi się bardziej niż wątpliwe.

- To już pana problem - odrzekła zimno mama.

- Jeśli naprawdę chciała pani chronić swoje dziecko, nie powinna była jej pani pozwolić żyć przez tyle lat w nieświadomości. Podróże w czasie bez przygotowania są bardzo niebezpieczne.

Mama zagryzła wargi.

- Miałam właśnie nadzieję, że to Charlotta jest tą...

- Bo jest! - wykrzyknęła ciotka Glenda. - Od dwóch dni ma jednoznaczne objawy. To się może wydarzyć w każdej chwili. Może dzieje się właśnie teraz, kiedy marnujemy czas na wysłuchiwanie wyssanych z palca opowieści mojej zawistnej młodszej siostry.

- Może dla odmiany raz włączyłabyś swój mózg, Glendo. - W głosie mamy zabrzmiało zmęczenie. - Dlaczego miałybyśmy coś takiego wymyślać? Kto prócz ciebie dobrowolnie zrobiłby coś takiego swojej córce?

- Będę się upierać, by... - Ciotka Glenda urwała, nie zdradzając, przy czym będzie się upierać. - To wszystko okaże się podłym oszustwem. Mieliśmy już do czynienia z sabotażem i pan wie, panie George, do czego to doprowadziło. I teraz, niemal u celu, naprawdę nie możemy sobie pozwolić na kolejne pomyłki.

- Myślę, że decyzja nie należy do nas - powiedział pan George. - Proszę za mną, pani Shepherd. I ty także, Gwendolyn. - Po czym z lekkim uśmiechem dorzucił: - Nie bójcie się, opętani ezoteryczną manią pseudonaukowcy i fanatyczni wielbiciele tajemnic nie gryzą.

*Stepiaj pazury lwa. Czasie żarłoczny,  
Ziemi każ pożreć kwiat potomstwa swego,  
Rwij ostre zęby z szczęk tygrysa mrocznych,  
Spal sędziwego Feniksa w krwi jego.*

William Szekspir, sonet XIX  
(przeł. Maciej Słomczyński)

**Poprowadzono** nas schodami w górę, a potem długim korytarzem, który kilka razy skręcał pod kątem czterdziestu pięciu stopni, to znów biegł parę stopni w górę albo w dół. Widok z nielicznych okien, które mijaliśmy, ciągle się zmieniał: raz widać było rozległy ogród, innym razem jakiś budynek albo niewielkie podwórze. Szliśmy okropnie długo, na przemian po parkiecie i posadzkach z kamiennej mozaiki, obok licznych zamkniętych drzwi, krzeseł stojących pod ścianami w niekończących się rzędach, oprawionych w ramy obrazów olejnych, szaf pełnych ksiąg w skórzanych oprawach, porcelanowych figurek, rzeźb i zbroi rycerskich. Wszystko wyglądało jak w jakimś muzeum.

Ciotka Glenda przez cały czas rzucała mamie jadowite spojrzenia. Mama ze swej strony ignorowała siostrę, na ile się dało. Była blada i wyglądała na potwornie spiętą. Miałam wielką ochotę wziąć ją za rękę, ale wtedy ciotka Glenda zauważyłaby, jak bardzo się boję, a to była ostatnia rzecz, jakiej bym chciała.

Niemożliwe, żebyśmy ciągle znajdowali się w tym samym domu. Zdawało mi się, że przeszliśmy już co najmniej przez trzy następne budynki, aż wreszcie pan George zatrzymał się i zastukał do drzwi.

Sala, do której nas wprowadził, cała była wyłożona ciemną boazerią, podobnie jak nasza jadalnia. Również sufit był z ciemnego drewna. Niemal wszystko pokrywały kunsztowne, częściowo barwnie pomalowane rzeźbienia. Meble też były ciemne i masywne. Powinno tu być duszno i upiornie, jednak przez wysokie okna wpadało światło dzienne i widać było kwitnący ogród. Za murem na końcu ogrodu migotała nawet w słońcu Tamiza.

Ale nie tylko ten widok i światło sprawiały pogodne wrażenie, również rzeźby emanowały pewną radością mimo odrażających twarzy i trupich czaszek. To wyglądało tak, jakby ściany żyły. Leslie byłaby zachwycona, mogąc dotknąć tysiący różnych pąków, do złudzenia przypominających prawdziwe, oraz zwierzęcych głów, w których może kryły się tajne

mechanizmy. Były tam skrzydlate lwy, sokoły, gwiazdy, słońca i planety, smoki, jednorożce, elfy, nimfy, drzewa i okręty, a wszystkie rzeźby zdawały się pełne życia.

Największe wrażenie zrobił na mnie smok, który jakby unosił się nad nami pod sufitem. Od klinowatego zakończenia ogona do wielkiego, pokrytego łuskami łba mierzył z pewnością siedem metrów. Nie mogłam oderwać od niego oczu. Ależ był piękny! Z tego zachwytu niemal umknęło mi, po co się tutaj znaleźliśmy.

Oraz to, że w tej sali nie byliśmy sami.

Wszyscy obecni zareagowali na nasz widok niczym rażeni piorunem.

- Wygląda na to, że wystąpiły komplikacje - oznajmił pan George.

Lady Arista, stojąca pod jednym z okien, odezwała się:

- Grace! Czy nie powinnaś być w pracy? A Gwendolyn w szkole?

- Niczego bardziej byśmy nie pragnęły, mamó - powiedziała mama.

Charlotta siedziała na sofie, tuż pod jedną z fantastycznych syren, w której ogonie każda łuska była kunsztownie wyrzeźbiona i pomalowana na wszystkie możliwe odcienie błękitu i tur-kusu. Obok sofy, oparty o szeroki gzyms kominka, stał mężczyzna w wytwornym czarnym garniturze i okularach w czarnych oprawkach. Nawet krawat miał czarny. Rzucił nam wymowne, mroczne spojrzenie. Jego marynarki trzyma! się mały, może siedmioletni chłopiec.

- Grace! - Zza biurka podniósł się wysoki mężczyzna. Miał siwe falujące włosy, które niczym lwia grzywa opadały mu na szerokie ramiona, i oczy o wyraźnym jasnobrązowym odcieniu, przypominającym bursztyn. Twarz była znacznie młodszą, niż mogłyby na to wskazywać siwe włosy, i to była jedna z tych twarzy, które wystarczy zobaczyć raz i już nigdy się ich nie zapomina, tak bardzo są fascynujące. Mężczyzna uśmiechnął się, pokazując równe, białe zęby. - Grace. Dawno się nie widzieliśmy. - Obszedł wkoło biurko i wyciągnął rękę do mojej mamy. - Nic a nic się nie zmieniłaś.

Ku mojemu zdumieniu mama zarumieniła się.

- Dziękuję. To samo można powiedzieć o tobie, Falk.

- Włosy mi posiwiały. - Mężczyzna machnął ręką.



- Moim zdaniem jest ci w nich do twarzy - odrzekła mama. Hej? Czyżby mama flirtowała z tym typkiem?

Jego uśmiech stał się jeszcze bardziej promienny, a potem spojrzenie bursztynowych oczu przeniosło się z mamy na mnie i znowu miałam niemiłe wrażenie, że ktoś mierzy mnie wzrokiem.

Te jego oczy były naprawdę dziwne. Równie dobrze mogłyby należeć do wilka albo do dzikiego kota. Wyciągnął do mnie rękę.

- Jestem Falk de Villiers. A ty pewnie jesteś Gwendolyn, córka Grace.

Uścisk jego dłoni był mocny i serdeczny.

- Pierwsza dziewczynka z rodu Montrose, jaką znam, która nie ma rudych włosów.

- Kolor włosów odziedziczyłam po tacie - wyjaśniłam zmieszana.

- Czy możemy przejść do rzeczy? - spytał stojący obok kominka ubrany na czarno mężczyzna w okularach.

Falk de Villiers puścił moją rękę i mrugnął do mnie.

- Proszę.

- Moja siostra opowie tu zaraz zupełnie niesłychaną historię - odezwała się ciotka Glenda. Było wyraźnie widać, jak wiele kosztuje ją to, by nie krzyczeć. - A pan George nie chciał mnie słuchać. Ona twierdzi, że Gwendolyn - Gwendolyn! - odbyła właśnie aż trzy podróże w czasie. I ponieważ doskonale wie, że nie jest w stanie tego udowodnić, wyczarowała jak z kapelusza odpowiednią dziewczynę, która miałaby potwierdzić fałszywą datę urodzenia. Chciałabym przypomnieć wam, co wydarzyło się przed siedemnastu laty i że Grace nie odegrała wówczas chwalebnej roli w tych wydarzeniach. Teraz, kiedy jesteśmy prawie u celu, wcale się nie dziwię, że pojawia się tu, by pokrzyżować nasze plany.

Lady Arista opuściła swoje miejsce pod oknem i podeszła bliżej.

- Czy to prawda, Grace?

Miała taki sam wyraz twarzy jak zawsze, surowy i nieprzejednany. Czasem zastanawiałam się, czy powodem znieruchomienia jej rysów mogły być gładko zaczesane do tyłu włosy. Być może

utrzymywały one mięśnie zawsze w tym samym miejscu. Gdy była zdenerwowana, najwyżej rozszerzały się jej oczy. Tak jak teraz.

- Pani Shepherd powiada, że ona i jej mąż przekupili położną, by sfalszowała wpis w akcie urodzenia, żeby nikt się nie dowiedział, że także Gwendolyn może być brana pod uwagę jako nosicielka genu - oznajmił pan George.

- Ale z jakiego powodu miałyby coś takiego zrobić?

- Mówi, że chciała chronić dziecko, a poza tym miała nadzieję, że to Charlotta jest nosicielką genu.

- Miała nadzieję! Śmiechu warte! - zawołała ciotka Glenda.

- Moim zdaniem to brzmi całkiem logicznie - powiedział pan George.

Zerknęłam na Charlotte, która siedziała poblądła na sofie, patrząc po kolei na wszystkich obecnych. Kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, szybko odwróciła głowę.

- Mimo najlepszych chęci nie potrafię w tym dostrzec żadnej logiki - odezwała się lady Arista.

- Właśnie sprawdzamy całą tę historię - odrzekł pan George. - Pani Jenkins znajdzie tamtą położną.

- A tak z ciekawości: ile jej wtedy zapłaciłaś, Grace? - spytał Falk de Villiers.

W ciągu ostatniej minuty jego oczy zwęziły się i teraz, gdy patrzył na mamę, wyglądał jak wilk.

- Ja... nie pamiętam - powiedziała mama. Pan de Villiers uniósł brwi.

- To nie mogła być duża suma. O ile wiem, dochody twojego męża były raczej skromne.

- Jeszcze jak - syknęła jadowicie ciotka Glenda. - Nędzarz!

- A zatem, jak mówicie, to nie mogła być duża suma - rzekła mama.

Niepewność, jaka ogarnęła ją na widok pana de Villiers, zdążyła się już ulotnić, podobnie zresztą jak rumieniec z jej twarzy.

- Dlaczego położna uczyniła to, o co ją poprosiliście? - spytał pan de Villiers. - W końcu dopuściła się przecież fałszerstwa dokumentów. Całkiem niebłahe przestępstwo.

Mama odchyliła głowę do tyłu.

- Powiedzieliśmy, że nasza rodzina należy do sekty satanistów i chorobliwie wierzy w horoskopy. I że dziecko urodzone siódmego października musiałyby znosić straszliwe cierpienia i stałoby się ofiarą satanistycznych obrzędów. Uwierzyła nam. A ponieważ miała miękkie serce i nie cierpiała satanistów, sfalszowała datę urodzenia w metryce.

- Satanistyczne obrzędy! Cóż za impertynencja! - Mężczyzna koło kominka syknął jak wąż, a mały chłopiec przyłgął do niego jeszcze mocniej.

Pan de Villiers uśmiechnął się z uznaniem.

- Zgrabna historyjka. Zobaczmy, czy położna opowie ją tak samo.

- Marnowanie czasu na takie sprawdzanie wydaje mi się niezbyt mądre - wtrąciła lady Arista.

- Słusznie - przytaknęła ciotka Glenda. - Charlotta w każdej chwili może cofnąć się w czasie.

Wtedy będziemy wiedzieli, że Grace wymyśliła tę historię, wyciągnęła ją z kapelusza, żeby rzucać nam kłody pod nogi.

- A nie mogły obie odziedziczyć tego genu? - spytał pan George. - To się już przecież kiedyś zdarzyło.

- Tak, ale Timothy i Jonathan de Villiers byli jednojajowy-mi bliźniętami - przypomniał pan de Villiers. - I jako tacy byli również zapowiadani w prorocत्वach.

- A w chronografie są dwa karneole, dwie pipety, dwa razy po dwanaście elementów wachlarza i dwa tory przeszkód - powiedział mężczyzna koło kominka. - Rubin występuje pojedynczo.

- Też prawda - przyznał pan George, a jego okrągła twarz sprawiała wrażenie zatroskanej.

- Powinniśmy raczej przeanalizować motywy kłamstwa mojej siostry. - Ciotka Glenda rzuciła mamie spojrzenie pełne nienawiści. - Jeśli zamierzasz osiągnąć to, by wyczytać krew Gwendolyn do chronografu i w ten sposób uczynić go bezużytecznym, to jesteś bardziej naiwna, niż sądziłam.

- Jak ona może myśleć, że uwierzemy jej choćby w jedno słowo? - odezwał się mężczyzna koło kominka. Jego zachowanie, jakby mamy i mnie wcale tu nie było, wydało mi się mocno aroganckie. - Pamiętam, jak Grace kłamała, chcąc chronić Lucy i Paula. Pozwoliła im uzyskać decydującą przewagę. Gdyby nie ona, może jeszcze udałoby się zapobiec katastrofie.

- Jake! - przywołał go do porządku pan de Villiers.

- Jakiej katastrofie? - spytałam. I kim był Paul?
- Już samą obecność tych osób w tym pomieszczeniu uważam za bezczelność - powiedział mężczyzna koło kominka.
- Kim pan jest? - Wzrok mamy i jej ton były bardzo chłodne. To, że nie dała się zastraszyć, zrobiło na mnie duże wrażenie.
- To nie ma nic do rzeczy. - Mężczyzna nawet nie zaszczycił jej spojrzeniem.

Jasnowłosy chłopiec wychylił się zza jego pleców i popatrzy! na mnie. Z tymi piegami na nosie przypomina! mi Nicka, kiedy był mniejszy, dlatego uśmiechnęłam się do niego. Biedny mały - mieć za dziadka takiego bufona, to musiała być katastrofa. Skwitował mój uśmiech przerażonym spojrzeniem szeroko otwartych oczu, a potem znów schował się za mężczyzną.

- To jest doktor Jakob White - przedstawił go Falk de Vil-liers z wyraźną nutką rozbawienia w głosie. - Geniusz w dziedzinie medycyny i biochemii. Zwykle jest nieco bardziej uprzejmy. - Spojrzał na mnie, a potem jego wzrok powędrował z powrotem na mamę. - Tak czy inaczej musimy podjąć decyzję. Mam ci wierzyć, Grace, czy coś przed nami ukrywasz?

Przez kilka sekund mama wpatrywała się w niego gniewnym wzrokiem. Potem spuściła oczy i powiedziała cicho:

- Nie przyszłam tu, by przeszkodzić wam w waszej wielkiej, tajemniczej misji. Jestem tu po to, by mojej córce nie stało się nic złego. Dzięki chronografowi jej podróże w czasie mogłyby przebiegać bezpiecznie, a ona mogłaby w miarę normalnie żyć. To wszystko, czego chcę.
- Ależ tak, oczywiście - parsknęła ciotka Glenda. Podeszła do sofy i usiadła obok Charlotty. Też bym chętnie usiadła, bo nogi zaczynały mnie już boleć. Ale ponieważ nikt nie zaproponował mi krzesła, nie pozostawało mi nic innego, jak stać dalej.
- To, co zrobiłam wtedy, nie ma nic wspólnego z... waszymi sprawami - mówiła dalej mama. - Zresztą niewiele o nich wiem, a z tego, co wiem, rozumiem zaledwie połowę.
- No to już zupełnie nie potrafię znaleźć przyczyny, dla której śmiała się pani w to wtrącić - powiedział ubrany na czarno pan White. - W rzeczy, o których nie ma pani pojęcia.

- Chciałam tylko pomóc Lucy - odrzekła mama. - Była moją ukochaną bratanicą, opiekowałam się nią, kiedy jeszcze była niemowlęciem, a ona poprosiła mnie o pomoc. Co zrobiłby pan na moim miejscu? Dobry Boże, oni oboje byli tacy młodzi i zakochani, i... po prostu nie chciałam, żeby coś im się stało.

- Doskonale się to pani udało, nie ma co.

- Kochałam Lucy jak własną siostrę. - Mama rzuciła spojrzenie ciotce Glendzie i dodała: - Bardziej niż własną siostrę.

Ciotka Glenda ujęła rękę Charlotty i pogłaskała ją. Charlotta wpatrywała się w podłogę.

- Wszyscy bardzo kochaliśmy Lucy! - odezwała się lady Arista. - Tym bardziej istotne było, by trzymać ją z daleka od tego chłopca i jego dziwaczkich poglądów, a nie jeszcze ją w tym umacniać!

- Dziwaczkich poglądów! Też mi coś! To przecież ta mała rudowłosa bestyjka napakowała Paulowi głowę tymi idiotycznymi teoriami spiskowymi - powiedział doktor White. - Namówiła go do tej kradzieży.

- To kłamstwo! - sprzeciwiła się lady Arista. - Lucy nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. To Paul wykorzystał jej młodzieńczą naiwność i uwiódł ją.

- Naiwność? Śmiechu warte! - parsknął doktor White. Falk de Villiers uniósł dłoń.

- Wielokrotnie już toczyliśmy tę zbędną dyskusję. Myślę, że opinie wszystkich są wystarczająco dobrze znane. Spojrzaj na zegar. - Gideon powinien wrócić w każdej chwili, a do tego czasu musimy podjąć decyzję o dalszym trybie postępowania. Charlotta, jak się czujesz?

- Ciągle jeszcze boli mnie głowa - powiedziała Charlotta, nie odrywając wzroku od podłogi.

- Sam pan widzi. - Ciotka Glenda zaśmiała się jadownicie.

- Mnie też boli głowa - rzuciła mama. - Ale to nie znaczy, że zaraz cofnę się w czasie.

- Jesteś... jesteś wstrętnym potworem! - wykrzyknęła ciotka Glenda.

- Uważam, że powinniśmy po prostu założyć, że pani Shepherd i Gwendolyn mówią prawdę - powiedział pan George, wycierając chusteczką łysinę. - Inaczej tracimy tylko cenny czas.

- Chyba nie mówisz poważnie, Tomaszu! - Doktor White rąbnął pięścią w obramowanie kominka tak mocno, że przewrócił jeden z cynowych kubków.

Pan George wzdrygnął się.

- Wyglądałoby więc na to, że ostatnia podróż w czasie miała miejsce półtorej do dwóch godzin temu. Moglibyśmy przygotować dziewczynę i jak najdokładniej udokumentować kolejny przeskok w czasie.

- Jestem tego samego zdania - poparł go pan de Villiers. - Jakież sprzeczności?

- Równie dobrze można by gadać do ściany - prychnął doktor White.

- Właśnie - zgodziła się z nim ciotka Glenda.

- Proponowałbym do tego pomieszczenie archiwum - powiedział pan George. - Gwendolyn byłaby bezpieczna, a po jej powrocie moglibyśmy natychmiast wczytać ją do chronografu.

- Ja bym jej nie dopuszczał nawet w pobliże chronografu! - zawołał doktor White.

- Jake, na Boga, dosyć już tego - osadził go pan de Villiers. - To tylko młoda dziewczyna. Sądziysz, że ukryła bombę pod szkolnym mundurkiem?

- Tamta też była tylko młodą dziewczyną - odburknął doktor White.

Pan de Villiers skinął w stronę pana George'a.

- Zrobimy tak, jak zaproponowałeś. Zajmij się tym.

- Chodź ze mną, Gwendolyn - zwrócił się do mnie pan George.

Nie ruszyłam się z miejsca.

- Mamo?

- W porządku, kochanie. Będę tu na ciebie czekać. - Mama zmusiła się do uśmiechu.

Zerknęłam na Charlotte. Wciąż wpatrywała się w podłogę. Ciotka Glenda zamknęła oczy i zrezygnowana odchyliła się do tyłu. Sprawiała wrażenie, jakby ją też strasznie rozboleła głowa. Mama natomiast patrzyła na mnie tak, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu. Być może tak właśnie było.

Tamten mały chłopak znowu wyjrzał zza marynarki doktora White'a i przyglądał mi się szeroko otwartymi oczami. Biedny malec. Ten złośliwy staruch nie odezwał się jeszcze do niego ani jednym słowem, traktował go jak powietrze.

- Na razie, skarbie - powiedziała mama.

Pan George ujął mnie pod ramię i uśmiechem dodał mi otuchy. Też spróbowałam się uśmiechnąć. Jakoś go polubiłam. W każdym razie był najmiłszy z nich wszystkich. I jedyny, który zdawał się dawać nam wiarę.

Mimo to nie czułam się dobrze, zostawiając tu mamę samą. Kiedy drzwi się za nami zatrzasnęły i stanęliśmy w korytarzu, o mały włos nie zaczęłam płakać i wołać „ja chcę do mamy!”. Zdołałam się jednak opanować.

Pan George puścił moje ramię i poszedł przede mną, najpierw tą samą drogą, którą tu przyszliśmy, a potem przez drzwi do następnego korytarza, schodami w dół, przez kolejne drzwi do następnego korytarza - to był najprawdziwszy labirynt. Choć bardziej pasowałyby tu pochodnie, korytarze były oświetlone nowoczesnymi lampami, które dawały światło niemal tak jasne jak dzienne.

- Z początku można się pogubić, ale po pewnym czasie człowiek zaczyna się tu orientować - powiedział pan George.

Znowu poszliśmy w dół, tym razem szerokimi kamiennymi kręconymi schodami, które zdawały się bez końca ciągnąć w głąb ziemi.

- Budynek ten wzniesli w dwunastym wieku rycerze z zakonu templariuszy, przedtem budowali tu Rzymianie, a jeszcze przed nimi Celtowie. Dla nich wszystkich było to święte miejsce i nie zmieniło się to do dziś. Tę szczególną atmosferę czuć tu na każdym kroku, nie sądzisz? Jak gdyby ten kawałek ziemi emanował szczególną mocą.

Niczego takiego nie czułam. Wręcz przeciwnie, byłam raczej wyczerpana i zmęczona. Brakowało mi snu po źle przespanej ostatniej nocy.

Kiedy na końcu schodów skręciliśmy ostro w prawo, nagle stanął przed nami młody mężczyzna. Niewiele brakowało, a wpadlibyśmy na siebie.

- Hop! - zawołał pan George.

- Pan George!

Chłopak miał ciemne kręcone włosy sięgające do ramion i zielone oczy, tak lśniące, iż pomyślałam, że pewnie nosi szkła kontaktowe. Choć nie widziałam go nigdy wcześniej, rozpozna-

łam go od razu. Również jego głos poznałabym zawsze i wszędzie. To był ten chłopak, którego widziałam podczas swojej ostatniej podróży w czasie.

Ścisłej biorąc, chłopak, z którym całowała się ta dziewczyna, mój sobowtór, a ja przyglądałam się zza kotary, nie wierząc własnym oczom.

Teraz gapiłam się na niego osłupiała. Z przodu i bez peruki wyglądał jeszcze tysiąc razy lepiej. Zupełnie zapomniałam, że ani ja, ani Leslie nie lubiliśmy specjalnie chłopaków z długimi włosami (Leslie twierdziła, że chłopcy zapuszczają sobie włosy tylko po to, by schować pod nimi odstające uszy).

Dość poirytowany chłopak zmierzył mnie szybko wzrokiem od stóp do głów, a potem rzucił panu George'owi pytające spojrzenie.

- Gideonie, to jest Gwendolyn Shepherd - przedstawił mnie pan George, wzdychając lekko. - Gwendolyn, to jest Gideon de Villiers.

Gideon de Villiers. Ten, który gra w polo. Ten drugi podróżnik w czasie.

- Cześć - powiedział uprzejmie.

- Cześć.

Dlaczego nagle ochryłam?

- Myślę, że jeszcze poznacie się bliżej. - Pan George zaśmiał się nerwowo. - Możliwe, że Gwendolyn jest naszą nową Charlotta.

- Co proszę? - Zielone oczy otaksowały mnie ponownie, tym razem jednak skupiły się na twarzy.

Niestety, mogłam się tylko prostacko na niego gapić.

- To niezwykle skomplikowana historia - powiedział pan George. - Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz do Sali Smoczej i poprosisz wuja o wyjaśnienia.

Gideon skinął głową.

- I tak tam szedłem. Do zobaczenia, panie George. Do widzenia, Wendy.

Kim jest Wendy?

- Gwendolyn - poprawił go pan George, ale Gideon zdążył już zniknąć za rogiem.



Echo jego kroków rozbrzmiewało na schodach.

- Na pewno masz masę pytań - odezwał się pan George. - Spróbuję na nie odpowiedzieć najlepiej, jak potrafię.

Ucieszyłam się, że wreszcie mogę usiąść i rozprostować nogi. Pomieszczenie archiwum okazało się całkiem przytulnym pokojem, choć znajdowało się w podziemiach i nie miało okien. W kominku płonął ogień, wokół stały regały i szafy z książkami, a także kuszące fotele bujane i szeroka sofa, na której teraz siedziałam. Kiedy weszliśmy, zza biurka podniósł się młody mężczyzna. Skłonił się panu George'owi i bez słowa opuścił pokój.

- Czy ten człowiek jest niemy? - spytałam, bo to pierwsze przyszło mi do głowy.

- Nie - odparł pan George. - Ale złożył śluby milczenia. Przez najbliższe cztery tygodnie nie odezwie się ani słowem.

- I co z tego będzie miał?

- To obrzęd. Adepti muszą przejść cały szereg prób, zanim zostaną przyjęci do Kręgu Zewnętrzznego. Jednym z istotniejszych elementów jest udowodnienie nam, że potrafią milczeć. - Pan George zaśmiał się. - Na pewno myślisz, że jesteśmy dziwakami, prawda? Proszę, weź tę latarkę. Zawieś ją sobie na szyi.

- Co się teraz ze mną stanie?

- Poczekamy na kolejny przeskok w czasie.

- A kiedy on nastąpi?

- Och, tego nikt nie potrafi przewidzieć. U każdego podróżnika w czasie przebiega to inaczej. Na przykład twoja praprzodkini, druga urodzona w Kręgu Dwanaściorga, przez całe swoje życie odbyła nie więcej niż pięć podróży w czasie. Ale zmarła na gorączkę popołogową w wieku zaledwie osiemnastu lat. Sam hrabia jako młody człowiek podróżował w czasie co kilka godzin, dwa do siedmiu razy dziennie. Można sobie wyobrazić, jak niebezpieczny wiódł żywot, zanim udało mu się zrozumieć korzyści, jakie daje chronograf. - Pan George wskazał na olejny obraz nad

kominkiem. Przedstawia! on mężczyznę w peruce z białymi lokami. - Nawiasem mówiąc, to właśnie on. Hrabia de Saint Germain.

- Siedem razy dziennie? To byłoby straszne. Nie mogłabym ani spokojnie spać, ani chodzić do szkoły.

- Nie martw się. Jak się to zdarzy, obojętnie kiedy, wylądujesz w tym pomieszczeniu, a tu zawsze jesteś bezpieczna. I wtedy po prostu poczekasz, aż przeskoczysz z powrotem. Nie musisz się nawet ruszać z miejsca. A jeśli kogoś spotkasz, pokażesz ten pierścień. - Pan George zsunął sobie z palca sygnet i podał mi go.

Obróciłam go w dłoni i przyjrzałam się grawerunkowi. To była dwunastoramienna gwiazda ze spletanymi literami w środku. Mądra Leslie znowu miała rację.

- Pan Whitman, mój nauczyciel od angielskiego i historii, też ma taki.

- To miało być pytanie?

W oczach pana George'a odbijały się płomienie z kominka. Wyglądał jakoś tak przyjaźnie.

- Nie.

Wcale nie potrzebowałam odpowiedzi. To było jasne jak słońce: pan Whitman należał do nich. Leslie to podejrzewała.

- Czy nie ma nic więcej, o co chciałabyś zapytać?

- Kim jest Paul i co się stało z Lucy? O jakiej kradzieży była mowa? Co zrobiła wtedy moja mama, że wszyscy są na nią tacy wściekli? - wyrzuciłam z siebie.

- Och! - Pan George, zmieszany, podrapał się po głowie. -Cóż, na to akurat nie mogę ci odpowiedzieć.

- Tego się mogłam spodziewać.

- Gwendolyn, jeśli naprawdę jesteś naszym Numerem Dwunastym, opowiemy ci wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, obiecuję. Ale najpierw musimy mieć pewność. Chętnie natomiast odpowiem ci na mniej błyskotliwe pytania.

- Jest tu gdzieś toaleta?

- Och, tak, naturalnie. Zaraz za rogiem. Zaprowadzę cię.

- Sama trafię.

- Naturalnie - powtórzył pan George, ale niczym cień towarzyszył mi do samych drzwi. Stał tam, zupełnie jak żołnierz służby pałacowej, mężczyzna, który złożył śluby milczenia. - Następne drzwi. - Pan George pokazał ręką na lewo. - Ja tu poczekam.

- W toalecie - małym pomieszczeniu, w którym roznosiła się woń środków dezynfekujących, z sedesem i umywalką - wyjęłam z kieszeni komórkę. Brak zasięgu, oczywiście. A tak chciałam zdać Leslie relację ze wszystkiego. Na szczęście zegar działał i byłam zaskoczona, że dopiero minęło południe. Czułam się, jakbym tu była od wielu dni. I rzeczywiście chciało mi się siusiu.

Kiedy wyszłam z toalety, pan George przywita! mnie z uśmiechem ulgi. Najwyraźniej obawia! się, że mogę zniknąć.

W pomieszczeniu archiwum znowu zajęłam miejsce na sofie, a pan George usiadł w fotelu naprzeciwko.

- No to bawimy się dalej w pytania i odpowiedzi - rzekł. -Ale tym razem na zmianę. Jedno pytanie ty, jedno ja.

- Okej - zgodziłam się. - Pan pierwszy.

- Chce ci się pić?

- Tak, poproszę o wodę, jeśli można. A może herbatę? Faktycznie, była tu woda, sok i wino, a prócz tego czajnik.

Pan George przygotował dla nas dzbanek earl greya.

- Teraz ty - powiedział, kiedy znowu usiadł.

- Jeśli o zdolności podróżowania w czasie decyduje gen, to dlaczego data urodzenia w ogóle odgrywa jakąś rolę? Dlaczego już dawno temu nie pobrano krwi Charlotcie i nie przebadano jej na obecność tego genu? I dlaczego nie można za pomocą chronografu wysiać jej w jakiś bezpieczny czas w przeszłości, zanim sama z siebie przeskoczy w czasie, zapewne narażając się na niebezpieczeństwo?

- A więc przede wszystkim my tylko sądzimy, że chodzi o gen, nie wiemy tego na pewno.

Wiemy jedynie, że jest coś we krwi, co różni was od normalnych ludzi, ale owego czynnika x nie

udało się nam jeszcze znaleźć. Mimo że pracujemy nad tym od wielu lat i że możesz spotkać w naszych szeregach najwybitniejszych naukowców na świecie. Wierz mi, to by znacznie uprościło sprawę, gdybyśmy mogli dowieść istnienia we krwi tego genu czy co tam w niej jest. Ale jesteśmy zdani na obliczenia i obserwacje, których dokonały poprzednie pokolenia.

- Co by się stało, gdyby napełniono chronograf krwią Charlotty?

- W najgorszym razie mógłby stać się bezużyteczny - powiedział pan George. -1 proszę cię, Gwendolyn, mówimy tutaj o maleńkiej kropelce krwi, a nie o napełnianiu całego zbiornika. Ale teraz moja kolej. Gdybyś mogła wybierać, to do jakich czasów najbardziej chciałabyś się cofnąć?

Zastanowiłam się.

- Nie chciałabym się cofać daleko w przeszłość. Tylko o dziesięć lat. Wtedy mogłabym jeszcze raz zobaczyć mojego tatę i porozmawiać z nim.

Na twarzy pana George'a odmalowało się współczucie.

- Tak, to marzenie jest całkiem zrozumiałe. Ale nie da się. Nikt nie może cofnąć się w przeszłość w obrębie własnego życia. Najbliżej możesz przeskoczyć do czasów sprzed twoich narodzin.

- Och.

Szkoda. Już sobie bowiem wyobraziłam, jak cofam się do czasów szkoły podstawowej, dokładnie do tego dnia, w którym pewien chłopak, George Forbes, nazwał mnie na szkolnym boisku „wstrętną ropuchą” i cztery razy z rzędu kopnął mnie w piszczel. Pojawiłabym się tam niby Superwoman - i George Forbes już nigdy nie kopnąłby małej dziewczynki, tego byłam pewna.

- Znowu twoja kolej - powiedział pan George.

- W miejscu, w którym zniknęłaby Charlotta, miałam narysować kredą na ziemi krzyż.

Dlaczego?

Pan George machnął ręką.

- Zapomnij o tych bzdurach. Twoja ciotka Glenda upierała się przy tym, by pilnować tego miejsca. Mieliśmy potem wysłać w przeszłość Gideona z opisem tej pozycji, żeby Strażnicy mogli czekać na Charlotte i pilnować jej, aż wróciłaby do naszych czasów.

- Tak, ale przecież nie byłoby wiadomo, do jakich czasów się cofnęła. Strażnicy pewnie musieliby pilnować tego miejsca przez dziesiątki lat, dzień i noc.

- To prawda - westchnął pan George. - Masz rację. Ale teraz znowu moja kolej. Pamiętasz jeszcze swojego dziadka?

- Oczywiście. Kiedy umarł, miałam już dziesięć lat. Był zupełnie inny niż lady Arista, wesoły i wcale nie surowy. Zawsze opowiadał mojemu bratu i mnie straszne historie. Znał go pan?

- Ależ tak! Był moim mentorem i najlepszym przyjacielem. - Pan George przez chwilę w zamyśleniu patrzył w płomienie.

- A kim był ten mały chłopiec?

- Jaki mały chłopiec?

- Ten mały chłopiec, który przedtem trzymał się marynarki doktora White'a.

- Co proszę? - Pan George odwrócił wzrok od ognia i spojrzał na mnie zdezorientowany. Coś takiego! Jak miałam się wyrazić jeszcze dobitniej?

- Mały chłopiec z jasnymi włosami, mniej więcej siedmioletni. Stał obok pana White'a - powiedziałam bardzo powoli.

- Tam nie było małego chłopca - odparł pan George. - Żarty sobie ze mnie stroisz?

- Nie!

Naraz zrozumiałam, co zobaczyłam, i ogarnęła mnie złość, że od razu nie zorientowałam się, o co chodzi.

- Mały chłopiec z jasnymi włosami, mówisz. W wieku siedmiu lat?

- Zapomnijmy o tym.

Udałam, że bardzo mnie zafrapowały książki stojące za mną na regale.

Pan George milczał wprawdzie, ale czułam na sobie jego badawczy wzrok.

- Teraz znowu moja kolej - odezwał się wreszcie.

- To głupia zabawa. Czy nie moglibyśmy zamiast tego pograć w szachy?

Na stole stały szachy. Ale pan George nie dał się zwieść.

- Czy czasem widzisz rzeczy, których inni nie widzą?
- Mały chłopiec, mała sprawa - rzuciłam pozornie beztroskim tonem. - Ale tak, widzę czasami rzeczy, których inni nie widzą.

Sama nie wiedziałam, dlaczego mu się z tego zwierzyłam. Z jakiegoś powodu moje słowa najwyraźniej go ucieszyły.

- Zdziwiająca, doprawdy, zdziwiająca. Od kiedy masz ten dar?
- Zawsze go miałam.
- Fascynujące! - Pan George rozejrzył się wokół. - To powiedz mi jeszcze, proszę, kto tutaj siedzi prócz nas i słucha, co mówimy.
- Jesteśmy sami.

Musiałam się roześmiać na widok rozczarowanej miny pana George'a.

- Och, a ja przysiągłbym, że w tych murach aż roi się od duchów. Szczególnie w tym pokoju. - Upił z filiżanki łyk herbaty. - Masz może ochotę na ciasteczka? Z nadzieniem pomarańczowym.
- Tak, chętnie.

Nie wiedziałam, czy to miało związek z tym, że wspomniał o ciasteczkach, ale nagle poczułam w brzuchu nawrót mdłości. Wstrzymałam oddech.

Pan George wstał i zaczął grzebać w jednej z szuflad. Mdłości się nasiliły. Ale by się zdziwił, gdyby się odwrócił, a mnie by po prostu nie było. Chyba raczej powinienam go ostrzec. Może ma słabe serce.

- Panie George?
- Teraz znowu twoja kolej, Gwendolyn. - Starannie ułożył ciasteczka na talerzyku, prawie tak jak robi! to zawsze pan Bernhard. - I sądzę, że znam odpowiedź na twoje pytanie.

Wysłuchałam się w siebie. Mdłości nieco zelżały. Okej. Fałszywy alarm.

- Załóżmy więc, że przeniosłabym się do czasów, w których tego budynku jeszcze w ogóle nie było. Czy wylądowałabym pod ziemią i udusiłabym się?

- Och! A ja myślałam, że zapytasz mnie o tego małego chłopca z jasnymi włosami. No dobrze, a więc tak: według naszej wiedzy nikt jeszcze nie cofnął się w czasie więcej niż o pięćset lat.

Również na chronografie można ustawić datę dla rubinu, to znaczy dla ciebie, tylko do roku 1560 naszej ery, roku urodzenia pierwszego podróżnika w czasie w tym kręgu, Lancelota de Villiers. Wielka szkoda, bo omija nas tyle interesujących lat... Proszę, częstuj się. To moje ulubione ciasteczka.

Sięgnęłam po nie, ale naraz talerz rozmył mi się przed oczami i poczułam, jakby ktoś wyciągał spode mnie sofę, na której siedziałam.

## Męska linia rodu

Lancelot de Villiers  
bursztyn (1562/1560-1607)

|

William de Villiers agat (1636-1689)

Hrabia de Saint Germain szmaragd (1703-1784),

Jonathan de Villiers  
karneol (1875-1944)

Timothy de Villiers  
karneol (1875-1930)

Gideon de Villiers  
diament (\*1992)

Paul de Villiers  
czarny turmalin (\*1974)

Kroniki Strażników  
Tom IV, Krąg Dwanaściorga



## 8.

**Wylądowałam** tyłkiem na zimnym kamieniu, z ciasteczkiem z nadzieniem pomarańczowym w rękę. W każdym razie w dotyku zupełnie przypominało ciasteczko. Wokół mnie panowały absolutne ciemności, czarniejsze od czerni. Powinnam być całkowicie sparaliżowana ze strachu, ale jakimś dziwnym trafem w ogóle nie odczuwałam lęku. Może była to zasługa uspokajających słów pana George'a, a może tymczasem zdażyłam się już po prostu przyzwyczaić do podróżowania w czasie. Wetknęłam ciasteczko do ust (było naprawdę pyszne!), a potem wymacałam ręką latarkę, którą miałam zawieszoną na szyi.

Zanim znalazłam włącznik, minęło kilka sekund. W stożku światła widziałam regały z książkami, rozpoznałam kominek (niestety zimny i bez ognia), nad nim wisiał ten sam obraz co przedtem, portret podróżnika w czasie, ten hrabia Jakmutam, w peruce z białych loków. Właściwie brakowało tylko paru foteli i małych stolików i - co za pech - wygodnej sofy, na której siedziałam.

Pan George powiedział, że mam po prostu poczekać, aż wrócę. I pewnie tak bym zrobiła, gdyby ta sofa w dalszym ciągu tu stała. Ale przecież chyba nie zaszkodzi, jeśli na chwilę wyjrzę za drzwi.

Macając rękami dokoła, ostrożnie posuwałam się naprzód. Drzwi były zamknięte na klucz. No dobra. Przynajmniej nie chciało mi się teraz iść do toalety.

Przeszukałam pomieszczenie, świecąc sobie latarką. Może uda mi się znaleźć jakąś wskazówkę co do roku, w którym się znalazłam? Może na ścianie albo na biurku jest jakiś kalendarz?

Na biurku było pełno zrolowanych papierów, książek, otwartych listów i szkatulek. Snop światła omiótł kałamarz i gęsie pióra. Wzięłam do ręki jakiś arkusz. Był sztywny i szorstki w dotyku. Pełne zawijasów pismo ledwie dawało się odcyfrować, ale w końcu je odczytałam.

*Wielce Szanowny Panie Doktorze! Pana list dotarł do mnie dzisiaj, był w drodze zaledwie dziewięć tygodni. Można się tylko dziwić tej szybkości, jeśli pomyślimy, jak daleką drogę pokonał Pana zajmujący raport o sytuacji w koloniach.*

Mimo woli uśmiechnęłam się. Dziewięć tygodni na list! A ludzie ciągle narzekają na niesolidną brytyjską pocztę. No dobrze, a zatem znalazłam się w czasach, kiedy do dostarczania listów służyły gołębie. Albo ślimaki.

Usiadłam na krześle przy biurku i przeczytałam jeszcze kilka listów. Były dość nudne. Nazwiska też mi nic nie mówiły. Potem zbadalam zawartość szkatulek. Pierwszą, którą otworzyłam, wypełniały pieczęcie z kunsztownie wykonanymi motywami. Szukałam dwunastoramiennej gwiazdy, ale były tam tylko korony, splątane litery i motywy roślinne. Bardzo ładne. Znalazłam też woskowe świece do pieczęci we wszystkich kolorach, nawet złote i srebrne.

Następna szkatułka była zamknięta. Może w którejś szufladzie będzie do niej klucz? To małe poszukiwanie skarbów sprawiało mi prawdziwą przyjemność. Jeśli znajdę w tej szkatułce coś, co mi się spodoba, po prostu zabiorę to ze sobą. Tylko na próbę. Z ciasteczkami też się przecież udało. Przyniosłabym Leslie mały prezent, to chyba nie było zabronione.

W szufladach pod blatem znalazłam jeszcze kilka innych piór i kałamarzy, listy troskliwie przechowywane w kopertach, oprawne notatniki, coś na kształt sztyletu, niewielki sierpowa-ty nożyk i - klucze.

Wiele, wiele kluczy o rozmaitych kształtach i rozmiarach. Leslie byłaby zachwycona. Prawdopodobnie w tym pokoju do każdego klucza był jakiś zamek, a każdy zamek skrywał jakąś tajemnicę. Albo skarb.

Wypróbowałam kilka kluczy, na oko dostatecznie małych, by mogły zmieścić się do zamka w szkatułce. Ale żaden nie pasował. Szkoda. Pewnie były w niej cenne klejnoty. Może powinnam zabrać ze sobą całą szkatułkę? Była jednak nieporęczna i o wiele za duża, bym schowała ją do kieszeni kurtki.

W kolejnym pudełku znajdowała się fajka. Wprawdzie bardzo ładna, kunsztownie rzeźbiona, prawdopodobnie z kości słoniowej, ale to też nie był odpowiedni przedmiot dla Leslie. Może powinnam zabrać dla niej jedną z tych pieczęci? Albo ten piękny sztylet? Albo jakąś książkę?

Wiedziałam oczywiście, że nie wolno kraść, ale to była wyjątkowa sytuacja. Uważałam, że mam prawo do odszkodowania. Poza tym musiałam sprawdzić, czy w ogóle da się przenosić przedmioty z

przeszłości do terażniejszości. Nie czułam ani odrobiny wyrzutów sumienia i sama się temu dziwiłam,

bo zwykle oburzałam się nawet wtedy, gdy Leslie w delikatesach u Harrodsa na promocjach częstowała się więcej niż raz albo gdy - całkiem niedawno - zerwała w parku kwiatek z klombu.

Ale nie potrafiłam się zdecydować. Sztylet wyglądał na najbardziej cenny. Jeśli kamienie na rękojeści były prawdziwe, mógł być wart majątek. Ale co Leslie miałyby począć ze sztyletem? Pieczęć na pewno bardziej by się jej spodobała. Tylko która?

Możliwość podjęcia decyzji została mi zwyczajnie odebrana, bo właśnie powróciły mdłości. Kiedy stół rozmył mi się przed oczami, chwyciłam pierwszy lepszy przedmiot, jaki wpadł mi w ręce.

Delikatnie wylądowałam na własnych nogach. Oślepiło mnie jasne światło. Szybko włożyłam klucz, który złapałam w ostatniej chwili, do kieszeni, obok komórki, i rozejrzałam się po pomieszczeniu. Wszystko było tak jak przedtem, kiedy piłam herbatę z panem George'em, a pełgający ogień w kominku rozsiewał dokoła przyjemne ciepło.

Ale pan George nie był już sam. Stał na środku pokoju z Falkiem de Villiers i nieuprzejmym doktorem White'em (razem z tym małym jasnowłosym chłopcem) i toczył z nimi cichą rozmowę. Gideon de Villiers niedbale opierał się o regał z książkami. To on pierwszy mnie zauważył.

- Cześć, Wendy - powiedział.

- Gwendolyn - poprawiłam go.

Mój Boże, czy to tak trudno zapamiętać? Przecież ja też nie mówiłam do niego „Gisbert”.

Pozostali trzej mężczyźni podeszli, wpatrując się we mnie -doktor White nieufnie mrużąc oczy, pan George najwyraźniej z radością.

- To trwało prawie piętnaście minut - powiedział. - Wszystko z tobą w porządku, Gwendolyn? Dobrze się czujesz?

Skinęłam głową.

- Czy ktoś cię widział?

- Nikogo tam nie było. Zresztą tak jak mi pan kazał, nie ruszyłam się z miejsca. - Podałam panu George'owi latarkę i sygnet. - Gdzie jest moja mama?

- Na górze, z pozostałymi - odrzekł krótko pan de Villiers.

- Chcę z nią porozmawiać.

- Nie martw się, porozmawiasz. Później - powiedział pan George. - Ale najpierw... och, zupełnie nie wiem, od czego zacząć.

Jego twarz promieniała radością. Ciekawe, z czego on się tak cieszył.

- Mojego bratanka Gideona zdążyłaś już poznać - powiedział pan de Villiers. - To, co właśnie ci się przydarzyło, on przeżył już przed dwoma laty. Oczywiście był do tego znacznie lepiej przygotowany niż ty. Nadrobienie tego, co zaniedbano u ciebie w ciągu ostatnich lat, będzie trudne.

- Trudne? Ja raczej uznałbym to za niemożliwe - wtrącił doktor White.

- To wcale nie będzie konieczne - odezwał się Gideon. - Znacznie lepiej poradzę sobie sam.

- Zobaczymy - powiedział pan de Villiers.

- Myślę, że nie doceniacie tej dziewczyny - rzekł pan George, po czym uderzył w uroczysty, niemal namaszczonego ton. - Gwendolyn Shepherd! Jesteś teraz częścią prastarej tajemnicy. Czas, byś nauczyła się tę tajemnicę rozumieć. Po pierwsze, powinnaś wiedzieć...

- Nie uprzedzajmy wypadków - wpadł mu w słowo doktor White. - Może i ma ten gen, ale to jeszcze nie znaczy, że można jej zaufać.

- Albo że w ogóle zrozumie, o co w tym chodzi - uzupełnił Gideon.

Aha. Najwyraźniej miał mnie za nieco ograniczoną. Nadęty głupek.

- Kto wie, jakie instrukcje otrzymała od swojej matki - powiedział doktor White. - I kto wie, od kogo ona z kolei otrzymała instrukcje. Mamy tylko ten jeden jedyny chronograf, nie możemy sobie pozwolić na kolejny błąd. Chciałbym, żeby zostało to wzięte pod uwagę.

Pan George wyglądał, jakby go spoliczkowano.

- Można zupełnie niepotrzebnie skomplikować sprawy.

- Zabiorę ją teraz do mojego gabinetu - oznajmił doktor White. - Nie miej mi tego za złe, Thomas. Ale na wyjaśnienia przyjdzie jeszcze pora.

Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było udanie się do gabinetu z tym doktorem Frankensteinem.

- Chcę do mamy - powiedziałam, licząc się z tym, że zabrzmiało to, jakbym była małym dzieckiem.

Gideon mlasnął pogardliwie językiem.

- Nie musisz się bać, Gwendolyn - uspokoił mnie pan George. - Potrzebujemy tylko odrobiny twojej krwi, a poza tym doktor White odpowiada za twoją odporność i twoje zdrowie. W przeszłości czai się niestety cała masa groźnych zarazków, zupełnie nieznanymi organizmowi współczesnego człowieka. To nie potrwa długo.

Czy on w ogóle miał świadomość, jak strasznie to zabrzmiało? „Potrzebujemy tylko odrobiny twojej krwi”... i... „to nie potrwa długo”... ja cię kręcę!

- Ale ja... ja nie chcę zostać sama z doktorem Franken... z doktorem White'em - zaprotestowałam.

Było mi teraz wszystko jedno, czy zachowuję się wobec tego człowieka uprzejmie, czy nie. Poza tym on sam też miał fatalne maniere. A co do Gideona - niech sobie myśli o mnie, co mu się żywnie podoba!

- Doktor White nie jest tak... pozbawiony serca, jak mogłoby to wyglądać - powiedział pan George. - Nie musisz...

- Ależ tak, musi - warknął doktor White.

Powoli zaczynała ogarniać mnie wściekłość. Co ten zblazowany staruch sobie właściwie wyobraża? Niech lepiej kupi sobie garnitur w jakimś odpowiednim kolorze!

- Ach tak? A co pan zrobi, jeśli odmówię? - prychnęłam, zauważając jednocześnie, że jego oczy za okularami w czarnych oprawkach, rzucające w moją stronę gniewne błyski, są zaczerwienione i zaognione.

Świetny lekarz, pomyślałam. Niech sam się najpierw wyleczy.

Zanim doktor White zdążył wymyślić, co ma ze mną zrobić (moja wyobraźnia w mgnieniu oka podsunęła mi kilka niezbyt apetycznych szczegółów), usłyszałam z ulgą, że do rozmowy wtrącił się pan de Villiers.

- Każę zawiadomić panią Jenkins - powiedział kategorycznym tonem. - Póki nie przyjdzie, Gwendolyn będzie towarzyszy! pan George.

Rzuciłam doktorowi triumfujące spojrzenie, jedno z tych, które zastępują pokazanie języka, ale on mnie zignorował.

- Spotkamy się zatem za pół godziny na górce, w Sali Smoczej - zakończy! pan de Villiers.

Wychodząc z pokoju, mimo woli raz jeszcze zerknęłam w stronę Gideona, żeby sprawdzić, czy moje zwycięstwo nad doktorem White'em zrobiło na nim wrażenie. Najwyraźniej nie, bo gapił się na moje nogi. Prawdopodobnie porównywał je z nogami Charlotty.

Cholera! Jej były dłuższe i szczuplejsze. I na pewno nie miała podrapanych łydek, bo nie musiała poprzedniej nocy przedzierać się pośród starych rupieci i wypchanych krokodyli.

Gabinet doktora White'a wygląda! jak najzwyczajniejszy na świecie gabinet lekarski. A doktor White, kiedy włożył na garnitur biały fartuch, a potem długo i starannie mył ręce, wyglądał jak najzwyczajniejszy na świecie lekarz. Tylko towarzyszący mu mały chłopiec z jasnymi włosami był dosyć niezwykły.

- Zdejmij bluzę i podwiń rękaw - rzucił doktor White. Pan George postanowił przyjąć rolę tłumacza.

- Bądź tak miła, zdejmij bluzę i podwiń rękaw.

Mały duch przygląda! mi się z zainteresowaniem. Kiedy się do niego uśmiechnęłam, szybko schował się za doktorem Whi-te'em, aby sekundę później znowu zza niego wyjrzeć.

- Czy ty mnie może widzisz? Skinęłam głową.

- Patrz w drugą stronę - warknął doktor White, okręcając mi ramię opaską.

- Widok krwi nie robi na mnie wrażenia - odparłam. - O ile to jest moja własna krew.

- Reszta mnie nie widzi - powiedział mały duch.

- Wiem. Mam na imię Gwendolyn. A ty?

- Dla ciebie wciąż jeszcze doktor White.

- Mam na imię Robert - powiedział mały duch.

- To bardzo ładne imię - zauważyłam.

- Dziękuję uprzejmie - powiedział doktor White. - Za to ty masz bardzo ładne żyły.

Niemal nie poczułam wkłucia. Doktor White z nabożeństwem nappełnił moją krwią szklaną probówkę. Potem zamienił pełną na pustą i tę też nappełnił.

- Ona nie rozmawia z tobą, Jake - powiedział pan George.

- Ach tak? A z kim?

- Z Robertem-wyjaśniłam.

Głowa doktora White'a gwałtownie się podniosła. Po raz pierwszy spojrzął prosto na mnie.

- Co proszę?

- Nie, nic - odparłam.

Doktor White wymamrotał do siebie coś, czego nie zrozumiałam. Pan George posłał mi uśmiech spiskowca.

Ktoś zapukał do drzwi. Do gabinetu weszła pani Jenkins, ta sekretarka w grubych okularach.

- No, wreszcie pani jest - burknął doktor White. - Możesz się stąd zmywać, Thomas. Teraz pani Jenkins zabawi się w przy-zwoitkę. Niech pani usiądzie na krześle tam z tyłu. I proszę trzymać buzię na kłódkę.

- Szarmancki jak zawsze - rzuciła pani Jenkins, ale posłusznie usiadła na wskazanym krześle.

- Do zobaczenia za chwilę - powiedział do mnie pan George. Podniósł jedną z probówek wypełnionych moją krwią. - Idę zatankować - dodał, szczerząc zęby.

- A gdzie stoi ten chronograf? I jak on wygląda? - spytałam, kiedy drzwi za panem George'em się zamknęły. - Czy można do niego wsiąść?

- Ostatnia osoba, która wypytywała mnie o chronograf, niecałe dwa lata później go ukradła. - Doktor White wyciągnął mi kaniulę z ręki i przycisnął watką miejsce ukłucia. - Z pewnością rozumiesz więc, że powstrzymam się od odpowiedzi na twoje pytania.

- Ktoś ukradł chronograf?

Mały duch - chłopiec o imieniu Robert - gwałtownie skinął głową.

- Tak, twoja urocza kuzynka Lucy we własnej osobie - wycedził doktor White. - Doskonale pamiętam, kiedy siedziała tu pierwszy raz. Sprawiała wrażenie całkiem tak samo niegroźnej i nieporadnej jak ty.

- Lucy jest miła - powiedział Robert. - Lubię ją. Ponieważ był duchem, pewnie zdawało mu się, że ostatni raz widział Lucy dopiero co, może nawet wczoraj.

- Lucy ukradła chronograf? Ale dlaczego?
  - A skąd ja mam to wiedzieć? Prawdopodobnie cierpiała na schizoidalne zaburzenia osobowości - warknął doktor White. - To chyba rodzinne. W tej rodzinie są same histeryczki. A Lucy prócz tego miała najwyraźniej sporo kryminogennych skłonności.
  - Doktorze White! - obruszyła się pani Jenkins. - Przecież to nieprawda!
  - Czy nie kazałem pani siedzieć cicho?
  - Ale skoro Lucy ukradła chronograf, to jakim cudem znalazł się tutaj?
  - No właśnie, jakim cudem? - Doktor White zdjął mi z ramienia opaskę uciskową. - Ponieważ istnieje jeszcze jeden chronograf, mądralo. Kiedy miałaś ostatnie szczepienie przeciwciwężcowe?
  - Nie wiem. To znaczy, że istnieje więcej chronografów?
  - Nie, tylko te dwa - odrzekł doktor White. - Przeciw ospie najwyraźniej nie byłaś szczepiona. - Postukał mnie kontrolnie w ramię. - Jakieś schorzenia przewlekłe? Alergia?
  - Nie. Nie byłam też szczepiona przeciw dżumie. Ani przeciw cholerze. Ani czarnej ospie. - Mimo woli pomyślałam o Jamesie. - Czy w ogóle można się zaszczepić przeciw czarnej ospie? Jeden mój przyjaciel zmarł chyba na czarną ospę.
  - Nie bardzo w to wierzę - rzekł doktor White. - Czarna ospa to inna nazwa ospy prawdziwej. A u nas już od bardzo dawna nikt na to nie umarł.
  - Ten mój przyjaciel też już od dawna nie żyje.
  - Ja zawsze myślałam, że ospa to jest to samo co odra - odezwała się pani Jenkins.
  - A ja myślałem, że uzgodniliśmy, że będzie pani siedziała cicho!
- Pani Jenkins umilkła.
- Właściwie dlaczego jest pan dla wszystkich taki nieuprzejmy? - zapytałam. - Auu!
  - To tylko małe uszczypięcie - powiedział doktor White.
  - A co to było?
  - Nie chciałabyś tego wiedzieć, wierz mi. Westchnęłam. Mały duch o imieniu Robert westchnął także.
  - Czy on zawsze taki jest? - spytałam go.



- Najczęściej - odrzekł Robert.
- On tego nie robi specjalnie - wtrąciła pani Jenkins.
- Pani Jenkins!
- Już dobrze.
- Na razie skończyłem. Do następnego razu będę miał wyniki badań twojej krwi, a może twoja czarująca mamusia udostępni też książeczkę szczepień i historię chorób.
- Nigdy nie chorowałam. Czy teraz jestem zaszczepiona przeciw dżumie?
- Nie. To nie jest specjalnie skuteczne. Działa tylko około pół roku i daje poważne objawy uboczne. O ile wiem, nigdy nie cofniesz się do roku, w którym szalała dżuma. Możesz się ubrać. Pani Jenkins zaprowadzi cię na górę. Przyjdę tam za minutę.
- Pani Jenkins podniosła się z krzesła.
- Chodź, Gwendolyn. Na pewno jesteś głodna, zaraz będzie coś do jedzenia. Pani Mallory przygotowała dzisiaj pieczeń cielęcą i szparagi. Pycha.
- Faktycznie, byłam głodna. Miałam ochotę nawet na pieczeń cielęcą ze szparagami, choć normalnie nie byłam wielką fanką takich potraw.
- Wiesz, doktor to w gruncie rzeczy dobry człowiek - powiedziała pani Jenkins, kiedy szłyśmy na górę. - Tylko przeważnie ma problemy z uprzejmością.
- Najwyraźniej.
- Kiedyś był całkiem inny. Wesoly, zawsze w dobrym nastroju. Wprawdzie już wtedy nosił te okropne czarne garnitury, ale do tego przynajmniej zakładał kolorowe krawaty. Tak było, zanim zmarł jego mały synek... och, to straszna tragedia. Od tego czasu to jakby inny człowiek.
- Robert?
- Tak, ten mały miał na imię Robert - potwierdziła pani Jenkins. - Czy pan George już ci o nim opowiadał?
- Nie.

- Kochane dzieciątko. W czasie przyjęcia urodzinowego utopił się u znajomych w basenie, spróbuj to sobie wyobrazić. -Pani Jenkins, idąc, odliczała lata na palcach. - To było osiemnaście lat temu. Biedny doktor.

Biedny Robert. Przynajmniej nie wyglądał jak topielec. Niektóre duchy najwyraźniej czerpią przyjemność z tego, że chodzą sobie w takim samym stanie, w jakim były w chwili śmierci. Na szczęście jeszcze nigdy nie spotkałam żadnego z siekierą w głowie. Albo w ogóle bez głowy.

Pani Jenkins zapukała do drzwi.

- Zrobimy mały przystanek u madame Rossini. Musi zdjąć z ciebie miarę.

- Miarę? A po co?

Ale pokój, do którego wepchnęła mnie pani Jenkins, sam wyjaśnił mi wszystko: to była szwalnia, a spośród tkanin, sukien, maszyn do szycia, manekinów, nożyc i szpilek nici uśmiechała się do mnie tęgawa kobieta z burzą rudych włosów.

- Witam - powiedziała z francuskim akcentem. - Ty pewnie jesteś Gwendolyn. A ja jestem madame Rossini i zajmę się twoją garderobą. Chwyciła centymetr krawiecki. - Przecież nie możemy pozwolić ci biegać w roku tym-i-owym w takim okropnym szkolnym mundurku, *n'est ce pas* \*?

Skinęłam głową. Mundurki były naprawdę okropne, niezależnie od epoki.

- Pewnie doszłoby do pospolitego ruszenia, gdybyś tak wyszła na ulicę. - Madame Rossini załamała ręce, nie wypuszczając z nich centymetra.

- Niestety, musimy się pospieszyć, tam na górze na nas czekają - wtrąciła pani Jenkins.

- Zrobię to szybciotko. Czy mogłabyś zdjąć kurtkę? - Madame Rossini opasała mnie centymetrem w talii. - Cudownie. A teraz biodra. Jak młody źrebaczek. Myślę, że możemy wykorzystać wiele z tego, co przygotowałam dla tamtej drugiej, może z niewielkimi poprawkami tu i ówdzie.

Mówiąc „tamta druga”, z pewnością miała na myśli Charlotte. Przyjrzałam się jasnożółtej sukni z białą przezroczystą koronką, wiszącej na jednym z manekinów - była jak z garderoby w *Dumie i uprzedzeniu*. Charlotta na pewno wyglądałaby w niej zachwycająco.

- Charlotta jest ode mnie wyższa i szczuplejsza - zauważyłam.

---

\* *N'est ce pas* (franc.) - prawda?

- Tak, odrobinę - przyznała madame Rossini. - Chuda jak patyk. - (Powiedziała „patik” i mimo woli zachichotałam cicho). Zmierzyła mi również obwód szyi i głowę. - Do kapeluszy i peruk - wyjaśniła i zaśmiała się do mnie. - Jak to miło raz dla odmiany uszyć coś dla brunetki. U rudych trzeba zawsze być bardzo ostrożnym z kolorami. Ten cudowny kawałek tafty, kolor zachodzącego słońca, mam już od kilku lat. Możesz być pierwszą, której będzie w tym kolorze do twarzy.

- Madame Rossini, proszę! - Pani Jenkins wskazała na zegarek na przegubie ręki.

- Już, już, zaraz kończę - zapewniła ją madame Rossini, powiewając wokół mnie centymetrem. Zmierzyła mi nawet kostki.

- Ech, ci mężczyźni, zawsze się spieszą. Ale moda i uroda to jak raz nie jest szybki interes. - Na koniec klepnęła mnie po przyjacielsku i powiedziała: - Do zobaczenia, łabędzia szyjko.

Teraz zauważyłam, że ona sama w ogóle nie ma szyi. Jej głowa zdawała się spoczywać bezpośrednio na ramionach. Ale madame Rossini była naprawdę miła.

- Do zobaczenia, dziękuję.

Kiedy znalazłyśmy się na zewnątrz, pani Jenkins przyspieszyła i ledwie mogłam dotrzymać jej kroku, choć miała pantofle na wysokich obcasach, ja zaś moje wygodne, nieco rozdeptane ciemnoniebieskie szkolne adidas.

- Za chwilę będziemy na miejscu - oznajmiła.

Przed nami rozciągał się kolejny korytarz, który zdawał się nie mieć końca. Nie mogłam zrozumieć, jak można się połączyć w takim labiryncie.

- Pani tu mieszka?

- Nie, mieszkam w Islington. Kończę pracę o piątej i jadę do męża, do domu.

- A co pani mąż na to, że pracuje pani dla tajnej loży, która w piwnicy trzyma wehikuł czasu?

Pani Jenkins zaśmiała się.

- Och, on nic o tym nie wie. W umowie o pracę podpisałam zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Ani mojemu mężowi, ani nikomu innemu nie mogę zdradzić, co się tutaj dzieje.

- Nikomu innemu?

Wśród tych murów kryła się cała masa szczątków gadatliwych sekretarek.

- Inaczej straciłabym pracę - powiedziała pani Jenkins i to zabrzmiało tak, jak gdyby faktycznie ta perspektywa wydawała jej się przerażająca. -I tak nikt by mi nie uwierzył - dodała wesoło. - A już na pewno nie mój mąż. Ten pocziwiec nie ma za grosz fantazji. Myśli, że morduję się w jakiejś zwykłej kancelarii adwokackiej z nudnymi aktami. O, nie! Akta! - Zatrzymała się. - Zapomniałam o nich. Doktor White mnie zabije! -Rzuciła mi niezdecydowane spojrzenie. - Poradzisz sobie beze mnie przez te ostatnie parę metrów? Za rogiem w lewo, a potem drugie drzwi po prawej.

- Za rogiem w lewo, drugie drzwi po prawej, jasne.

- Kochana jesteś!

Pani Jenkins ruszyła biegiem. Nie mam pojęcia, jak to zrobiła na tych obcasach. Ja natomiast na te „ostatnie parę metrów” miałam całkiem sporo czasu. Wreszcie mogłam się w spokoju przyjrzeć obrazom na ścianach (wyblakłe), postukać w zbroję rycerską (zardzewiała) i przejechać palcem po ramie jednego z obrazów (zakurzona). Skręciwszy za róg, usłyszałam głosy.

- Charlotta, poczekaj.

Błyskawicznie cofnęłam się i przylgnęłam plecami do ściany. Charlotta wyszła ze Smoczej Sali, a obok niej kroczył Gideon, trzymając ją pod rękę - tyle zdążyłam dostrzec. Miałam nadzieję, że mnie nie widzieli.

- To wszystko jest tak strasznie przykre i poniżające - powiedziała Charlotta.

- Nie, wcale nie. Przecież to nie twoja wina. Jakże miękko i serdecznie brzmiał jego głos.

On się w niej buja, pomyślałam i z jakiegoś głupawego powodu trochę mnie to zabolalo. Jeszcze mocniej przywarłam do ściany, choć miałam wielką ochotę zobaczyć, co robi tamtych dwoje. Może trzymają się za rączki?

Charlotta wydawała się niepocieszona.

- Objawy fantomowe! O mało nie zapadłam się pod ziemię. Naprawdę wierzyłam, że to się może stać w każdej chwili...

- Też bym wierzy! na twoim miejscu - powiedział Gideon. -Twoja ciotka musi być szalona, że ukrywała to wszystko przez tyle lat. A twojej kuzynki bardzo mi żal.

- Naprawdę?

- Pomyśl tylko! Jak ona sobie z tym poradzi? Nie ma najmniejszego pojęcia... Jak nadrobi to, czego my uczyliśmy się przez ostatnie dziesięć lat?

- Tak, biedna Gwendolyn. - W głosie Charlotty nie usłyszałam zbytniego współczucia. - Ale ona ma też swoje mocne strony.

Och. To z kolei było miłe.

- Umie chichotać z koleżanką, pisać SMS-y i recytować z pamięci obsady filmów.

Jednak nie było miłe.

Znów ostrożnie wyjrzałam zza rogu.

- Tak właśnie pomyślałem, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy - powiedział Gideon. - Ech, będzie mi ciebie naprawdę brakowało... na przykład naszych lekcji fechtunku.

Charlotta westchnęła.

- Dobrze się bawiliśmy, prawda?

- Tak. Ale pomyśl, jakie masz teraz możliwości, Charlotto! Zazdroszczę ci tego! Jesteś wolna i możesz robić, co chcesz.

- Nigdy nie chciałam niczego innego poza tym tutaj!

- Tak, bo nie miałaś wyboru - odrzekł Gideon. - Ale teraz cały świat stoi przed tobą otworem.

Możesz studiować za granicą i wybrać się w daleką podróż, podczas gdy mnie nie wolno oddalić się od tego cholera... od tego chronografu na dłużej niż jeden dzień i muszę spędzać noce w 1953 roku. Wierz mi, bardzo chętnie bym się z tobą zamienił.

Drzwi Smoczej Sali otworzyły się ponownie i na korytarz wyszła lady Arista wraz z ciotką Glendą. Szybko się cofnęłam.

- Jeszcze tego pożałują - powiedziała ciotka Glenda.

- Glendo, proszę cię! - próbowała ją uspokoić lady Arista. - Przecież jesteśmy rodziną, musimy trzymać się razem.

- Powiedz to lepiej Grace - warknęła ciotka Glenda. - To przecież ona wpakowała nas w tę obłądną sytuację. Chce chronić córkę! Dobrze sobie! Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby w ani jedno jej słowo. Po tym wszystkim, co się stało. Ale to już nie jest nasz problem. Chodź, Charlotto.

- Odprowadzę was do samochodu - zaofiarował się Gideon. Lizus!

Poczekalam, aż odgłosy ich kroków całkiem umilkną, a potem odważyłam się wyjść z ukrycia. Lady Arista wciąż tam była. Zmęczona pocierała palcem czoło. Wyglądała zaskakująco staro, jak nigdy dotąd. Typowa dla nauczycielek baletu dyscyplina najwidoczniej ją opuściła i nawet w rysach jej twarzy zapanował lekki nieporządek. Zrobiło mi się jej żal.

- Babciu - odezwałam się cicho. - Wszystko w porządku? Jej sylwetka natychmiast się wyprężyła.

Wszystkie połknięte

kije wróciły na swoje poprzednie pozycje i znieruchomiały.

- Ach, to ty - powiedziała. Jej badawczy wzrok zatrzymał się na mojej bluzce. - Czy to jest może plama? Dziecko, naprawdę musisz zacząć trochę dbać o swój wygląd.

*Przerwy między kolejnymi podróżami w czasie - o ile nie podlegają kontroli chronografu - są różne dla każdego nosiciela genu. Hrabia de Saint Germain w wyniku swoich obserwacji doszedł do wniosku, że kobiety, nosicielki genu, nie przemieszczają się w czasie tak często i nie przebywają w innej epoce tak długo jak mężczyźni, my jednak z dzisiejszego punktu widzenia, nie możemy tego potwierdzić. Czas trwania niekontrolowanych podróży w czasie waha się, według zapisków, od ośmiu minut i dwunastu sekund (podróż inicjacyjna Timothy'ego de Villiers, 5 maja 1892 roku) do dwóch godzin i czterech minut (Margret Tilney, druga podróż, 22 marca 1894 roku). Czas, jaki podróżnikowi daje do dyspozycji chronograf, wynosi najmniej trzydzieści minut, a najwięcej cztery godziny. Nie wiadomo, czy ktoś odbył kiedyś niekontrolowaną podróż w czasie w obrębie własnego życia. Hrabia de Saint Germain zakłada w swoich zapiskach, iż jest to niemożliwe ze względu na zasadę ciągłości (zob. tom III, Zasady ciągłości).*

*Także chronografu nie da się ustawić tak by cofnął podróżnika w czasie w obrębie jego własnego życia.*

*Kroniki Strażników Tom II, Zasady ogólne*

## 9.

Mama przytuliła mnie tak, jakbym odnalazła się co najmniej po trzech latach. Musiałam ją tysiąc razy zapewnić, że wszystko ze mną w porządku, i dopiero wtedy przestała się dopytywać.

- A ty jak, mamo, też w porządku?

- Tak, kochanie, miewam się dobrze.

- A zatem wszyscy dobrze się miewają - rzucił kpiąco pan de Villiers. - Świetnie, że to sobie wyjaśniliśmy. - Podeszedł do mamy i do mnie tak blisko, że czułam zapach jego wody ko-łońskiej (coś korzenno-owocowego z nutą cynamonu. Natychmiast zrobiłam się jeszcze bardziej głodna). - I co my teraz mamy z tobą zrobić, Grace? - Wbił w mamę spojrzenie swoich wilczych oczu.

- Powiedziałam prawdę.

- Tak, jeśli chodzi o los Gwendolyn - rzekł pan de Villiers. - Należałoby jednak wyjaśnić, dlaczego położna, która przedtem była na tyle uprzejma, że zgodziła się sfalszować akt urodzenia, akurat dzisiaj musiała niespodziewanie wyjechać.

Mama wzruszyła ramionami.

- Nie przypisywałabym od razu każdemu przypadkowi aż tak wielkiego znaczenia, Falk.

- Równie dziwne wydaje mi się to, że ktoś decyduje się na poród w domu, wiedząc, że zapowiada się przedwczesne rozwiązanie. Każda kobieta, która ma choć trochę oleju w głowie, przy pierwszych bólach pojechałaby do szpitala. Prawdę mówiąc, miał rację.

- To po prostu poszło bardzo szybko - wyjaśniła mama i nawet jej powieka nie drgnęła. - I tak się cieszyłam, że położna jest na miejscu.

- No dobrze, ale nawet jeśli tak, to w razie przedwczesnego porodu natychmiast po urodzeniu dziecka jedzie się do szpitala, żeby to dziecko zbadać.

- I tak zrobiliśmy.

- Ale dopiero następnego dnia - zauważył pan de Villiers. - W dokumentacji szpitala napisano, że dziecko zostało wprawdzie gruntownie zbadane, ale matka zbadać się nie chciała. Dlaczego, Grace?



Mama roześmiała się.

- Myślę, że lepiej byś mnie zrozumiał, gdybyś sam kiedyś urodził dziecko i miał za sobą kilkadziesiąt badań ginekologicznych. Czułam się doskonale, chciałam tylko wiedzieć, czy z dzieckiem wszystko w porządku. Ale w jaki sposób udało ci się tak szybko dotrzeć do dokumentacji szpitalnej? Myślałam, że tego rodzaju informacje są objęte tajemnicą lekarską.

- Jeśli o mnie chodzi, możesz oskarżyć szpital o złamanie ustawy o ochronie danych osobowych - powiedział pan de Vil-liers. - A tymczasem będziemy dalej szukać tej położnej. Szalenie mnie interesuje, co też ta kobieta będzie nam miała do powiedzenia.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł pan George i doktor White oraz pani Jenkins, która dzwigała stertę segregatorów. Za nimi wkroczył Gideon. Tym razem obejrzałam go sobie całego, nie tylko jego przystojną twarz. Szukałam czegoś, co by mi się nie spodobało, żebym nie musiała się czuć taka niedoskonała, gdy się z nim porównywałam. Niestety, niczego nie udało mi się znaleźć. Nie miał ani krzywych nóg (od gry w polo), ani za długich rąk, ani przyrośniętych do głowy płatków uszu (co zdaniem Leslie miało być oznaką skąpstwa). Wygląda! po prostu bosko, kiedy tak się teraz opiera! pośladkami o biurko, splatając ręce na piersi.

Jedynym, co mogło mi się wydać beznadziejne, były jego włosy sięgające prawie do ramion. Niestety, miał takie zdrowe, lśniące włosy, że mimo woli poczułam chęć, by sprawdzić, jakie są w dotyku.

Tyle świetnej prezencji na marne, co za strata.

- Wszystko gotowe - oznajmił pan George i puścił do mnie oko. - Wehikuł czasu przygotowany do startu.

Robert, chłopiec-duch, pomachał mi nieśmiało. Ja też mu pomachałam.

- A więc jesteśmy w komplecie - powiedział pan de Wliers. - To znaczy Glenda i Charlotta musiały się niestety pożegnać. Ale kazały wszystkich serdecznie pozdrowić.

- Tak, założę się, że tak - wtrącił doktor White.

- Naprawdę biedna dziewczyna. Dwa dni odczuwania tych fantomowych objawów to na pewno nie było przyjemne - westchnął pan George, a na jego okrągłej twarzy pojawił się wyraz współczucia.

- I jeszcze do tego ta matka - mruknął doktor White, wertując segregator przyniesiony przez panią Jenkins. - Biedne dziecko, naprawdę ma pecha.

- Pani Jenkins, na jakim etapie jest madame Rossini z garderobą Gwendolyn?

- Przecież dopiero... Zaraz ją zapytam. - Pani Jenkins pospiesznie opuściła pokój.

Pan George zatarł ręce. Rozpierała go chęć działania.

- No to możemy zaczynać.

- Ale nie narazi jej pan na niebezpieczeństwo, prawda? -zwróciła się mama do pana George'a. - Będzie ją pan trzymał z dala od tamtej sprawy?

- Oczywiście, że będziemy ją trzymać z dala od tamtej sprawy - wtrącił Gideon.

- Zrobimy wszystko, aby chronić Gwendolyn - zapewnił pan George.

- Nie możemy jej trzymać z dala - powiedział pan de Vil-liers. - Ona jest częścią tamtej sprawy. To powinno być dla ciebie jasne od samego początku. Zanim zaczęłaś tę swoją głupią zabawę w chowanego.

- I to przez panią dziewczyna jest kompletnie nieprzygotowana i niezorientowana - zaznaczył doktor White. - A to niesłychanie utrudni naszą misję. Ale może właśnie o to pani chodziło.

- Chodziło mi o to, by nie narażać swojej córki na niebezpieczeństwo - odrzekła mama.

- Sam już wiele osiągnąłem - oświadczył Gideon. - Sam także mogę to doprowadzić do końca.

- Taką też miałam nadzieję - powiedziała mama.

„Sam także mogę to doprowadzić do końca". O rany! Z trudem zdusiłam chichot. To zabrzmiało jak w jednym z tych durnowatych filmów akcji, w których obdarzony melancholijnym spojrzeniem mięśniak ratuje świat, walcząc ze studwudziesto-osobową drużyną ninja, flotą wrogich statków kosmicznych albo całym miastem uzbrojonych po zęby drabów wyjętych spod prawa.

- Zobaczymy, do jakich zadań się ewentualnie nada - powiedział pan de Villiers.

- Mamy jej krew - dodał Gideon. - Więcej niczego od niej nie potrzebujemy. Jeśli o mnie chodzi, może przychodzić codziennie i poddawać się elapsji, i wszyscy będą szczęśliwi.

Co proszę? Elapsji? To brzmiało jak jeden z tych terminów, za pomocą których pan Whitman miał zwyczaj wprawiać nas w zakłopotanie na lekcjach angielskiego: „W gruncie rzeczy całkiem niezłe

wypracowanie, Gordonie, ale na przyszły raz może mniej epatuj patosem". A może „mniej elaptuj"? Nieważne, w każdym razie nikt, ani Gordon, ani reszta klasy, nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa. Oprócz Charlotty, rzecz jasna.

Pan George zauważył moją zakłopotaną minę.

- Pod pojęciem elapsji rozumiemy celowe wykorzystanie twojego przydziału podróży w czasie, polegające na wysianiu cię za pomocą chronografu na kilka godzin w przeszłość. W ten sposób zapobiegamy niekontrolowanym przeskokom w czasie. - Odwrócił się do pozostałych. - Jestem pewien, że Gwendolyn jeszcze zaskoczy nas wszystkich swoim potencjałem. Jest...

- Jest dzieciakiem! - wszedł mu w słowo Gideon. - Nie ma o niczym pojęcia.

Oblałam się rumieńcem. A cóż to za bezczelność! I jak pogardliwie na mnie patrzył. Ten głupi, zarozumiały... zawodnik polo!

- Wcale nie! - obruszyłam się.

Nie byłam dzieckiem. Miałam szesnaście i pół roku. Dokładnie tyle samo co Charlotta. W moim wieku Maria Antonina już dawno była mężatką (wiedziałam to nie z lekcji historii, lecz z filmu z Kirsten Dunst, który oglądałyśmy z Leslie na DVD). A Joanna d'Arc miała zaledwie piętnaście lat, kiedy...

- Ach, nie? - Głos Gideona wprost ociekał drwiną. - A co ty na przykład wiesz z historii?

- Wystarczająco dużo - odpowiedziałam.

Czyż nie dostałam ostatnio piątki z klasówki z historii?

- Och, doprawdy? Kto rządził Anglią po Jerzym I? Nie miałam bladego pojęcia.

- Jerzy II? - rzuciłam na chybił trafił.

Ha! Wyglądał na rozczarowanego. Chyba się zgadzało.

- A jaka dynastia w 1702 roku zastąpiła na tronie Stuartów i dlaczego?

Cholera.

- Ehhh... tego jeszcze nie przerabialiśmy - powiedziałam.

- No jasne, że nie. - Gideon odwrócił się do pozostałych. - Nie wie z historii nic. Nawet nie umie się odpowiednio wysłowić. Nieważne, do jakich czasów się przeniesiemy, i tak wszyscy będą się na

nią gapić. A poza tym w ogóle nie ma pojęcia, o co chodzi. Byłaby nie tylko całkowicie bezużyteczna, ale wręcz niebezpieczna dla całej misji.

Co proszę? Ja nie umiem się odpowiednio wysłowić? Właśnie przyszło mi do głowy kilka bardzo odpowiednich przekleństw, którymi chętnie bym go teraz obrzuciła.

- Myślę, że wystarczająco dobitnie przedstawiłeś swoje zdanie, Gideonie - odezwał się pan de Villiers. - A teraz warto by się było dowiedzieć, co o tym wszystkim sądzi hrabia.

- Nie możecie tego zrobić. - Mama miała dziwnie zduszony głos.

- Hrabia na pewno niezwykle się ucieszy, mogąc cię poznać, Gwendolyn - rzeki do mnie pan George, nie zwracając uwagi na jej słowa. - Rubin, dwunasta z kolei, ostatnia w kręgu. Wasze spotkanie będzie uroczystą chwilą.

- Nie - zaprotestowała mama. Wszyscy spojrzeli na nią.

- Grace - zagrzmiała moja babka - nie zaczynaj znowu!

- Nie - powtórzyła mama. - Proszę! On nie musi jej poznawać, to nie jest konieczne. Niech mu wystarczy, że za sprawą jej krwi krąg zostanie zamknięty.

- Mógłby zostać zamknięty - sprostował doktor White - gdybyśmy po tej kradzieży nie musieli raz jeszcze zacząć wszystkiego od nowa.

- Tak czy owak, nie chcę, żeby Gwendolyn się z nim spotkała - powiedziała mama. - To mój warunek. Gideon może to załatwić sam.

- Decyzja nie należy do ciebie - zaznaczył pan de Villiers, a doktor White wykrzyknął:

- Warunki! Ona stawia warunki!

- Ale ona ma rację - wtrącił Gideon. - Nikomu nie pomoże, jeśli wciągniemy w to tę dziewczynę. Wytłumaczę hrabiemu, co się stało, i jestem pewien, że podzieli moją opinię.

- Na pewno będzie chciał ją zobaczyć, żeby móc wyrobić sobie o niej zdanie - powiedział Falk de Villiers. - To nie będzie dla niej niebezpieczne. Nawet nie musi opuszczać tego domu.

- Pani Shepherd, zapewniam panią, że Gwendolyn nic się nie stanie - oświadczył pan George. - Pani opinia na temat hrabiego opiera się, jak sądzę, na uprzedzeniach, których usunięcie sprawiłoby nam tu wszystkim ogromną radość.

- Obawiam się, że nie jest to możliwe.

- Droga Grace, z pewnością chciałabyś nas poinformować, na podstawie jakich informacji tak źle oceniasz hrabiego, człowieka, którego nigdy w życiu nie spotkałaś.

Mama zacisnęła usta.

- Słuchamy! - ponaglił ją pan de Villiers. Mama milczała.

- To tylko... takie przecucie - wyszeptła w końcu.

Na twarzy pana de Villiers pojawił się cyniczny uśmiezek.

- Nie wiem dlaczego, Grace, ale cały czas mam wrażenie, że coś przed nami ukrywasz. Powiedz, czego się boisz?

- Kim w ogóle jest ten hrabia i dlaczego nie powinnam się z nim spotkać? - zapytałam.

- Ponieważ twoja matka ma przecucie! - powiedział doktor White i poprawił marynarkę. - Nawiasem mówiąc, pani Shepherd, ten człowiek nie żyje już od ponad dwustu lat.

- I niechże tak zostanie - mruknęła mama.

- Hrabia de Saint Germain jest piątym spośród dwanaścior-ga podróżników w czasie, Gwendolyn - zaczął mi wyjaśniać pan George. - Widziałaś wcześniej jego portret w archiwum. Był pierwszym, który w ogóle pojął zasadę działania chronografu i rozszyfrował Dawne Akta. Nie tylko zorientował się, w jaki sposób za pomocą chronografu przenieść się w dowolny dzień według własnego uznania, lecz także odkrył tajemnicę kryjącą się za tajemnicą. Tajemnicą Dwanaścior-ga. Korzystając z chronografu, zdołał odszukać cztery osoby, które podróżowały w czasie przed nim, i wprowadzić je w całą tę historię. Hrabia uzyskał pomoc najświatlejszych umysłów swoich czasów: matematyków, alchemików, magów, filozofów. Wszystkich zafascynowała jego opowieść. Wspólnie rozszyfrowali Dawne Akta i obliczyli daty narodzin pozostałych siedmiu podróżników w czasie, którzy musieli się jeszcze narodzić, aby krąg mógł się zamknąć. W 1745 roku tu, w Londynie, hrabia założył Stowarzyszenie Strażników, tajną lożę hrabiego de Saint Germain. Rozszyfrowanie Dawnych Akt zawdzięcza tak znanym osobistościom jak Rajmundus Lullus, Agryppa z Nettesheim, John Colet, Henry Draper, Simon Forman, Samuel Hartlib, Kenelm Digby i John Wallis.

Żadne z tych nazwisk kompletnie nic mi nie mówiło.

- Żadne z tych nazwisk kompletnie nic ci nie mówi - wtrącił drwiąco Gideon.

O rany! Czyżby umiał czytać w myślach? Na wypadek gdyby tak właśnie było, rzuciłam mu złe spojrzenie i pomyślałam z całych sił: „Ty idioto! Bufonie!”.

Odwrócił wzrok.

- Ale Isaac Newton zmarł już w 1727 roku. Jakim cudem mógł należeć do Strażników? - Sama się zdziwiłam, że przyszło mi to teraz do głowy.

Leslie powiedziała mi to wczoraj przez telefon i z niewyjaśnionych powodów utkwilo mi to w głowie. Wcale nie byłam taka głupia, jak sądził ten cały Gideon.

- To prawda - pan George się uśmiechnął. - To jedna z korzyści, jaką ma się jako podróżnik w czasie. Można sobie poszukać przyjaciół w przeszłości.

- A cóż to za tajemnica kryjąca się za tajemnicą? - spytałam.

-Tajemnica Dwanaściorga objawi się, gdy krew wszystkich dwanaściorga podróżników w czasie zostanie wczytana do chronografu - oznajmił uroczyście pan George. - Dlatego krąg musi zostać zamknięty. To jest właśnie owo wielkie zadanie, które należy wykonać.

-Ale przecież ja jestem ostatnią z dwunastki! Ze mną krąg powinien być kompletny!

- Tak, i byłby kompletny - powiedział doktor White - gdyby twoja kuzynka Lucy siedemnaście lat temu nie wpadła na pomysł, by ukraść chronograf.

- Paul ukradł chronograf - sprostowała lady Arista. - Lucy tylko...

Pan de Villiers uniósł dłonie.

- Już dobrze, dobrze, powiedzmy po prostu, że ukradli go wspólnie. Dwoje dzieci, które zbłądziły... niweczając w ten sposób wysiłek pięciuset lat. Misja omal nie zakończyła się fiaskiem, a dziedzictwo hrabiego de Saint Germain byłoby stracone na wieki.

- To dziedzictwo jest tajemnicą?

- Na szczęście w tych murach znajdował się jeszcze jeden chronograf - powiedział pan George. - Nie przewidywano, że kiedykolwiek zostanie użyty. Trafił w posiadanie Strażników w 1757 roku. Był zepsuty, przez wieki zaniedbywany i pozbawiony cennych kamieni szlachetnych. W trakcie żmudnych, trwające dwieście lat prac rekonstrukcyjnych Strażnikom udało się...

- Skracając nieco tę historię - niecierpliwie wpadł mu w słowo doktor White - został naprawiony i rzeczywiście działał, co jednak mogliśmy sprawdzić dopiero wtedy, gdy jedenasty podróżnik w czasie, to znaczy Gideon, osiągnął wiek inicjacji.

Straciliśmy jeden z chronografów oraz próbki krwi dziesięciu podróżników w czasie. Teraz to drugie zadanie musimy wykonać jeszcze raz od samego początku.

- Aby... hm... rozszyfrować Tajemnicę Dwanaściorga - podsumowałam.

O mały włos, a użyłabym słowa „objawić”. Powoli zaczynałam się czuć tak, jakby ktoś mi wyprał mózg.

W odpowiedzi doktor White i pan George uroczyście skinęli głowami.

- No tak, a cóż to za tajemnica?

Mama zaczęła się śmiać. Kompletnie nie pasowało to do sytuacji, ale mama zanosila się śmiechem tak jak Caroline, kiedy oglądała w telewizji Jasia Fasolę.

- Grace! - syknęła lady Arista. - Weź się w garść!

- Mówiłem przecież, że to wszystko historyczki - burknął doktor White.

- Dobrze, że potrafisz wszędzie znaleźć jakiś zabawny aspekt - powiedział pan de Villiers.

Mama otarła sobie łzy z kącików oczu.

- Przepraszam. Po prostu nie mogłam się opanować. Tak naprawdę i szczerze to miałabym ochotę się rozplakać.

Pojełam, że nikt mi tu nie wyjaśni, co to za tajemnica.

- A cóż tak groźnego ma w sobie ten hrabia, że nie powinnam się z nim spotkać? - zwróciłam się do mamy.

Mama, nagle znowu śmiertelnie poważna, potrząsnęła głową. Zaczynałam się o nią martwić. Te wahania nastrojów były do niej zupełnie niepodobne.

- Zupełnie nic - odpowiedział zamiast niej doktor White.

- Twoja matka obawia się jedynie, że mogłabyś się zetknąć z intelektualną spuścizną, która stoi w sprzeczności z jej poglądami. Tak czy owak, w tych murach to nie ona podejmuje decyzje.

- Intelktualna spuścizna - powtórzyła mama i tym razem to jej głos aż ociekał drwiną. - Czy ty aby trochę nie przeginasz?

- Mówcie, co chcecie, ale po prostu pozostawmy Gwendolyn decyzję, czy chce się spotkać z hrabią, czy nie.

- Tylko na rozmowę? W przeszłości? - Przeniosłam pytający wzrok z pana de Villiers na pana George'a i z powrotem. - Czy on będzie mi mógł wyjaśnić, o co chodzi z tą tajemnicą?

- Jeśli będzie chciał - powiedział pan George. - Spotkasz się z nim w 1782 roku. Wtedy hrabia był już starym człowiekiem. I praktycznie tylko jeszcze raz odwiedził Londyn. W trakcie ściśle tajnej misji, o której nic nie wiedzą ani historycy, ani jego biografowie. Nocował tu, w tym domu. Dzięki temu zaaranżowanie rozmowy między wami jest bardzo proste. Rzecz jasna, Gideon będzie ci towarzyszył.

Gideon wymamrotał coś pod nosem, usłyszałam słowa „idiota” i „niańka”. Niańka idioty? Ależ ja nienawidziłam tego typu.

- Mamo?

- Nie zgadzaj się na to, kochanie.

- Ale dlaczego?

- To dla ciebie jeszcze za wcześnie.

- Na co jest dla mnie za wcześnie? Dlaczego miałabym się nie spotkać z tym hrabią? W czym on jest taki niebezpieczny? No, powiedz mi, mamo.

- Właśnie, powiedz jej, Grace - odezwał się pan de Villiers. - Ona nienawidzi tych wszystkich sekretów. I tak sobie myślę, że ze strony własnej matki to musi szczególnie boleć.

Mama milczała.

- Widzisz, trudno z nas wydobyć naprawdę pożyteczne informacje. - Bursztynowe oczy pana de Villiers patrzyły na mnie poważnie.

Moja mama ciągle milczała.

Najchętniej bym nią potrząsnęła. Falk de Villiers miał rację: te kretyńskie aluzje w niczym mi nie pomagały.



- A więc sama się tego dowiem - oświadczyłam. - Chcę go poznać.

Nie wiem, co mnie napadło, ale naraz przestałam się czuć jak pięcioletnie dziecko, które najchętniej uciekłoby do domu, żeby się schować pod łóżkiem.

Gideon westchnął.

- Słyszałaś, Grace - powiedział pan de Villiers. - Proponowałbym, żebyś pojechała teraz do Mayfair i wzięła tabletkę na uspokojenie. Przywieziemy Gwendolyn do domu, kiedy... kiedy z nią skończymy.

- Nie zostawię jej samej - szepnęła mama.

- Caroline i Nick zaraz wrócą ze szkoły, mamó. Możesz spokojnie iść. Potrafię sama o siebie zadbać.

- Nie, nie potrafisz - szepnęła mama.

- Pojadę z tobą, Grace - powiedziała lady Arista zaskakująco miękkim tonem. - Spędziłam tu całe dwie doby i głowa mnie boli. Sprawy przybrały doprawdy nieoczekiwany obrót. Ale teraz. .. teraz to już nie zależy od nas.

- Bardzo mądrze - pochwalił babkę doktor White. Mama wyglądała tak, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

- A więc dobrze - westchnęła. - Pójdę. Ufam, że zostanie uczynione wszystko, by Gwendolyn nie przydarzyło się nic złego.

- I że jutro rano punktualnie pojawi się w szkole - dodała lady Arista. - Nie powinna zbyt wiele opuszczać. Nie jest taka jak Charlotta.

Spojrzałam na nią zaskoczona. O szkole w ogóle nie pomyślałam.

- Gdzie mój kapelusz i płaszcz? - spytała lady Arista. Zgromadzeni w pokoju mężczyźni odetchnęli. Nie było tego słychać, lecz widać.

- Pani Jenkins zadba o wszystko, lady Aristo - powiedział pan de Villiers.

- Chodź, moje dziecko - zwróciła się lady Arista do mamy. Mama zawahała się.

- Grace - Falk de Villiers ujął jej dłoń i podniósł ją do swoich ust - to była dla mnie wielka przyjemność zobaczyć cię znowu po tylu latach.

- Tych lat nie było znowu aż tak wiele - zauważyła mama.
- Siedemnaście.
- Sześć. - Mama wydawała się nieco urażona. - Widzieliśmy się na pogrzebie mojego ojca. Ale pewnie o tym zapomniałeś. - Rozejrzała się, szukając wzrokiem pana George'a. - Będzie pan na nią uważać?
- Pani Shepherd, przyrzekam pani, że Gwendolyn będzie u nas bezpieczna - oświadczył pan George. - Proszę mi zaufać.
- Nic innego mi nie pozostaje. - Mama zabrała rękę panu de Villiers i założyła torebkę na ramię. - Czy mogę jeszcze przez chwilę porozmawiać z moją córką w cztery oczy?
- Oczywiście - powiedział Falk de Villiers. - Tu obok nikt wam nie będzie przeszkadzał.
- Wolałabym wyjść na zewnątrz - odrzekła mama.
- Pan de Villiers uniósł brwi.
- Boisz się, że będziemy cię podsłuchiwać? Obserwować przez wizjery w portretach? - Zaśmiał się.
- Po prostu potrzebuję trochę świeżego powietrza - powiedziała mama.

O tej porze ogród był zamknięty dla zwiedzających. Kilkoro turystów - rozpoznawalnych po wypasionych aparatach fotograficznych na szyi - przyglądało się z zazdrością mamie, kiedy otwierała, a potem zamykała za nami jedną z furt, żelazną zdobioną bramę dwumetrowej wysokości.

Byłam oczarowana bogactwem klombów, soczystą zielenią i zapachem unoszącym się w powietrzu.

- Miałaś dobry pomysł - powiedziałam. - Zaczynałam się tam czuć jak odmieniec jaskiniowy. Z tęsknotą wystawiłam twarz do słońca. Grzało zaskakująco mocno jak na początek kwietnia. Mama usiadła na ławce z drewna tekowego i potarła ręką czoło, bardzo podobnym gestem jak wcześniej lady Arista, tylko mama nie wyglądała przy tym tak staro.
- To prawdziwy koszmar - westchnęła. Usiadłam obok niej na ławce.

- Tak. Tylko nie ma kiedy sobie tego przemyśleć. Wczoraj rano jeszcze wszystko było jak dawniej i nagle... Wydaje mi się, że zaraz pęknie mi głowa, tak wiele muszę przyjąć do wiadomości w tak krótkim czasie. Tysiące drobnych informacji, które jakoś nie bardzo chcą do siebie pasować.

- Strasznie mi przykro - powiedziała mama. - Tak bardzo chciałam ci tego wszystkiego zaoszczędzić.

- Co ty takiego wtedy zrobiłaś, że wszyscy są teraz na ciebie wściekli?

- Pomogłam uciec Lucy i Paulowi. - Rozejrzała się szybko, tak jakby chciała się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje. -Przez jakiś czas ukrywali się u nas w Durham. Ale oni się oczywiście dowiedzieli. Lucy i Paul musieli uciekać.

Myślałam o tym, co dziś usłyszałam. I nagle pojęłam, gdzie znajdowała się moja kuzynka.

Czarna owca w mojej rodzinie nie zamieszkała ani w dorzeczu Amazonki wśród tubylców, ani nie ukryła się w Irlandii w żeńskim klasztorze, jak to sobie wyobrażałyśmy z Leslie jako dzieci.

Nie, Lucy i Paul byli zupełnie gdzie indziej.

- Razem z chronografem znikli w przeszłości, prawda? Mama skinęła głową.

- W gruncie rzeczy nie mieli innego wyboru. Ale to nie była dla nich łatwa decyzja.

- Dlaczego?

- Nie wolno zabierać chronografu z jego epoki. Jeśli się to zrobi, samemu nie można już wrócić.

Ten, kto zabierze chronograf w przeszłość, musi w niej pozostać.

Przełknęłam ślinę.

- Co może skłonić człowieka do podjęcia takiej decyzji?

- Zrozumieli, że w teraźniejszości nie ma dla nich i dla chronografu bezpiecznej kryjówki.

Strażnicy prędzej czy później znaleźliby ich w każdym miejscu na świecie.

- A dlaczego go ukradli, mamó?

- Chcieli zapobiec... zamknięciu kręgu krwi.

- A co się stanie, kiedy krąg krwi zostanie zamknięty?

O rany, teraz gadałam już jak jedna z nich. „Krąg krwi”. Na kolejnym etapie zacznę mówić wierszem.

- Posłuchaj mnie uważnie, kochanie, mamy naprawdę bardzo mało czasu. I chociaż oni teraz twierdzą coś wręcz przeciwnego, będą próbowali włączyć cię do tej swojej tak zwanej misji. Potrzebują cię do tego, żeby zamknąć krąg i objawić tajemnicę.

- Co się kryje za tą tajemnicą, mamo?

Miałam wrażenie, że zadałam to pytanie już tysiąc razy. W głębi duszy nieomal je wykrzyczałam.

- Wiem tyle co pozostali. Mogę tylko snuć przypuszczenia na ten temat. Tajemnica ma wielką moc i daje wielką moc temu, kto potrafi ją wykorzystać. Ale moc w rękach niewłaściwego człowieka jest bardzo niebezpieczna. Lucy i Paul uważali, że dlatego lepiej pozostawić tajemnicę nieodkrytą. Ponieśli za to wielkie ofiary.

- To zrozumiałam. Nie rozumiem tylko dlaczego.

- Nawet jeśli niektórzy spośród tych tam, w środku, kierują się wyłącznie naukową ciekawością, to motywy wielu innych z pewnością nie są szlachetne. Wiem, że nie cofną się przed niczym, żeby osiągnąć swój cel. Nie możesz ufać nikomu z nich. Nikomu, Gwendolyn.

Westchnęłam. Nic z tego, co mi powiedziała, nie wydało mi się w żaden sposób przydatne.

Zza ogrodzenia dobiegł nas dźwięk silnika, a potem przed wejściem zatrzymał się samochód. Mimo że samochody w ogóle nie mogły tutaj wjeżdżać.

- Już pora, Grace! - zawołała lady Arista. Mama podniosła się.

- Och, dziś wieczorem będzie cudownie. Lodowate spojrzenia Glendy na pewno zmrożą całą kolację.

- Dlaczego ta położna wyjechała akurat dzisiaj? I dlaczego nie urodziłaś mnie w szpitalu?

- Niech zostawią tę biedną kobietę w spokoju - powiedziała mama.

- Grace! No chodźże już wreszcie! - Lady Arista postukała końcem parasola w żelazną kratę.

- Chyba zaraz dostaniesz lanie - zażartowałam.

- Serce mi pęka, że muszę cię tu zostawić.

- Mogłabym po prostu wrócić z tobą do domu - powiedziałam, ale w tej samej chwili poczułam, że właściwie wcale tego nie chcę.

Falk de Villiers miał rację: byłam teraz częścią tej historii i co dziwne, zaczynało mi się to podobać.

- To niemożliwe - odparła mama. - W trakcie niekontrolowanych przeskoków w czasie mogłabyś zostać ranna albo nawet zginąć. Tutaj, przynajmniej pod tym względem, jesteś bezpieczna. - Objęła mnie. - Nie zapomnij, co ci powiedziałam. Nie ufaj nikomu. Nawet swoim przeczuciom. I strzeż się hrabiego de Saint Germain. Wiem, że on potrafi przenikać do duszy swojego rozmówcy. Potrafi czytać w twoich myślach, a nawet gorzej: zapanuje nad twoją wolą, o ile na to pozwolisz.

Przytuliłam się do niej bardzo mocno.

- Kocham cię, mamo.

Za jej plecami dostrzegłam, że przed bramą pojawił się jeszcze pan de Villiers.

Obróciwszy się, mama także go spostrzegła.

- A przed tym tam powinnaś szczególnie mieć się na baczności - szepnęła. - Stał się bardzo niebezpiecznym człowiekiem. - W jej głosie wyraźnie pobrzmiwało coś w rodzaju podziwu.

Wiedziona nagłym impulsem zapytałam:

- Czy coś cię kiedyś z nim łączyło, mamo?

Nie musiała mi wcale odpowiadać, po jej minie widziałam, że trafiłam w dziesiątkę.

- Miałam siedemnaście lat i łatwo było zrobić na mnie wrażenie.

- Rozumiem. - Uśmiechnęłam się. - Ma dość fajowe oczy, moim zdaniem.

Mama też się uśmiechnęła. Szłyśmy bardzo powoli w stronę bramy.

- Och, tak. Paul miał dokładnie takie same oczy. Ale w przeciwieństwie do swojego starszego brata nie był ani trochę zarozumiały. Nie ma się co dziwić, że Lucy się w nim zakochała.

- Bardzo chciałabym wiedzieć, co się z nimi stało.

- Obawiam się, że prędzej czy później się tego dowiesz.

- Daj mi klucz - rzucił niecierpliwie Falk de Villiers. Mama podała mu przez żelazną kratę bramy pęk kluczy, a on ją otworzył. - Zamówiłem dla was samochód.

- Zobaczymy się jutro rano przy śniadaniu, Gwendolyn -powiedziała lady Arista i ujęła mnie dłonią pod brodę. - Głowa do góry! Należysz do rodziny Montrose, a my zawsze i wszędzie trzymamy fason.

- Będę się starać, babciu.

- I tak trzymać. Ach! - Zamachała rękami, jakby chciała odpędzić natrętne muchy. - Co ci ludzie sobie myślą? Przecież nie jestem królową!

Jednak w tym eleganckim kapeluszu, z parasolem i w dopasowanym kolorystycznie płaszczu wyglądała w oczach turystów tak brytyjsko, że fotografowali ją ze wszystkich stron.

Mama jeszcze raz mnie przytuliła.

- Ta tajemnica pochłoneła już ludzkie istnienia - szepnęła mi do ucha. - Nie zapominaj o tym. Z mieszanymi uczuciami patrzyłam za nią i za babką, kiedy skręcały za róg i znikaly mi z pola widzenia. Pan George złapał moją dłoń i ścisnął ją.

- Nie bój się, Gwendolyn. Nie jesteś sama.

Faktycznie, nie byłam sama. Byłam z ludźmi, którym nie mogłam ufać. „Nikommu z nich”, powiedziała mama. Spojrzałam w przyjazne błękitne oczy pana George'a, poszukując w nich czegoś niebezpiecznego albo nieszczerzego. Niczego takiego nie udało mi się znaleźć.

„Nie ufaj nikomu”.

„Nawet własnym przeczuciom”.

- Chodź, wracamy do środka. Musisz coś zjeść.

- Mam nadzieję, że ta krótka rozmowa z mamą wyjaśniła ci co nieco - powiedział pan de Villiers, gdy szliśmy na górę. -Niech zgodnę: ostrzegła cię przed nami. Wszyscy jesteście pozbawieni skrupułów i zakłamani, nieprawdaż?

- Pan wie to lepiej ode mnie - odrzekłam. - Ale właściwie rozmawialiśmy o tym, że między panem a moją mamą coś kiedyś było.

Pan de Villiers podniósł brwi zaskoczony.

- Tak powiedziała? - Na jego twarzy odmalowało się coś w rodzaju zakłopotania. - No cóż, to było dawno temu. Byłam młody...

- I łatwo było na panu zrobić wrażenie - uzupełniłam. - Mama tłumaczyła to tak samo.

Pan George wybuchnął głośnym śmiechem.

- Och, tak, faktycznie! Zupełnie o tym zapomniałem. Ty i Grace Montrose byliście ładną parą, Falk. Nawet jeśli to trwało zaledwie trzy tygodnie. A potem, na tamtym balu dobroczynnym w Holland House, rzuciła w ciebie kawałkiem sernika i powiedziała, że nie chce rozmawiać z tobą już nigdy więcej.

- To był tort śmietankowy z malinami - sprostował pan de Villiers i mrugnął do mnie. - Właściwie chciała mi go rzucić w twarz. Ale na szczęście trafiła tylko w koszulę. Plama nigdy się nie sprąła. I to wszystko dlatego, że była zazdrosna o dziewczynę, której imienia nawet nie pamiętam.

- Larissa Crofts, córka ministra finansów - wtrącił pan George.

- Naprawdę? - pan de Villiers wydawał się szczerze zaskoczony. - Obecnego czy ówczesnego?

- Ówczesnego.

- Ładna była?

- Dość nawet.

- Tak czy owak, Grace złamała mi serce, ponieważ zaczęła się zadawać z pewnym chłopakiem ze szkoły. Jego nazwisko akurat bardzo dobrze pamiętam.

- Jasne. Bo złamałeś mu nos i z tego powodu jego rodzice nieomal podali cię do sądu - powiedział pan George.

- Czy to prawda? - Byłam niezwykle zafascynowana.

- To był wypadek - rzekł pan de Villiers. - Graliśmy w jednej drużynie rugby.

- Niezłe rzeczy tu wychodzą na jaw, nieprawdaż, Gwendolyn? - Pan George śmiał się, wciąż jeszcze rozbawiony, otwierając drzwi do Smoczej Sali.

- Można tak powiedzieć.

Zatrzymałam się, ujrawszy Gideona siedzącego przy stole pośrodku pokoju. Spoglądał na nas ze zmarszczonym czołem. Pan de Villiers popchnął mnie do przodu.

- To nie było nic poważnego - rzucił. - Miłosnym związkom między członkami rodzin de Villiers i Montrose nigdy nie przyświecała dobra gwiazda. Można by powiedzieć, że z góry były skazane na klęskę.

- Myślę, że to ostrzeżenie jest całkowicie zbędne, wuju -mruknął Gideon, krzyżując ręce na piersi.  
- Ona kompletnie nie jest w moim typie.

Ta „ona” to byłam ja. Nim ta obelga do mnie dotarła, minęła jedna, może dwie sekundy. Pierwszym odruchem było zrewanżować mu się tekstem w rodzaju: „Ja też nie przepadam za aroganckimi zarozumialcami” albo: „Co za ulga! Bo ja już mam chłopaka. I jest dobrze wychowany”. Ale w końcu nie powiedziałam nic.

Okej. Nie byłam w jego typie. No i co z tego? Nie to nie. Zwisало mi to nacią od pietruszki.



*Kroniki Strażników 4 sierpnia 1953 roku*

*Mieliśmy dziś fascynującego gościa z przyszłości. Jedenasty z Kręgu Dwanaściorga, Gideon de Villiers, w przyszłości będzie u nas każdej nocy przez trzy godziny poddawał się elapsji. Przygotowaliśmy mu posianie w biurze sir Waltera. Jest tam chłodno i cicho i chłopiec nie będzie tam narażony na ciekawskie spojrzenia i głupie pytania. W czasie jego dzisiejszej wizyty „całkiemprzypadkowo” przyszli do nas wszyscy oficerowie pełniący służbę. I całkiem przypadkowo wszyscy zadali po parę pytań dotyczących przyszłości. Chłopiec zarekomendował im zakup akcji Apple, cokolwiek to znaczy.*

Robert Peel, Krąg Wewnętrzny

## 10.

**Plaszcz:** wenecki aksamit, podbity jedwabną taftą. Suknia: niemiecki len z nadrukiem, przystrojony koronką z Devonshire, gorset z jedwabiu haftowanego brokatem. - Madame Rossini ostrożnie rozłożyła poszczególne części garderoby na stole.

Po posiłku pani Jenkins ponownie zaprowadziła mnie do niej do szwalni. Ten mały pokój bardziej mi się podobał niż sztywna jadalnia, wszędzie wokół leżały te prześliczne tkaniny, a madame Rossini ze swą żółwią szyją była bodaj jedyną osobą, której nawet moja mama nie okazała śladu nieufności.

- Wszystko w zgaszonym błękitcie z kremowymi zdobieniami, bardzo elegancki komplet na popołudnie - ciągnęła. - Do tego odpowiednie jedwabne buty z brokatem. Znacznie wygodniejsze, niż na to wyglądają. Szczęśliwym trafem i ty, i tamta chudzina nosicie ten sam rozmiar buta. - Chwyliła w czubki palców mój szkolny mundurek i odłożyła go na bok. - Fuj, fuj, nawet najpiękniejsza dziewczyna wyglądałaby w tym jak strach na wróble. Gdyby choć można było skrócić spódnicę do modnej długości. Och, i ta paskudna żółć moczu! Ten, kto wpadł na taki pomysł, musiał zaiste nienawidzić uczniów z całego serca.

- Mogę zostać w mojej bieliźnie?

- Tylko w majtkach - powiedziała madame Rossini (zabawnie to zabrzmiało, bez „ch” na końcu). - Nie są z epoki, ale

chyba nikt nie będzie ci zaglądał pod spódnicę. A jeśli tak, najlepiej kopnij go tak mocno, żeby mu się wszystkie gwiazdy na niebie pokazały. Te buty na to nie wyglądają, ale ich czubki mają metalowe wzmocnienia. Byłaś w toalecie? To ważne, bo jak już włożysz tę suknię, to będzie trudno...

- Tak, już trzy razy pani o to pytała, madame Rossini.

- Wolę się upewnić.

Wciąż na nowo zdumiewało mnie to, jak się tu o mnie troszczą i jakie drobiazgi biorą pod uwagę. Po jedzeniu pani Jenkins dała mi nawet całkiem nowusieńką kosmetyczkę z przyborami toaletowymi, żebym mogła sobie wyszorować zęby i umyć twarz.

Spodziewałam się, że gorset po zasznurowaniu odetnie mi dopływ powietrza i wydusi mi z żołądka pieczeń cielecą, ale w rzeczywistości nosiło się go całkiem przyjemnie.

- A ja myślałam, że kobiety masowo mdlały w tych ustrojstwach.

- Bo tak było. A to dlatego, że zbyt mocno je sznurowały. Poza tym w tamtych czasach powietrze było diabelnie ciężkie, bo nikt się nie mył, tylko wszyscy się perfumowali. - Madame Rossini zachichotała. - W perukach mieszkaly wszy i pchły, a gdzieś przeczytałam, że czasami nawet myszy budowały sobie tam gniazda. Tak, moda była wtedy przecudna, ale dla higieny to nie były dobre czasy. Ty nie nosisz gorsetu jak tamte biedne stworzenia, ty masz specjalną konstrukcję a la madame Rossini, wygodną, jakby to była druga skóra.

- Ach, tak. - Byłam niesłychanie podekscytowana, wkładając halkę z krynoliną. - Mam wrażenie, jakbym musiała targać ze sobą ogromną klatkę dla ptaków.

- To drobiazg - zapewniła mnie madame Rossini, ostrożnie wkładając mi suknię przez głowę. - Ta krynolina jest zupełnie malutka w porównaniu z tymi, które w tamtych czasach noszono w Wersalu. Cztery i pół metra w obwodzie, słowo honoru. I twoja nie jest z fiszbinów, tylko z leciutkich jak piórko nowoczesnych włókien węglowych. I tak tego nikt nie widzi.

Wokół mnie rozpościerał się bladoniebieski materiał z kremowymi pnączami kwiatów, który wyglądałby bardzo ładnie również jako obicie kanapy. Musiałam jednak przyznać, że suknia, mimo swej długości i monstualnego obwodu, była bardzo wygodna i naprawdę leżała jak ulał.

- Bajecznie - westchnęła z zachwytem madame Rossini i popchnęła mnie do lustra.

- Och - powiedziałam zaskoczona.

Któż by pomyślał, że obicie kanapy może tak przepięknie się prezentować? A ja razem z nim! Jaka smukła wydawała się moja talia, jaki błękit miały moje oczy! Och! Tylko mój dekolt wyglądał niczym dekolt śpiewaczki operowej tuż przed eksplozją.

- Tutaj dojdzie jeszcze trochę koronki - wyjaśniła madame Rossini, podążając za moim spojrzeniem. - Bądź co bądź to suknia koktajlowa. Ale wieczorem trzeba pokazać, co się ma. Mam nadzieję, że spotka nas jeszcze przyjemność szycia dla ciebie sukni balowej. A teraz weźmy się do twoich włosów.

- Dostanę perukę?

- Nie - odparła madame Rossini. - Jesteś młodą dziewczyną i jest wczesne popołudnie. Wystarczy ładna fryzura i stosowny kapelusz. - (Jak pięknie mówiła „r”!). - Z twoją skórą nie musimy nic robić.

To najczystszy alabaster. I ta piękna półksiężycowata plamka na twojej skroni może z powodzeniem grać rolę pieprzyka. *Tres chic*\*.

Madame Rossini zakręciła mi włosy na gorące wałki, następnie szpilkami zręcznie upięła przednią partię włosów na czubku, pozwalając reszcie opaść miękkimi lokami na ramiona. Przejrzałam się w lustrze i sama się sobą zachwycałam.

Przypomniała mi się przebierana impreza w zeszłym roku u Cynthii. Z braku lepszego pomysłu poszłam na nią przebrana za przystanek autobusowy i pod koniec wieczoru najchętniej tłukłabym wszystkich naokoło moją tablicą, bo każdy pytał mnie o rozkład jazdy.

Ha! Gdybym wtedy знаła madame Rossini! Byłabym gwiazdą wieczoru.

Cała w zachwytach obróciłam się jeszcze raz przed lustrem, ale na tym się skończyło, bo madame Rossini znowu stanęła za mną i nałożyła mi na głowę kapelusz - prawdziwe monstrum ze słomy, z piórami i niebieskimi wstążkami. Moim zdaniem kompletnie popsuł całość. Próbowałam namówić madame Rossini, żeby z niego zrezygnowała, ale była nieprzejednana.

- Bez kapelusza... nie, to byłoby niestosowne. To nie jest konkurs piękności, *ma cherie*\*\* . Tu idzie o autentyzm.

Wygrzebałam komórkę z kieszeni mundurka.

- Czy mogłaby pani przynajmniej zrobić mi zdjęcie, bez kapelusza?

Madame Rossini roześmiała się.

- *Bien sur*\*\*\*, moja słodka.

Przybrałam odpowiednią pozę, a madame Rossini pstryknęła mi co najmniej ze trzydzieści zdjęć, ze wszystkich stron, kilka także w kapeluszu. A co tam, niech Leslie też się pośmieje.

- No, a teraz powiem tam na górze, że jesteś gotowa do drogi. Poczekaj tu i już nie ściągaj kapelusza! Jest założony idealnie.

- Dobrze, madame Rossini - powiedziałam grzecznie.

---

\* *Tres chic*(franc.) – bardzo szykownie

\*\* *Ma cherie* (franc.) - kochanie

\*\*\* *Bien sur* (franc.) - naturalnie

Kiedy tylko opuściła pokój, błyskawicznie wystukałam numer Leslie i wysłałam jej SMS-em jedno ze zdjęć w kapeluszu. Zadzwoiła do mnie czternaście sekund później. Na szczęście tutaj, w szwalni madame Rossini, zasięg był doskonały.

- Siedzę w autobusie - wykrzyczała mi Leslie do ucha. - Ale już wyciągnęłam notatnik i długopis. Musisz tylko mówić głośniej, obok mnie gada dwóch niedosłyszących Hindusów, niestety nie w języku migowym!

Wyterkotałam jej o wszystkim, co się wydarzyło, i spróbowałam jej szybko wytłumaczyć, gdzie jestem i co powiedziała mama. Choć mówiłam dość chaotycznie, Leslie zdawała się za mną nadażać. Powtarzała tylko na przemian „ale odjazd” i „tylko uważaj!”. Opisałam jej Gideona (chciała znać każdy szczegół).

- Moim zdaniem długie włosy nie są aż takie złe. Mogą wyglądać całkiem sexy. Przypomnij sobie choćby *Oblędnego rycerza*. Ale zwróć uwagę na jego uszy.

- To i tak bez znaczenia. Jest zarozumiały i pyszałkowaty. Poza tym kocha się w Charlotte. Zapisałaś „kamień filozoficzny”?

- Tak, wszystko zapisałam. Jak tylko dotrę do domu, zaraz wejdę do Internetu. Hrabia de Saint Germain... skąd ja znam to nazwisko? Czy to możliwe, że spotkałam je w jakimś filmie? Nie, to był hrabia Monte Christo.

- A co, jeśli on naprawdę umie czytać w myślach?

- To myśl po prostu o czymś niegroźnym. Albo licz do tyłu, od tysiąca do jednego. Najlepiej co osiem. Nie da się przy tym myśleć o niczym innym.

- Mogą tu przyjść w każdej chwili. Wtedy po prostu się rozłączę. Aha, i sprawdź, czy znajdziesz coś na temat małego chłopca, Roberta White'a, który osiemnaście lat temu utopił się w basenie.

- Zapisałam wszystko - powiedziała Leslie. - O rany, ale odjazd. Powinnyśmy były pomyśleć o nożu sprężynowym albo o sprayu z pieprzem... Wiesz co? Zabierz ze sobą przynajmniej komórkę.

Podreptałam w mojej sukni do drzwi i ostrożnie wyjrzałam na zewnątrz.

- Do przeszłości? Myślisz, że mogłabym stamtąd do ciebie zadzwonić?

- Bzdura! Ale możesz zrobić zdjęcia, które będą dla nas wskazówką. Aha, i strasznie chciałabym zobaczyć zdjęcie Gideona. Jak się da, z uszami. Uszy bardzo dużo mówią o człowieku. Przede wszystkim płatki uszu.

Teraz rozległy się odgłosy kroków. Cicho zamknęłam drzwi.

- To chyba już. Na razie, Leslie.

- Tylko bądź ostrożna - rzuciła jeszcze.

Złożyłam komórkę i wsunęłam ją za dekolt. Doskonale zmieściła się w niewielkiej pustej przestrzeni pod biustem. Ciekawe, co kiedyś chowały tam damy. Butelecзки z trucizną, rewolwery (bardzo małe), listy miłosne? Kiedy Gideon wszedł do pokoju, najpierw uderzyła mnie myśl: a dlaczego on nie musi nosić kapelusza? A potem: jak można dobrze wyglądać w czerwonej kamizelce z mory, ciemnozielonych spodniach do kolan i jedwabnych pończochach w paski? I jeśli w ogóle cokolwiek jeszcze pomyślałam, to najwyżej coś w stylu: mam nadzieję, że nie widać po mnie, co myślę.

Zielone oczy omiotły mnie przelotnie.

- Ładny kapelusz. Gnojek.

- Cudownie - zachwycił się pan George, który wszedł za nim do szwalni. - Madame Rossini, wykonała pani fantastyczną robotę.

- Tak, wiem - powiedziała madame Rossini. Znieruchomiała w pół kroku. Szwalnia była zbyt mała, by pomieścić wszystkich, sama moja spódnica zajmowała pół przestrzeni.

Gideon związał swoje loki na karku i w tym właśnie dostrzegłam szansę na ciętą ripostę.

- Jaka piękna aksamitna kokarda - wycedziłam z całą ironią, na jaką mnie było stać. - Nasza pani od geografii nosi dokładnie taką samą.

Gideon, zamiast posłać mi złe spojrzenie, uśmiechnął się.

- Ech, ta kokardka to naprawdę jeszcze nic. Powinnaś mnie zobaczyć w peruce.

Ściśle biorąc, już go w niej widziałam.

- Monsieur Gideon, wyciągnęłam panu spodnie w kolorze cytryny, a nie te ciemne. - Akcent madame Rossini przybierał na sile, kiedy była oburzona, i teraz powiedziała „sitriny” i „siemne”.

Gideon obrócił się w stronę madame Rossini.

- Żółte spodnie do czerwonej kamizelki, pończoch w stylu Pippi Langstrumpf i brązowego płaszcza ze złotymi guzikami? To było dla mnie po prostu zbyt kolorowe.

- Mężczyzna w stylu rokoko nosi się kolorowo! - Madame Rossini rzuciła mu surowe spojrzenie. - I to ja jestem tu fachowcem, a nie pan.

- Tak, madame Rossini - zgodził się uprzejmie Gideon. - Następnym razem pani posłucham.

Spojrzałam na jego uszy. Nie były ani trochę odstające, a poza tym właściwie pod żadnym względem nie rzucały się w oczy, co w zasadzie sprawiło mi ulgę. Choć oczywiście było mi to całkowicie obojętne.

- A gdzie są żółte zamszowe rękawiczki?

- Och, pomyślałem sobie, że skoro już nie wkładam tych spodni, to lepiej dam też sobie spokój z rękawiczkami.

- Ależ naturalnie! - mlasnęła Madame Rossini. - Szacunek dla pana smaku, młody człowieku. Ale tu nie chodzi o gust, lecz o autentyczność. Poza tym zawsze bardzo starałam się wybierać tylko te kolory, w których jest panu do twarzy, niewdzięczny młodzieńcze.

Przepuściła nas, mamrocząc coś pod nosem.

- Bardzo, bardzo dziękuję, madame Rossini - powiedziałam.

- Ach, ty moja łabędzia szyjko. Cała przyjemność po mojej stronie. Ty przynajmniej potrafisz docenić moją pracę.

Uśmiechnęłam się mimo woli. Podobało mi się bycie łabędzią szyjką.

Pan George skinął na mnie.

- A teraz pozwól za mną, Gwendolyn.

- Najpierw zasłonimy jej oczy - powiedział Gideon i zrobił tak gest, jakby chciał zerwać mi kapelusz z głowy.

- Doktor White się przy tym upiera - wyjaśnił pan George z przeproszającym uśmiechem.

- Ale to zrujnuje jej fryzurę! - Madame Rossini odepchnęła dłoń Gideona. - Chce jej pan powyrywać włosy z głowy? Nigdy pan nie słyszał o szpilkach do kapeluszy? - Podała kapelusz i szpilkę panu George'owi. - Proszę nieść go ostrożnie.

Gideon zawiązał mi oczy czarną chustką. Mimo woli wstrzymałam oddech, kiedy jego ręka musnęła mój policzek, i niestety nie udało mi się powstrzymać wypływającego na twarz rumieńca. Na szczęście stał za mną i nie mógł tego widzieć.

- Auu! - zawołałam, kiedy kilka włosów wplątało się w wiązany przez niego supeł.

- Przepraszam. Widzisz coś?

- Nie.

Przed oczami miałam wyłącznie ciemność.

- Dlaczego nie mogę zobaczyć, dokąd idziemy?

- Nie możesz poznać dokładnego miejsca przechowywania chronografu - odrzekł Gideon.

Położył mi rękę na plecach i popchnął mnie do przodu. To było dziwne uczucie, tak po prostu iść na ślepo w pustkę, a ręka Gideona na moich plecach jeszcze mnie dodatkowo denerwowała.

- Moim zdaniem to zbytuczne środki ostrożności - dodał. - Ten dom to jeden wielki labirynt. Nigdy w życiu nie odnalazłabyś potem tego pokoju. A pan George tak czy owak uważa, że ponad wszelką wątpliwość jesteś poza podejrzeniem, jeśli chodzi o ewentualną zdradę.

Ib było miłe ze strony pana George'a, choć nie bardzo wiedziałam, co to wszystko znaczy. Kto mógłby być zainteresowany miejscem przechowywania chronografu i dlaczego?

Uderzyłam ramieniem w coś twardego.

- Auu!

- Zabierz tę rękę, Gideonie, zachowujesz się jak grubianin - zwrócił mu dość ostro uwagę pan George. - Ona nie jest wózkiem na zakupy!

Poczułam, jak ciepła, sucha dłoń obejmuje moją dłoń, i wzdrygnęłam się.

- Już dobrze - powiedział Gideon. - To tylko ja. Teraz będzie parę schodków w dół. Ostrożnie.

Przez chwilę szliśmy obok siebie w milczeniu, raz prosto, potem znów schodami w dół albo skręcaliśmy w bok, a ja w gruncie rzeczy skupiałam się na tym, by zapobiec drzeniu mojej dłoni w



dłoni Gideona. Albo poceniu się. Gideon nie powinien myśleć, że jego bliskość wprawia mnie w zakłopotanie. Ciekawe, czy zwrócił uwagę, jak mi przyspieszył puls.

Wtedy nagle trafiłam prawą nogę w pustkę, potknęłam się i na pewno bym się przewróciła, gdyby Gideon nie chwycił mnie mocno i nie przeciągnął na równy grunt. Obiema rękami obejmował mnie w talii.

- Uwaga, stopień - powiedział.

- Och, dziękuję, też go zauważyłam - warknęłam. - Kiedy już sobie skreśliłam nogę.

- Na miłość boską, Gideonie! Uważaj! - zezłościł się pan George. - Proszę, weź ten kapelusz. Ja pomogę Gwendolyn.

Za rękę z panem George'em szło mi się znacznie łatwiej. Może dlatego, że mogłam się skoncentrować na swoich krokach, a nie na tym, żeby mi się nie trzęsła ręka. Ten nasz spacer trwał połowę wieczności. Znowu miałam wrażenie, że wędrujemy głęboko do środka Ziemi. Wreszcie się zatrzymaliśmy, a ja niejasno podejrzewałam, że specjalnie poprowadzono mnie kilka razy okrężną drogą, żeby mnie zmylić.

Jakieś drzwi otworzyły się i na powrót zamknęły. Pan George zdjął mi wreszcie opaskę z oczu.

- No to jesteśmy.

- Piękny jak wczesny majowy poranek - powiedział doktor White, a było to skierowane do Gideona.

- Wielkie dzięki - Gideon skłonił się lekko. - Ostatni krzyk mody z Paryża. Właściwie powinienem był włożyć do tego jeszcze żółte spodnie i rękawiczki, ale po prostu nie mogłem się na to zdobyć.

- Madame Rossini jest zła jak diabli - wtrąci! pan George.

- Gideonie! - rzek! z wyrzutem pan de Villiers, który wynurzy! się zza pleców doktora White'a.

- Żółte spodnie, wuju!

- Przecież nie spotkasz tam starych kolegów ze szkoły, którzy mogliby cię wyśmiać - powiedział pan de Villiers.

- Nie. - Gideon rzucił na stół mój kapelusz. - Raczej typów, którzy chodzą w haftowanych różowych frakach i uważają, że są super. - Wzdrygnął się.

Kiedy już przywykłam do jasnego światła, z zaciekawieniem rozejrzałam się wokół. W pomieszczeniu nie było okien, jak należało się tego spodziewać, nie było też kominka. Na próżno szukałam wzrokiem wehikułu czasu. Spostrzegłam tylko stół i kilka krzeseł, skrzynię, szafę, a na ścianie łacińską sentencję wyrytą w kamieniu.

Pan de Villiers uśmiechnął się do mnie przyjaźnie.

- Bardzo ci do twarzy w błękitach, Gwendolyn. Madame Rossini niezwykle elegancko ułożyła ci włosy.

- Ehm... dziękuję.

- Powinniśmy się pospieszyć, umieram z gorąca w tych ciuchach. - Gideon odchylił połę płaszcza, odsłaniając przypasaną do boku szpadę.

- Stań tutaj. - Doktor White podszedł do stołu i rozwinął czerwony aksamit, odsłaniając przedmiot, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak nieduży stojący zegar. - Wszystko ustawiłem. Macie do dyspozycji trzy godziny.

Teraz przyjrzałam się dokładniej i zorientowałam się, że to nie jest zegar, lecz dziwaczne urządzenie z wypolerowanego drewna i metalu, z niezliczonymi przyciskami, klapkami i pokrętłami. Ze wszystkich stron było wymalowane w miniaturowe słońca, księżyce i gwiazdy. Było wygięte jak pudło rezonansowe skrzypiec i wysadzane lśniącymi kamieniami szlachetnymi, tak wielkimi, że absolutnie nie mogły być prawdziwe.

- To jest chronograf? Taki mały?

- Waży cztery i pół kilograma - oznajmił doktor White i zabrzmiało to tak, jakby był dumnym ojcem informującym, ile waży jego nowo narodzone dziecko. - I uprzedzając twoje pytanie, tak, wszystkie kamienie są prawdziwe. Sam tylko ten rubin ma sześć karatów.

- Najpierw pójdzie Gideon - powiedział pan de Villiers. - Hasło?

- *Qua redit nescitis* - powiedział Gideon.

- Gwendolyn?

- Tak?

- Hasło!

- Jakie znowu hasło?

- *Qua redit nescitis* - powiedział pan de Villiers. - Hasło Strażników w owym dniu dwudziestego czwartego września.

- Mamy szósty kwietnia. Gideon przewróci! oczami.

- Wylądujemy dwudziestego czwartego września, i to w samym środku tych murów. Jeśli nie chcemy, żeby Strażnicy skrócili nas o głowę, musimy znać hasło. *Qua redit nescitis*. Powtórz!

- *Qua redit nescitis* - powtórzyłam. W życiu nie zapamiętałabym tego dłużej niż przez sekundę. No właśnie, już zapomniałam. Może mogłabym to sobie zapisać na kartce? - Co to znaczy?

- Tylko mi nie mów, że nie masz w szkole łaciny!

- Nie mam.

Uczyłam się francuskiego i niemieckiego, to i tak było wystarczająco przechłapane.

- „Nie znacie godziny jego powrotu” - przetłumaczył doktor White.

- Kwiecisty przekład - wtrącił pan George. - Można by też powiedzieć: „Nie wiecie, kiedy...”.

- Moi panowie! - Pan de Villiers postukał znacząco w swój zegarek na przegubie ręki. - Nie mamy zbyt dużo czasu. Jesteś gotów, Gideonie?

Gideon wyciągnął dłoń do doktora White'a. Ten odchylił klapkę w chronografie i włożył do otworu wskazujący palec Gideona. Rozległ się cichy terkot, gdy kółka w środku aparatu ruszyły; to brzmiało prawie jak melodia. Jak w zegarze z kurantem. Jeden z kamieni szlachetnych, ogromny diament, rozjarzył się nagle od środka, oblewając twarz Gideona jasnym, przejrzystym światłem. W tym samym momencie Gideon zniknął.

- Ale odjazd - wyszeptałam zafascynowana.

- I to w dosłownym znaczeniu - powiedział pan George. - Teraz twoja kolej. Stań dokładnie tutaj.

- I pamiętaj o tym, na co cię uczuliliśmy - podjął doktor White. - Masz słuchać Gideona. Zawsze trzymaj się blisko niego, niezależnie od tego, co się będzie działo.

Ujął moją rękę i wsunął mój palec wskazujący do otwartej przegródki. Coś spiczastego wwierciło mi się w opuszkę palca.

- Auu! - wrzasnęłam, cofając się.

Doktor White przytrzymał moją rękę przyciśniętą do klapki.

- Nie ruszaj się!

Tym razem na chronografie rozświetlił się duży szafirowy kamień. Niebieskie światło rozlało się wokół i oślepiło mnie. Ostatnią rzeczą, jaką widziałam, był mój wielki kapelusz, w zapomnieniu pozostawiony na stole. Potem zapadła ciemność.

Czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię.

Cholera, jak brzmiało to idiotyczne hasło? Kwak cośtam, cośtam.

- To ty, Gideonie? - wyszeptałam.

- A któż by inny - odszepnął i puścił moje ramię. - Brawo, nie wywróciłaś się.

Rozbłysnął płomień zapalki, a w następnej chwili pomieszczenie rozświetliła pochodnia.

- Super. Wzięłeś ją ze sobą?

- Nie, już tutaj była. Potrzyмай.

Chwyciłam pochodnię, ciesząc się, że nie mam na sobie tego durnowatego kapelusza. Te ogromne powiewające pióra zajęłyby się ogniem w ułamku sekundy i cała byłabym wtedy piękną płonąca pochodnią.

- Cicho - powiedział Gideon, chociaż nie wydałam z siebie ani jednego dźwięku.

Otworzył drzwi (ten klucz był w drzwiach czy przyniósł go ze sobą? nie zwróciłam na to uwagi) i ostrożnie wyjrzał na korytarz. Panowały tam egipskie ciemności.

- Czuć tu stęchlizną - zauważyłam.

- Bzdura. Chodź już!

Gideon zamknął za nami drzwi, wyjął mi pochodnię z ręki i wkroczył do ciemnego korytarza. Poszłam za nim.

- Będziesz mi znowu zawiązywał oczy? - zapytałam pół-żartem.

- Jest zupełnie ciemno, i tak nic tu nie zobaczysz - powiedział Gideon. - To jeszcze jeden powód, dla którego masz się mnie trzymać. Bo najpóźniej za trzy godziny musimy być z powrotem tu na dole.

Jeszcze jeden powód, dla którego powinnam znać drogę. Jak miałabym sobie poradzić, gdyby Gideonowi coś się stało albo gdybyśmy się rozdzielili? Uznałam, że to kiepski plan pozostawiać mnie w takiej nieświadomości. Ale ugryzłam się w język. Nie miałam ochoty wszczynać właśnie teraz dyskusji z panem Obrzydliwcem.

Czuć było stęchlizną znacznie bardziej niż w naszych czasach. Ciekawe, do którego roku przeskoczyliśmy.

Ta woń naprawdę wskazywała na to, że coś się tutaj psuje. Z jakiegoś powodu przyszły mi na myśl szczury. W filmach, gdzie były długie, ciemne korytarze i pochodnie, zawsze były też szczury. Wstrętne czarne szczury z oczami świecącymi w ciemnościach. Albo martwe szczury. Ach tak, i jeszcze pająki. Pająki właściwie też tam zawsze były. Staralam się nie dotykać ścian i nie wyobrażać sobie, jak tłuste pająki czepiają się rąbka mojej sukni i wolno się pod nią wślizgują, a potem suną w górę po moich gołych nogach...

Zamiast tego liczyłam kroki do każdego kolejnego zakrętu. Po czterdziestu czterech krokach skręciliśmy w prawo, po pięćdziesięciu pięciu w lewo, potem jeszcze raz w lewo i doszliśmy do kręconych schodów prowadzących w górę.

Zeby dotrzymać kroku Gideonowi, podniosłam suknię najwyżej, jak tylko mogłam. Gdzieś tam na górze paliło się światło i im wyżej wchodziliśmy, tym robiło się jaśniej, aż wreszcie znaleźliśmy się w obszernym korytarzu, który rozświetlały liczne pochodnie przymocowane do ścian. Na końcu tego korytarza znajdowały się szerokie drzwi, a po obu ich stronach stały dwie rycerskie zbroje, tak samo zardzewiałe jak w naszych czasach.

Szczurów na szczęście nigdzie nie zauważyłam, ale i tak zdawało mi się, że ktoś nas obserwuje, i to wrażenie stawało się tym silniejsze, im bardziej zbliżaliśmy się do drzwi. Rozejrzałam się dokoła, ale korytarz był pusty.

Kiedy niespodziewanie jedna ze zbroi poruszyła ręką, wyciągając w naszą stronę groźnie wyglądającą lancę (czy co to tam było), stanęłam jak wryta, usiłując złapać oddech. Teraz już wiedziałam, kto nas obserwował.

A potem zbroja zupełnie zbytecznie odezwała się blaszanym głosem „Stać!”.

Miałam ochotę wrzasnąć ze strachu, ale z moich ust znowu nie wydobył się ani jeden dźwięk. Tak czy owak, dość szybko do mnie dotarło, że to nie zbroja się porusza i że to nie zbroja przemówiła, lecz znajdujący się w niej człowiek. Także druga zbroja zdawała się kryć kogoś w środku.

- Musimy zobaczyć się z Mistrzem - oznajmił Gideon. - W pewnej pilnej sprawie.

- Hasło - zażądała druga zbroja.

- *Qua redit nescitis* - wyrecytował Gideon.

Ach tak, faktycznie. Przez chwilę byłam naprawdę pełna podziwu dla niego. On rzeczywiście to zapamiętał.

- Możecie przejść - powiedziała pierwsza zbroja i nawet przytrzymała nam drzwi.

Za nimi rozciągał się kolejny korytarz, który też oświetlały pochodnie. Gideon wetknął naszą pochodnię w uchwyt na ścianie i szybko ruszył przodem, ja za nim, tak prędko, jak tylko pozwalała mi na to suknia z krynoliną. Zdążyłam się już dość porządnie zadyszeć.

- Czuję się jak w jakimś horrorze. O mało nie dostałam zawału serca. Myślałam, że to tylko zardzewiała dekoracja. To znaczy, wydaje mi się, że zbroje rycerskie w osiemnastym wieku nie były specjalnie modne, prawda? I chyba niezbyt przydatne, tak myślę.

- Straże noszą je ze względu na tradycję - wyjaśnił Gideon. - Tak samo jest w naszych czasach. ^

- W naszych czasach nigdy nie widziałam rycerzy w zbrojach. Ale potem przyszło mi do głowy, że może jednak widziałam.

I tylko mi się zdawało, że to były zbroje bez rycerzy.

- Pospiesz się trochę - powiedział Gideon.

Łatwo mu było mówić, on nie musiał targać ze sobą sukni o rozmiarach jednoosobowego namiotu.

- Kim jest Mistrz?

- Wielki Mistrz stoi na czele zakonu. W tych czasach jest nim oczywiście sam hrabia. Zakon istnieje od niedawna, hrabia założył go zaledwie trzydzieści siedem lat temu. Także później przewodniczenie obejmowali członkowie rodu de Villiers.

Czy to miało znaczyć, że hrabia de Saint Germain był członkiem rodu de Villiers? W takim razie dlaczego nazywał się de Saint Germain?

- A dzisiaj? To znaczy w naszych czasach? Kto jest Wielkim Mistrzem?
- Obecnie jest nim mój wuj Falk - powiedział Gideon. - Zastąpił twojego dziadka, lorda Montrose.
- Ach, tak.

Mój kochany, wiecznie uśmiechnięty dziadek w roli Wielkiego Mistrza tajnej loży hrabiego de Saint Germain! A ja zawsze myślałam, że dziadek przez całe życie był pod pantoflem babci.

- A jaką pozycję ma w zakonie lady Arista?
- Nie ma żadnej. Kobieta nie może zostać członkiem loży. Najbliżsi krewni członków Kręgu Wysokiego Stopnia zaliczają się wprawdzie automatycznie do Zewnętrznego Kręgu Wtajemniczonych, ale nie mają nic do powiedzenia.

To było oczywiste.

Może sposób, w jaki mnie traktował, był w rodzinie de Vil-liers wrodzony? Taki rodzaj wady genetycznej, która powodowała, że kobiety kwitowało się jedynie lekceważącym uśmiechem? Z drugiej strony dla Charlotty był uprzedzająco miły.

I musiałam przyznać, że w tej chwili zachowuje się w miarę przyzwoicie.

- Dlaczego przez cały czas nazywacie własną babkę „lady Arista”? - zapytał. - Dlaczego nie mówicie o niej „babunia” albo „babunia”, jak inne dzieci?

- Tak to już jest - powiedziałam. - Dlaczego kobiety nie mogą być członkami loży?

Gideon wyciągnął rękę w moją stronę i odepchnął mnie za siebie.

- A teraz na moment się przymknij.

- Co proszę?

Na końcu korytarza znajdowały się kolejne schody. Z góry wpadało światło dzienne, ale zanim doszliśmy do schodów, z cienia wyłoniło się dwóch mężczyzn z obnażonymi szpadami.

Najwyraźniej czekali na nas.

- Dzień dobry. - Gideon w przeciwieństwie do mnie nawet się nie wzdrygnął, choć położył dłoń na swojej szpadzie.

- Hasło - zawołał pierwszy mężczyzna.

- Przecież byłeś tu wczoraj, panie - powiedział drugi mężczyzna i podszedł o krok bliżej, żeby przyjrzeć się Gideonowi. - Ty albo twój młodszy brat. Podobieństwo jest doprawdy uderzające.

- Czy to ten chłopiec, który potrafi wyłaniać się z nicości? -zapytał pierwszy mężczyzna.

Obaj gapili się na Gideona z rozdziawionymi ustami. Byli ubrani podobnie jak Gideon.

Najwyraźniej madame Rossini miała rację: mężczyźni z epoki rokoko lubili barwne stroje. Ci tutaj połączyli turkus w fioletowe kwiatki z czerwienią i brązem, a jeden z nich miał na sobie jasnożółte spodnie do kolan.

Powinno to wyglądać okropnie, ale nawet nie - było po prostu dość kolorowe.

Obaj nosili peruki i nad uszami mieli loki przypominające kiełbaski, a na karku dodatkowy warkocz przewiązany aksamitną wstążką.

- Powiedzmy, że znam drogi w tym domu, które wam nie są znane - rzucił Gideon z aroganckim uśmiechem. - Ja i moja towarzyszka musimy się zobaczyć z Wielkim Mistrzem. W pewnej pilnej sprawie.

- Bufon! Najpierw wymienia siebie, a potem mnie - mruknęłam.

Hasło?

„Kwak rudy nie szczyty". Albo coś w tym stylu.

- *Qua redit nescitis* - powiedział Gideon. No, prawie.



## **Żeńska linia rodu**

Elaine Burghley

opal 1562-1580

Cecilia Woodville

akwamaryn 1628-1684

Jeanne de Pontcarree (madame d'Urfe)

cytryn 1705-1775

Margret Tilney

jadeit 1877-1944

Lucy Montrose

szafir (\*1976)

## 11.

Mężczyzna w żółtych spodniach schował szpadę.

- Chodźcie za mną.

Zaintrygowana wyjrzałam przez pierwsze okno, które mijaliśmy. Czyli to jest właśnie XVIII wiek. Z podekscytowania zaczęła mnie swędzieć skóra na głowie. Jednak zobaczyłam tylko ładny dziedziniec z fontanną pośrodku, ten, który widziałam już wcześniej.

Znowu poszliśmy schodami w górę. Gideon puścił mnie przodem.

- Byłeś tutaj wczoraj? - zapytałam zaciekawiona. Mówiłam szeptem, żeby ten w żółtym nas nie usłyszał. Szedł ledwie kilka kroków przed nami.

- Dla niego to było wczoraj - powiedział Gideon. - Dla mnie to już są prawie dwa lata.

- A po co tu byłeś?

- Przedstawiłem się hrabiemu i musiałem go poinformować, że pierwszy chronograf został skradziony.

- Pewnie mu się to niespecjalnie spodobało.

Ten w żółtym zachowywał się, jakby nas nie słyszał, ale było widać, jak nadstawia uszu pod białymi kielbaskami włosów.

- Przyjął to z większą godnością, niż się spodziewałem - rzekł Gideon. - I kiedy minęło przerażenie, był szczerze ucieszony, że drugi chronograf działa i że w związku z tym mamy szansę doprowadzić wszystko do szczęśliwego końca.

- A gdzie chronograf jest teraz? - wyszeptalam. - To znaczy w tej chwili, w tych czasach?

- Przypuszczalnie gdzieś w tym budynku. Hrabia nigdy nie rozstaje się z nim na dłużej, bo też musi poddawać się elapsji, aby zapobiec niekontrolowanemu przeskokom w czasie.

- To dlaczego nie możemy tego chronografu po prostu zabrać w przyszłość?

- Z wielu powodów - powiedział Gideon. Ton jego głosu się zmienił. Nie był już taki arogancki. Ale za to protekcyjny. - Te najważniejsze są chyba oczywiste. Jedną z dwóch złotych zasad Strażników w postępowaniu z chronografem brzmi, iż ciągłość nigdy nie może zostać przerwana.

Gdybyśmy zabrali ze sobą chronograf w przyszłość, hrabia i podróżnicy w czasie, którzy urodzili się po nim, byłiby zmuszeni obejść się bez niego.

- No tak, ale nikt nie mógłby go ukraść. Gideon potrząsnął głową.

- Widać, że do tej pory niewiele się zastanawiałaś nad naturą czasu. Istnieją ciągi zdarzeń, których przerwanie mogłoby być bardzo niebezpieczne. W najgorszym razie mogłabyś się wcale nie urodzić.

- Rozumiem - skłamałam.

Tymczasem dotarliśmy na pierwsze piętro, mijając następnych dwóch uzbrojonych w szpady mężczyzn, z którymi ten w żółtym wymienił szeptem parę słów. Jak to było z tym hasłem? Przyszło mi do głowy: „Qua nesauick moskito”. Muszę koniecznie sprawić sobie nowy mózg.

Obaj mężczyźni spojrzeli na Gideona i na mnie /. nieskrywa ną ciekawością i ledwie ich minęliśmy, znów zaczęli między sobą szeptać. Ależ bym chciała usłyszeć, co mówią.

Ten w żółtym zastukał do drzwi. W środku, przy biurku, siedział kolejny mężczyzna, też w peruce - blond - i też kolorowo ubrany. Znad blatu biurka lśnił oślepiająco żółty żakiet i kamizelka w kwiatki, spod stołu śmiały się do nas czerwone spodnie do kolan i pończochy w paski. Nie dziwiłam się już niczemu.

- Panie sekretarzu - powiedział ten w żółtym - znowu przyszedł ten gość z wczoraj i znowu zna hasło.

Sekretarz z niedowierzaniem spojrzął na twarz Gideona.

- Jak możecie znać hasło, skoro ujawniliśmy je zaledwie dwie godziny temu, a od tamtej pory nikt nie opuścił tego domu? Wszystkie wejścia są pilnie strzeżone. A ona to kto? Kobiety nie mają tu wstępu.

Chciałam się uprzejmie przedstawić, ale Gideon złapał mnie za ramię, nie dopuszczając do głosu.

- Musimy porozmawiać z hrabią. W pewnej naglącej sprawie. To bardzo pilne.

- Przyszli z dołu - oznajmił ten w żółtym.

- Ale hrabiego nie ma w domu - powiedział sekretarz. Poderwał się na nogi i załamał ręce. -

Moglibyśmy wysłać emisariusza...

- Nie, musimy z nim rozmawiać osobiście. Nie mamy czasu na wysłanie emisariuszy w tę i we w tę. Gdzie obecnie przebywa hrabia?

- Jest gościem lorda Bromptona w jego nowym domu przy Wigmore Street. Na wielce ważnej naradzie, którą zwołał wczoraj bezpośrednio po waszej wizycie.

Gideon zaklął cicho.

- Potrzebujemy powozu, który zawiezie nas na Wigmore Street. Natychmiast.

- To mogę zorganizować. - Sekretarz skinął! na tego w żółtym. - Zajmij się tym osobiście, Wilbour.

- Ale czy wystarczy nam na to czasu? - zapytałam, myśląc chociażby o długiej drodze powrotnej przez zatechłą piwnicę. - Zanim dojedziemy powozem na Wigmore Street...

Na Wigmore Street nasz dentysta miał gabinet. Najbliższy przystanek metra, Central Line, znajdował się przy Bond Street. Ale jadąc stąd, trzeba by się było co najmniej raz przesiąść. Nawet nie chciałam sobie wyobrazić, jak długo trwałaby podróż powozem.

- Może będzie lepiej, jeśli przyjdziemy tu innym razem?

- Nie - odparł Gideon i nagle się do mnie uśmiechnął. Na jego twarzy malowało się coś, czego nie potrafiłam do końca zinterpretować. Czyżby chęć przygody? - Mamy jeszcze dwie i pół godziny - dodał pogodnie. - Jedziemy na Wigmore Street.

Jazda powozem przez Londyn była bardziej ekscytująca niż wszystko, co przeżyłam do tej pory. Nie wiedzieć czemu, bardzo malowniczo wyobrażałam sobie Londyn bez samochodów, z ulicami, po których paradowali ludzie z parasolami i w kapeluszach, a tu i ówdzie niespiesznie przejeżdżała dorożka. Zero smrodu spalin, zero taksówek pędzących jak oszalałe i wpadających na człowieka nawet wtedy, gdy chce przejść przez jezdnię na zielonym świetle.

W rzeczywistości jednak wcale nie było malowniczo. Po pierwsze, padał deszcz. Po drugie, nawet bez samochodów i autobusów na ulicach panował ogromny chaos: dorożki i powozy wszelkiej maści przepychały się w ścisku, rozpryskując wokół błoto i wodę z kałuż. Wprawdzie nie było spalin, ale też na ulicach wcale nie pachniało - czuło się zgniliznę, a poza tym końskie łajno i jakieś inne, niezbyt przyjemne wonie.

Nigdy dotąd nie widziałam naraz tylu koni. Sam nasz powóz ciągnęły cztery, wszystkie kare, przepiękne. Mężczyzna w żółtym żakiecie siedział na koźle i gnał konie przez cizbę na złamanie karku. Powóz chygotał się strasznie, a za każdym razem kiedy wchodziliśmy w zakręt, myślałam, że się przewrócimy. Ze strachu i ponieważ bardzo się starałam, żeby na wybojach nie polecieć na Gideona, niewiele zobaczyłam z tego Londynu, który rozpościerał się za oknem powozu. Kiedy przez nie wyglądałam, nic, ale to nic nie wydawało mi się znajome. Było tak, jakbym wylądowała w jakimś kompletnie innym mieście.

- To jest Kingsway - powiedział Gideon. - Nie do poznania, prawda?

Nasz woźnica odważył się na ryzykowny manewr wyprzedzania, minął wóz zaprzężony w woły i powóz podobny do naszego. Tym razem nie zdołałam nic poradzić na siłę ciężkości, która popchnęła mnie na Gideona.

- Ten facet chyba myśli, że jest Ben Hurem - mruknęłam, przesuając się z powrotem do mojego kąta.

- Powożenie to wielka frajda. - W ustach Gideona zabrzmiało to tak, jakby zazdrościł temu mężczyźnie na koźle. - Jeszcze fajniej jest w odkrytej bryczce. Najbardziej lubię wagonetę.

Powóz znowu się zachwiał i zaczęło mi się robić trochę niedobrze. W każdym razie to nie była impreza dla kogoś o wrażliwym żołądku.

- Ja chyba wolę jaguara - powiedziałam słabym głosem.

Tak czy owak, muszę przyznać, że zatrzymaliśmy się na Wigmore Street szybciej, niż mogłabym się tego spodziewać. Kiedy wysiedliśmy przed wspaniałym domem, rozejrzałam się, ale w tej części miasta nie udało mi się rozpoznać niczego z naszych czasów, choć bywałam u dentysty częściej, niżbym chciała. A jednak wkoło unosił się jakiś znajomy powiew. I przestało padać.

Lokaj, który otworzył nam drzwi, twierdził zrazu, że lorda Bromptona nie ma w domu, ale Gideon przekonał go, że według jego wiedzy jest wręcz odwrotnie i że lokaj, o ile nie zaprowadzi nas natychmiast do lorda i jego gości, jeszcze tego samego dnia straci posadę. Wcisnął wystraszonemu mężczyźnie sygnet w rękę i rozkazał mu się pospieszyć.

- Masz własny sygnet? - spytałam, kiedy czekaliśmy w holu.

- Tak, oczywiście - potwierdził Gideon. - Bardzo jesteś podekscytowana?

- Ja? A dlaczego? Powinnam być?

Ciągle jeszcze czułam w kościach podróż powozem i na razie nie potrafiłam sobie wyobrazić niczego ekscytującego. Jednak teraz, kiedy to powiedział, serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Przypomniało mi się wszystko to, co mama mówiła o hrabim de Saint Germain. A jeśli ten człowiek naprawdę potrafił czytać w myślach?

Sięgnęłam ręką do upiętych włosów, pewnie cała fryzura zniszczyła się w czasie jazdy.

- Wygląda idealnie. - Gideon lekko się uśmiechnął.

Co to miało znaczyć? Chciał, żebym się zdenerwowała, czy co?

- Wiesz, nasza kucharka też ma na nazwisko Brompton -rzuciłam, próbując zamaskować swoje zmieszanie.

- Tak, świat jest mały - powiedział Gideon.

Lokaj wrócił pędem po schodach, przeskakując po kilka stopni.

- Panowie oczekują cię, sir. Poszliśmy za nim na pierwsze piętro.

- On naprawdę umie czytać w myślach? - wyszeptałam.

- Lokaj? - odszepnął Gideon. - Mam nadzieję, że nie. Właśnie sobie pomyślałem, że przypomina łasicę.

Czyżby to był przyływ poczucia humoru? Czyżby pan Zejdz-cie-mi-z-drogi-wypełniam-ważną-misję naprawdę sobie zażartował? Szybko wyszczerzyłam zęby (takie rzeczy trzeba bądź co bądź pozytywnie wzmacniać).

- Nie lokaj, hrabia - powiedziałam po chwili. Skinął głową.

- Tak się przynajmniej mówi.

- Czy w twoich myślach też czytał?

- Jeśli tak, to ja tego nie zauważyłem.

Lokaj otworzył przed nami drzwi i skłonił się głęboko. Zatrzymałam się. Może najlepiej będzie nie myśleć o niczym? Ale to było po prostu niemożliwe. Gdy tylko spróbowałam w ogóle nie myśleć, przez głowę natychmiast przeleciało mi milion myśli.

- Panie przodem - powiedział Gideon i delikatnie przepchnął mnie przez próg.

Zrobiłam parę kroków, a potem znowu się zatrzymałam, nie wiedząc, czego się ode mnie oczekuje. Gideon szedł za mną, lokaj, ponownie skłoniwszy się głęboko, zamknął za nami drzwi.

Staliśmy w wielkim, elegancko urządzonej salonie z wysokimi oknami i haftowanymi zasłonami, które prawdopodobnie sprawdziłyby się równie dobrze jako suknie.

Przywitał nas wzrok trzech mężczyzn. Pierwszy z nich był gruby i z trudnością dźwignął się z krzesła, drugi był młodszy, bardzo umięśniony, i tylko on nie nosi! peruki, trzeci natomiast był szczupły i wysoki, a rysami twarzy przypominał tego z portretu w archiwum.

Hrabia de Saint Germain.

Gideon skłonił się, choć nie tak głęboko jak lokaj. Ukłonili się również ci trzej mężczyźni.

Ja nie zrobiłam nic. Nikt mnie nie nauczył, jak dygać w sukni z krynoliną. A poza tym uważałam, że dyganie jest głupie.

- Nie myślałam, że spotkam cię tak prędko, młody przyjacielu - odezwał się ten, którego uznałam za hrabiego de Saint Germain. Uśmiechał się od ucha do ucha. - Lordzie Bromp-ton, czy mogę panu przedstawić prapraprawnuka mojego pra-praprawnuka? Gideon de Villiers.

- Lordzie Brompton! - znowu lekki ukłon. Najwyraźniej uścisk dłoni nie był jeszcze w modzie.

- Uważam, że mój ród, przynajmniej pod względem prezencji, bardzo pięknie się rozwinął - powiedział hrabia. - Najwyraźniej miałem szczęście w wyborze damy mego serca. Przesadnie haczykowaty nos najzupełniej zaniknął.

- Ach, drogi hrabio! Pan znowu próbuje zrobić na mnie wrażenie swymi niewiarygodnymi opowieściami - rzekł lord Brompton, opadając z powrotem na krzesło, które wyglądało na tak maleńkie, że wystraszyłam się, iż zaraz się połamię. Lord nie był tylko trochę zaokrąglony jak pan George, ale był po prostu straszliwie gruby! - Nie mam jednak nic przeciwko temu - mówił dalej, a jego świńskie oczka rzucały rozbawione spojrzenia. - Z panem jest zawsze świetna zabawa. Co parę sekund jakaś niespodzianka.

Hrabia skwitował to śmiechem, po czym zwrócił się do młodego mężczyzny bez peruki.

- Lord Brompton jest i zawsze był niedowiarkiem, mój drogi Miro! Musimy coś wymyślić, by przekonać go do naszej sprawy.

Mężczyzna odpowiedział coś w obcym, twardo brzmiącym, urywanym języku, a hrabia znowu zaczął się śmiać. Spojrzał na Gideona.

- To jest, drogi wnuku, mój dobry przyjaciel i powiernik Miro Rakoczy, w Kronikach Strażników lepiej znany jako Czarny Lampart.

- Bardzo mi miło - powiedział Gideon. Znowu wymiana ukłonów.

Rakoczy - skąd ja znam to nazwisko? I dlaczego jego widok wzbudza we mnie taką niechęć?

Po wargach hrabiego przemknął uśmiech, kiedy jego wzrok powoli przesunął się po mojej postaci. Odruchowo poszukałam jakiegoś podobieństwa z Gideonem albo z Falkiem de Vil-liers. Ale nic nie znalazłam. Oczy hrabiego były bardzo ciemne, a jego spojrzenie miało w sobie coś przenikliwego, co od razu przypomniało mi słowa mamy.

Byle tylko nie myśleć! Mój mózg musiał mieć jednak jakieś zajęcie, dlatego śpiewałam w myślach *God Save the Queen*.

Hrabia przeszedł na francuski, którego początkowo nie rozumiałam (zważywszy, że właśnie w myślach z pełnym zaangażowaniem śpiewałam hymn narodowy), ale potem, z pewnym opóźnieniem, pomijając jakieś nieznane słowa, przetłumaczyłam następująco: „A ty, ładna dziewczyno, ty jesteś coś tam, coś tam tej coś tam, coś tam Jeanne de Urfe. Mówiono mi, że masz rude włosy”.

No tak, wkuwanie słówek chyba faktycznie jest kluczem do poznania języków obcych, tak przynajmniej twierdzi nasz nauczyciel francuskiego. Niestety, nie znałam żadnej Joanny d'Urfe i dlatego nie udało mi się uchwycić sensu całego zdania.

- Ona nie rozumie po francusku - powiedział Gideon, również po francusku. -1 to nie jest dziewczyna, której oczekiwaliście.

- Jak to możliwe? - Hrabia potrząsnął głową. - To wszystko jest wielce coś tam, coś tam.

- Niestety, do coś tam, coś tam przygotowano nie tę osobę. Tak, Niestety.

- Pomyłka? To wszystko i tak wydaje mi się jedną wielką pomyłką.



- To jest Gwendolyn Shepherd, kuzynka rzeczonyj Charlotty Montrose, o której wam wczoraj opowiadałem.

- A więc także wnuczka lorda Montrose, ostatniego coś tam, coś tam. I tym samym kuzynka coś tam, coś tam? - Hrabia de Saint Germain zmierzył mnie spojrzeniem ciemnych oczu, a ja znowu zaczęłam śpiewać w myślach.

- Ja tego coś tam, coś tam, coś tam, coś tam zupełnie nie mogę pojąć.

- Nasi naukowcy twierdzą, że to zupełnie możliwe, by geny coś tam, coś tam...

Hrabia uniósł dłoń, przerywając Gideonowi w pół słowa.

- Wiem, wiem! Według zasad nauki może to i jest prawda. Niemniej jednak mam złe przeczucia. No, to całkiem jak ja.

- Czyli po francusku nie? - spytał, tym razem po niemiecku. Z moim niemieckim było wprawdzie odrobinę lepiej (miałam z niego mocną czwórkę, i to już czwarty rok z rzędu), ale także i tutaj zdarzały się słowa, których nie rozumiałam. - Dlaczego została tak źle przygotowana?

- Ona w ogóle nie jest przygotowana, markizie. Nie zna języków obcych. - Teraz Gideon mówił po niemiecku. - Zresztą pod każdym innym względem też jest kompletnie coś tam, coś tam. Charlotta i Gwendolyn urodziły się tego samego dnia. W wyniku pomyłki przyjęto, że Gwendolyn urodziła się dzień później.

- Ale jak to można było przeoczyć?

No, teraz wreszcie znowu rozumiałam wszystko. Przeszli z powrotem na angielski, którym hrabia władał bez cienia obcego akcentu.

- Dlaczego mam wrażenie, że Strażnicy w twoich czasach niezbyt poważnie traktują swoje obowiązki?

- Myślę, że odpowiedź znajduje się w tym liście. - Gideon wyciągnął z wewnętrznej kieszeni fraka zapieczętowany list i poda! go hrabiemu.

Spojrzenie hrabiego przeszło mnie na wylot.

Błyskawicznie uciekłam wzrokiem przed tym spojrzeniem ciemnych oczu i zerknęłam na pozostałych dwóch mężczyzn. Lord Brompton zrozumiał z tego wszystkiego chyba jeszcze mniej niż

ja (*jego* usta ponad licznymi fałdami podbródka były otwarte i wyglądał dość głupkowato), a ten drugi, Rakoczy, przypatrywał się uważnie swoim paznokciom.

By! jeszcze młody, może koło trzydziestki, miał ciemne włosy i szczupłą, długą twarz. Wyglądałby całkiem nieźle, ale jego mina była tak odpychająca, jakby akurat zjadł coś obrzydliwego, a skóra miała chorobliwie blady odcień.

Pomyślałam, że może nałożył sobie jasnoszary puder, ale wtedy nagle podniósł wzrok i spojrzał mi prosto w oczy. Jego oczy były czarne jak węgle, nie mogłam rozróżnić, gdzie kończy się źrenica, a zaczyna tęczówka. Wyglądały dziwnie martwo, chociaż nie potrafiłam powiedzieć dlaczego.

Automatycznie znowu zaczęłam deklamować w myślach *God Save the Queen*. Tymczasem hrabia złamał pieczęć i rozłożył list. Westchnął i zaczął czytać. Od czasu do czasu podnosił głowę i spoglądał na mnie. Siedziałam sztywno, nie ruszając się z miejsca.

Co było w tym liście? Kto go napisał? Także lorda Brompto-na i pana Rakoczego zdawało się to interesować. Lord Brompton wyciągał grubą szyję, jakby chciał zobaczyć, co było tam napisane, podczas gdy Rakoczy koncentrował się bardziej na samym hrabim. Wyraz obrzydzenia na jego twarzy był najwyraźniej wrodzony.

Kiedy znowu spojrzał na mnie, wszystkie włoski na ramionach stanęły mi dęba. Jego oczy wyglądały jak czarne dziury i teraz odkryłam, dlaczego wydały mi się takie martwe. Brakowało tego małego błysku światła, tej jasnej iskierki, która ożywia każde oczy. To było nie tylko dziwne, ale i straszne. Cieszyłam się, że dzieli mnie od tych oczu dystans przynajmniej pięciu metrów.

- Twoja matka, dziecko, wydaje się niezwykle upartą osobą, nieprawdaż? - Hrabia zakończył lekturę listu i złożył go. - Na temat jej motywów można tylko snuć przypuszczenia.

Podszedł do mnie kilka kroków. Pod jego przeszywającym spojrzeniem nie potrafiłam sobie nawet przypomnieć słów hymnu narodowego.

Ale potem zauważyłam coś, czego wcześniej nie widziałam z daleka i dlatego, że tak strasznie się bałam - hrabia był stary. Mimo że jego oczy dosłownie kipiały energią, sylwetkę miał prostą, a jego głos brzmiał dźwięcznie i żywotnie, nie dało się nie dostrzec oznak upływającego czasu. Skóra na twarzy i rękach była pomarszczona jak pergamin, przeświecały przez nią niebieskawe żyłki, spod

warstwy pudru wyraźnie przebijały się zmarszczki. Przez ten wiek było w nim coś kruchego, coś, co napawało mnie nieomal współczuciem.

Tak czy owak, w ułamku sekundy opuścił mnie cały strach. To był tylko stary człowiek, starszy niż moja babka.

- Gwendolyn nie wie nic ani o motywach swojej matki, ani o wydarzeniach w tle, które doprowadziły do tej sytuacji - wyjaśni! Gideon. - Nie ma pojęcia o niczym.

- Dziwne, bardzo dziwne - powiedział hrabia, okrążając mnie powoli. - Faktycznie jeszcze nigdy się nie spotkaliśmy.

Oczywiście, że nie, jak on to sobie wyobrażał?

- Ale nie byłoby cię tutaj, gdybyś nie była rubinem. „Rubin czerwony magią kruka obdarzony, G-dur zamyka krąg, przez dwunastu utworzony” - zacytował, po czym zakończył swój obchód, stanął naprzeciw mnie i spojrzał mi w oczy. - Jaka jest twoja magia, panienko?

Wyrecytowałam w myślach kolejny wers hymnu.

Och! Co ja wyprawiam? Przecież to tylko stary człowiek. Powinnam traktować go z szacunkiem, a nie gapić się na niego jak sparalizowany królik na węża.

- Nie wiem, sir.

- Co jest w tobie szczególnego? Zdradź mi.

Co jest we mnie szczególnego? Pomijając to, że od dwóch dni mogę podróżować w czasie? Naraz zabrzmiał mi w uszach głos ciotki Glendy: „Już w niemowlęctwie po Charlocie było widać, że urodziła się do wielkich rzeczy. W ogóle nie można jej porównywać ze zwykłymi dziećmi”.

- Myślę, że we mnie nie ma nic szczególnego, sir. Hrabia mlasnął językiem.

- Być może masz rację. To przecież tylko wierszyk. Wierszyk wątpliwego pochodzenia.

Nagle najwyraźniej straci! zainteresowanie mną i odwrócił się w stronę Gideona.

- Mój kochany synu, czytam z podziwem o tym, co do tej pory osiągnąłeś. Odnalazłeś w Belgii ślady Lancelota de Vil-liers. William de Villiers, Cecilia Woodville, czarujący akwama-ryn, i bliźnięta, których nigdy nie poznałem, też są odhaczeni. Niech pan sobie wyobrazi, lordzie

Brompton, ten chłopiec odwiedził nawet w Paryżu madame Jeanne d'Urfe, z domu Pont-carre, i namówił ją do małego aktu krwiodawstwa.

- Czy mówi pan o tej madame d'Urfe, której mój ojciec zawdzięcza przyjaźń z panią Pompadour i wreszcie także z panem?

- Nie znam żadnej innej - odrzekł hrabia.

- Ależ ta pani d'Urfe nie żyje już od dziesięciu lat.

- Ściślej biorąc, od siedmiu - sprostował hrabia. - W tamtym czasie przebywałem na dworze margrabiego Karola Aleksandra z Ansbach. Ach, czuję tak wielką więź z Niemcami. Podoba mi się, że panuje tam duże zainteresowanie wolnomularstwem i alchemią. Jak poinformowano mnie już przed wielu laty, umrę właśnie w Niemczech.

- Proszę nas nie zwodzić - powiedział lord Brompton. - Jak ten chłopiec mógł odwiedzić madame d'Urfe siedem lat temu w Paryżu? Siedem lat temu sam przecież był jeszcze dzieckiem.

- Pan przez cały czas myśli w niewłaściwy sposób, drogi lordzie. Niech pan spyta Gideona, kiedy miał przyjemność upuścić madame d'Urfe nieco krwi.

Lord spojrzał pytająco na Gideona.

- W maju 1759 roku - odrzekł Gideon. Lord wydał z siebie przenikliwy chichot.

- Ale to przecież niemożliwe. Pan sam ma nie więcej niż dwadzieścia lat.

Także hrabia się zaśmiał. Był to śmiech zadowolenia.

- W 1759 roku. Nigdy mi o tym nie opowiedziała, wielce tajemnicza niewiasta.

- Pan również był w tym czasie w Paryżu, ale miałem ściśle zalecenie, by nie wchodzić panu w drogę.

- Wiem, ze względu na ciągłość - westchnął hrabia. - Czasem złoścę się na swoje własne zasady... Ale powróćmy do drogiej Jeanne. Czy musiałeś użyć siły? Przy mnie nie była zbyt skłonna do współpracy.

- Wspominała mi o tym - powiedział Gideon. - I o tym, jak wyłudził pan od niej chronograf.

- Wyłudził! Nawet nie wiedziała, jaki skarb odziedziczyła po swojej babce. Biedny, sterany aparat ponieważ się, nieużywany i nierozpoznany, w zakurzonej skrzyni na strychu. Prędzej czy później popadłby w całkowite zapomnienie. Uratowałem go i przywróciłem mu jego pierwotną rangę. A

dzięki geniuszom, którzy przystąpią jeszcze do mej loży w przyszłości, dziś jest całkowicie zdolny do działania. To graniczy z cudem.

- Madame mówiła też, że nieomal ją pan udusił, tylko dlatego, że nie знаła daty urodzenia i panińskiego nazwiska swojej prababki.

Udusił? No, niezły czad!

- Tak, to prawda. Tego rodzaju luki w pamięci kosztowały mnie nieskończenie wiele czasu, który spędziłem na wertowaniu starych ksiąg kościelnych, miast poświęcić się ważniejszemu sprawom. Jeanne jest niezwykle pamiętliwą osobą. Tym bardziej zadziwia mnie, że udało się panu skłonić ją do współpracy.

Gideon uśmiechnął się.

- To nie było łatwe. Ale najwyraźniej zrobiłem na niej wrażenie człowieka godnego zaufania. Poza tym zatańczyłem z nią gawota. I cierpliwie wysłuchiwałem jej narzekań na pana.

- Cóż za niesprawiedliwość. Przecież załatwiłem jej ekscytujący romans z Casanovą i nawet jeśli chodziło mu wyłącznie o jej pieniądze, to i tak zazdrościło jej wiele kobiet. A chrono-grafem podzieliłem się z nią po bratersku. Gdyby mnie nie miała. .. - Hrabia, najwyraźniej rozbawiony, odwrócił się znowu do mnie. - Niewdzięczne babsko ta twoja antenatka. Niestety, nie została obdarzona wielką inteligencją. Myślę, że nigdy do końca nie zrozumiała, co się z nią właściwie dzieje, biedna, stara kobieta. Prócz tego była obrażona, że w Kręgu Dwanaściorga przypadł jej zaledwie cytryn. „Dlaczego pan może być szmaragdem, a ja jestem tylko żalonym cytrynem - powiedziała. - Nikt, kto ma o sobie wysokie mniemanie, nie nosi dziś cytrynów”. - Zachichotał cicho. - Doprawdy, jej prostactwo było niezrównane. Chętnie bym się dowiedział, ile razy jeszcze na stare lata podróżowała w czasie. Może już wcale. I tak nie była wielką podróżniczką. Czasem między kolejnymi przeskokami mijał cały miesiąc. Powiedziałbym, że kobieca krew jest znacznie bardziej ociężała niż nasza. Podobnie jak kobiecy rozum ustępuje męskiemu w bystrości. Czy zgadzasz się ze mną, panienko?

Stary szowinista, pomyślałam, przymykając oczy. Głupkowaty, przemądrzały nudziarz. O rany! Chyba oszalałam! Przecież miałam nie myśleć o niczym!

Ale najwidoczniej z tą umiejętnością hrabiego czytania w cudzych myślach nie było najlepiej, bo znowu zachichotał rozbawiony.

- Nie jest specjalnie rozmowna, prawda?

- Jest tylko nieśmiała - powiedział Gideon.

Dużo lepiej pasowałoby tu określenie „zastraszona”.

- Nie ma nieśmiałych kobiet - sprzeciwił się hrabia. - Za pozornie nieśmiałym spuszczeniem oczu ukrywają jedynie swoje prostactwo.

Coraz bardziej dochodziłam do przekonania, że nie powinnam się go bać. Był jedynie zadufanym, pogardzającym kobietami dziaduniem, który lubił się wsłuchiwać w dźwięk swojego głosu.

- Najwyraźniej nie masz, panie, dobrego zdania o płci żeńskiej - powiedział lord Brompton.

- Ależ skądże - zaprzeczył hrabia. - Kocham kobiety. Naprawdę! Nie sądzę tylko, by dysponowały tym rodzajem rozumu, który da postęp ludzkości. Dlatego w mojej łoży kobiety nie mają czego szukać. - Obdarzył lorda promiennym uśmiechem. - Zresztą, wielu mężczyzn właśnie z tego powodu stara się o przyjęcie do łoży, lordzie Brompton.

- A jednak kobiety kochają cię, panie! Mój ojciec nie ustawał w wychwalaniu twych sukcesów u dam. Ponoć zarówno w Londynie, jak i w Paryżu w każdej epoce ścieliły ci się u stóp.

Hrabia natychmiast zatopił się we wspomnieniach czasów, kiedy był bożyszczem kobiet.

- Oszalałowanie kobiet i podporządkowywanie ich swojej woli nie jest szczególnie trudne, mój drogi lordzie. One wszystkie są takie same. Gdybym nie zajmował się sprawami wyższego rzędu, już dawno napisałbym poradnik dla mężczyzn o tym, jak prawidłowo należy obchodzić się z kobietami.

No jasne. Od razu przyszedł mi do głowy odpowiedni tytuł. *Przez duszenie do sukcesu*. Albo *W ten sposób zbajerujesz każdą kobietę*. O mało nie zachichotałam. Ale potem spostrzegłam, że Rakoczy bardzo wnikliwie mnie obserwuje, i moje rozbawienie minęło równie szybko, jak się pojawiło.

Chyba oszalałam! Wpatrywałam się w czarne oczy przez sekundę, a potem spuściłam wzrok na mozaikę na podłodze, próbując zwalczyć uczucie paniki, które mnie zniewalało. To nie hrabia był tym, przed którym należało mieć się na baczności, tego byłam zupełnie pewna. I naprawdę nie powinnam czuć się tutaj bezpieczna.

- To wszystko jest wielce zabawne - powiedział lord Brompton. Jego liczne podbródki trzęsły się z uciechy. - Ty, panie, i twoi towarzysze powinniście byli zostać aktorami, to nie ulega wątpliwości. Tak jak mówił mój ojciec, potrafisz, drogi hrabio de Saint Germain, snuć historie, które wprawiają człowieka w zdumienie. Niestety, nie możesz niczego udowodnić.

Do tej pory nie zaprezentowałaś nam, panie, choćby jednej sztuczki.

- Sztuczki! - zawołał hrabia. - Och, mój drogi lordzie, jesteś wielkim niedowiarkiem. Już dawno straciłbym do ciebie cierpliwość, gdybym nie czuł się zobowiązany wobec twego ojca, Panie, świeć nad jego duszą. I gdybym aż tak bardzo nie był zainteresowany twymi pieniędzmi i wpływami.

Lord zaśmiał się odrobinę nieswojo.

- Przynajmniej jesteś, panie, szczerzy.

- Alchemia nie może się bowiem obyć bez protektorów. - Hrabia gwałtownie odwrócił się w stronę Rakoczego. - Będziemy musieli zaprezentować naszemu drogiemu lordowi kilka tych naszych sztuczek, Miro. Należy do ludzi, którzy wierzą tylko w to, co widzą. Ale najpierw muszę w cztery oczy zamienić parę słów z moim prawnukiem i napisać list do Wielkiego Mistrza mojej loży w przyszłości.

- Może pan śmiało skorzystać z gabinetu obok. - Lord wskazał na drzwi z tyłu. - A ja będę z niecierpliwością czekał na prezentację.

- Chodź, mój synu. - Hrabia ujął Gideona pod ramię. - Jest kilka rzeczy, o które muszę cię jeszcze zapytać. I parę, o których powinieneś wiedzieć.

- Mamy tylko pół godziny - zaznaczył Gideon, spoglądając na kieszonkowy zegarek przytwierdzony złotym łańcuszkiem do jego kamizelki. - Najpóźniej za pół godziny musimy ruszać z powrotem do Tempie.

- To wystarczy - powiedział hrabia. - Szybko piszę i potrafię jednocześnie mówić i pisać.

Gideon zaśmiał się krótko. Zdawał się naprawdę uważać hrabiego za dowcipnego i najwyraźniej zupełnie zapomniał o tym, że ja też tu jestem.

Chrząknęłam. Stojąc już w drzwiach, odwrócił się w moją stronę i pytająco uniósł jedną brew.

Moja odpowiedź była równie milcząca, bo przecież nie mogłam krzyknąć: „Tylko nie zostawiaj mnie samej z tymi wariatami”.

Gideon zawahał się.

- Tylko by przeszkadzała - rzucił hrabia.

- Poczekaj tu na mnie - powiedział Gideon niespodziewanie miękko.

- Lord i Miro dotrzymają jej w tym czasie towarzystwa - rzekł hrabia. - Możecie spokojnie wypytać ją trochę o przyszłość. To niepowtarzalna okazja. Przybywa z dwudziestego pierwszego wieku, zapytajcie ją o automatyczne pociągi, które będą mknąć przez Londyn pod ziemią. Albo o srebrzyste wehikuly powietrzne, które wznoszą się w powietrze z rykiem tysięcy lwów i mogą przekraczać morza na wysokości wielu kilometrów.

Lord tak się śmiał, że miałam teraz poważne obawy o los jego krzesła. Trząśł mu się każdy potężny wałek tłuszczu.

- Jeszcze coś?

Za żadne skarby nie chciałam zostać sama z nim i z Rakoczym. Ale Gideon tylko się uśmiechnął, mimo że rzuciłam mu błagalne spojrzenie.

- Zaraz wrócę - powiedział.



*Kroniki Strażników 12 czerwca 1948*

*Czarny turmalin, Paul de Villiers, przybył dziś do nas zgodnie z umową z roku 1992, aby dokonać elapsji w archiwum.*

*Tym razem jednak był w towarzystwie rudowłosej dziewczyny, która utrzymywała, że nazywa się Lucy Montrose i jest wnuczką naszego adepta Lucasa Montrose'a. Wykazywała pod każdym względem fatalne podobieństwo do Aristy Bishop (linia jadeitu, numer obserwacyjny 4).*

*Zaprowadziliśmy ich oboje do biura Lucasa. Teraz jest dla nas wszystkich jasne, że Lucas zapewne oświadczy się Ariście, a nie Claudine Seymore, tak jak mieliśmy nadzieję (choć trzeba przyznać, że Arista ma lepsze nogi i naprawdę świetny bekhend). To bardzo osobliwe gościć swoje wnuki, nim się jeszcze ma dzieci.*

Raport: Kenneth de Yilliers, Krąg Wewnętrzny

## 12.

**Kiedy** zatrzasnęły się drzwi za Gideonem i hrabią, automatycznie zrobiłam krok do tyłu.

- Może pani spokojnie usiąść - powiedział lord i wskazał jedno ze swych delikatnych krzeseł. Rakoczy zacisnął usta. Czy może miał to być uśmiech? Jeśli tak, powinien jeszcze poćwiczyć przed lustrem.

- Nie, dziękuję. Raczej postoję.

Jeszcze jeden krok do tyłu, aż nieomal wlażłam na nagiego aniołka stojącego na cokole na prawo od drzwi. Im większa odległość między mną a tymi czarnymi oczami, tym lepiej.

- I raczy pani twierdzić, że przybyła z dwudziestego pierwszego wieku?

Właściwie trudno było mówić, że „raczę”. Mimo to skinęłam głową.

Lord Brompton zatarł ręce.

- No to jaki król rządzi Anglią w tym wieku?

- Mamy premiera, który rządzi krajem - odrzekłam po chwili wahania. - Królowa pełni raczej obowiązki reprezentacyjne.

- Królowa?

- Elżbieta II. Jest bardzo miła. W zeszłym roku przybyła nawet do naszej szkoły na międzynarodowe święto. Zaśpiewaliśmy hymn narodowy w siedmiu różnych językach, a Gordon Uelderman poprosił o autograf w książce do angielskiego, którą potem sprzedał na aukcji na eBayu za osiemdziesiąt funtów. No tak, ale panom to oczywiście nic nie powie. W każdym razie mamy premiera i rząd z posłami do parlamentu wybieranymi przez naród.

Lord Brompton zaśmiał się z uznaniem.

- Cóż za zabawna wizja, nieprawdaż, Rakoczy? To nad wyraz wesołe, co sobie wymyślił hrabia. A jak w dwudziestym pierwszym wieku będzie wyglądała Francja?

- Wydaje mi się, że oni też mają premiera. Króla nie mają,

o ile dobrze wiem, nawet takiego, który by im służył do celów reprezentacyjnych. W wyniku rewolucji znieśli władzę szlachty i samego króla też. Biedną Marię Antoninę skrócili o głowę. Czyż to nie straszne?

- Och, tak - zaśmiał się lord. - Francuzi to w ogóle okropni ludzie. Dlatego my, Anglicy, nigdy się z nimi nie układamy. Niechże mi pani jeszcze zdradzi: z kim w dwudziestym pierwszym wieku będziemy prowadzili wojnę?

- Z nikim... - odrzekłam trochę niepewnie. - W każdym razie nie na poważnie. Od czasu do czasu mieszamy się w to i owo, na Bliskim Wschodzie i tak dalej. Mówiąc szczerze, o polityce nie mam kompletnie żadnego pojęcia. Proszę mnie raczej zapytać o coś na temat... lodówek. Oczywiście nie o to, jak działają, bo tego nie wiem. Wiem tylko, że działają. W każdym mieszkaniu w Londynie stoi taka lodówka i można w niej całymi dniami przechowywać ser, mleko i mięso.

Lord Brompton nie wyglądał na specjalnie zainteresowanego lodówkami. Rakoczy wił się na swoim krześle. Miałam nadzieję, że nie wpadnie na pomysł, żeby wstać.

- Może mnie pan też zapytać o telefony - powiedziałam szybko. - Mimo że nie potrafię wyjaśnić, jak działają.

Na mój gust lord Brompton też by tego nie zrozumiał. Mówiąc szczerze, wygląda! na człowieka, któremu nawet nie opłaca się objaśniać zasady działania żarówki. Poszukałam w myślach czegoś, co mogłoby go zainteresować.

- I co jeszcze... hmmm... między Dover a Calais jest tunel, który prowadzi pod kanałem.

To niesłychanie rozbawiło lorda Bromptona. Zanosząc się od śmiechu, walił się rękami po potężnych udach.

- Wyborne! Wyborne!

Zaczęłam się już odrobinę rozluźniać, kiedy po raz pierwszy odezwał się Rakoczy. Mówi! po angielsku z twardym akcentem.

- A co z Transylwanią?

- Transylwanią?

Ojczyznę hrabiego Drakuli? Czy on mówi serio? Unikałam spojrzenia jego czarnych oczu. A może to on był Drakulą! Ta jego przeraźliwie blada cera nawet by pasowała.

- Moją ojczyznę w pięknych Karpatach. Księstwem Transylwanii. Co zdarzy się w Transylwanii w dwudziestym pierwszym wieku?

Jego głos brzmiał! odrobinę chropawo. I wyraźnie pobrzmiewało w nim coś w rodzaju nostalgii.

- I co porabia lud Kuruców?

Jaki lud, przepraszam bardzo? Kuruców? W życiu nie słyszałam.

- No więc jeśli chodzi o Transylwanię, to w naszych czasach panuje tam względny spokój - rzekłam ostrożnie.

Mówiąc szczerze, nawet nie wiedziałam, gdzie to jest. Bo też Karpaty znałam wyłącznie z powiedzonek. Leslie, opowiadając o swoim wujku Leonie z Yorkshire, mawiała: „On mieszka gdzieś tam w Karpatach”, a dla lady Aristy wszystko, co leżało dalej niż Chelsea, było „Karpatami”. No tak, pewnie Karpaty rzeczywiście zamieszkiwali Kurucowie.

- A kto rządzi Transylwanią? - spytał Rakoczy.

Był tak napięty, jak gdyby zamierzał poderwać się z krzesła, gdyby moja odpowiedź wypadła niezadowolająco.

Hm, hm. Niezłe pytanie, naprawdę niezłe. Należy do Bułgarii? Czy do Rumunii? A może do Węgier?

- Nie wiem - odparłam szczerze. - To tak daleko od nas. Zapytam o to panią Counter. To nasza nauczycielka geografii.

Rakoczy wyglądał na rozczarowanego. Może powinnam była mu trochę lepiej nakłamać. „Transylwanią rządzi hrabia Dra-kula, już od dwustu lat. To rezerwat przyrody, w którym żyją wymarłe gdzie indziej gatunki nietoperzy. Kurucowie są najszcześniejszymi ludźmi w Europie”. To by mu się na pewno bardziej spodobało.

- A jak w dwudziestym pierwszym wieku mają się sprawy w koloniach? - spytał lord Brompton.

Z ulgą spostrzegłam, że Rakoczy znowu oparł się plecami na krzesło. I nie rozpadł się w pył, kiedy słońce przedarło się przez zasłonę chmur i rozświetliło pokój oślepiająco jasnym blaskiem.

Przez chwilę rozmawialiśmy na luzie o Ameryce i Jamajce, i o kilku innych wyspach, o których na moją hańbę nigdy przedtem nie słyszałam. Lord Brompton wydawał się istotnie poruszony tym, że wszystkie rządzą się teraz same (z takiego założenia po prostu wyszłam, ale zupełnie pewna nie byłam). Oczywiście nie wierzył w ani jedno moje słowo i co chwilę wybuchał śmiechem. Rakoczy

już nie brał udziału w naszej rozmowie, przypatrując się tylko na przemian swoim długim, szponiastym paznokciom albo tapecie. Co jakiś czas spoglądał też na mnie.

-Och, zaiste uważam, że to deprymujące, iż jest pani tylko aktorką - westchnął lord Brompton. - Miałbym wielką ochotę pani uwierzyć.

-No tak - powiedziałam wyrozumiale. - Na pana miejscu też bym w to wszystko nie wierzyła. Niestety, nie mam dowodów... och, proszę poczekać! - Sięgnęłam do dekoltu i wyciągnęłam komórkę.

-Co to jest? Papierośnica?

- Nie! - Otworzyłam komórkę, która zapiszczała, bo oczywiście nie mogła znaleźć sieci. Jasne. - To jest... ach, nieważne. Mogę tym robić zdjęcia.

-Zdjęcia?

Podniosłam komórkę i na wyświetlaczu ukazał się lord i Rakoczy.- Proszę o uśmiech. No i gotowe.

Słońce świeciło tak jasno, że lampa błyskowa się nie uruchomiła. Szkoda. Na pewno zrobiłaby na nich obu wielkie wrażenie.

-Co to było? - Lord Brompton zadziwiająco szybko zapanował nad swoimi zwałami tłuszczu i podszedł do mnie.

Pokazałam mu zdjęcie na wyświetlaczu. Świetnie uchwyciłam i jego, i Rakoczego.

-Ale... cóż to jest? Jak to możliwe?

- Nazywamy to fotografowaniem - powiedziałam.

Lord Brompton z zachwytem przejechał palcem po komórce.

- Cudowne! Rakoczy, musi pan to zobaczyć.

- Nie, dziękuję - odparł leniwie Rakoczy.

- Nie wiem, jak pani to robi, ale to najlepsza sztuczka, jaką kiedykolwiek widziałem. Och, a teraz co się stało?

Na wyświetlaczu widać było Leslie. Lord nacisnął jakiś klawisz.

- To moja przyjaciółka Leslie - westchnęłam tęsknie. -Zdjęcie zrobiłam w zeszłym tygodniu. W tle widać Marylebone High Street, kanapka jest z Pret a Manger, a to sklep Aveda, widzi pan? Mama

kupuje tam zawsze lakier do włosów. - Nagle ogarnęła mnie przemożna tęsknota za domem. - A tutaj jest kawałek taksówki. To taka dorożka, która jeździ bez koni.

- Ile pani chce za to cudowne pudełeczko? Zapłacę każdą cenę, każdą!

- Hmm, no nie, naprawdę, to nie jest na sprzedaż. Będę tego jeszcze potrzebowała. - Kręcąc z ubolewaniem głową, zamknęłam cudowne pudełeczko, to znaczy komórkę, i wsunęłam z powrotem do schowka w głębi dekoltu.

I w samą porę, bo właśnie otworzyły się drzwi. Hrabia i Gideon powrócili, hrabia z uśmiechem zadowolenia, Gideon raczej poważny. Teraz także Rakoczy podniósł się z krzesła.

Gideon rzucił mi badawcze spojrzenie. Przekornie odpowiedziałam mu tym samym. A może myślał, że tymczasem się stąd zmyję? Właściwie pewnie by mu to pasowało. W końcu jeszcze niedawno uczułał mnie na to, bym się go przez cały czas trzymała, a potem, przy pierwszej nadarzającej się okazji, zostawił mnie samą.

- I jak? Podobałoby się panu życie w dwudziestym pierwszym wieku, lordzie Brompton? - zapyta! hrabia.

- Bezwarunkowo! Ależ pan ma wspaniałe pomysły! - Lord zaklaska! w dłonie. - To było naprawdę wielce zabawne.

- Wiedziałem, że się panu spodoba. A temu biednemu dziecku mógł pan śmiało zaproponować, by usiadło.

- Ależ uczyniłem to. Ale ona wołała stać. - Lord nachylił się konspiracyjnie. - Ja naprawdę bardzo chętnie bym nabył ten srebrny relikwiarz, drogi hrabio.

- Srebrny relikwiarz?

- Musimy się już niestety pożegnać. - Gideon kilkoma krokami przemierzył pokój i stanął obok mnie.

- Rozumiem, rozumiem! Oczywiście, dwudziesty pierwszy wiek czeka! - zawołał lord Brompton. - Serdeczne dzięki za wizytę. To było zupełnie przecudownie zabawne.

- Mogę się pod tym podpisać obiema rękami - powiedział hrabia.

- Mam nadzieję, że ta przyjemność będzie nam jeszcze raz dana.

Rakoczy nie odezwał się słowem. Tylko na mnie patrzył. I nagle poczułam się tak, jakby ktoś przyłożył mi lodowatą dłoń do gardła. Wystraszona usiłowałam złapać oddech i spojrzałam w dół. Nic nie dostrzegłam. Mimo to bardzo wyraźnie czułam palce zaciskające się na mojej szyi.

*W każdej chwili mogę ścisnąć.*

To nie był Rakoczy, to był hrabia. Ale nawet nie poruszył wargami.

Zdezorientowana przeniosłam wzrok z jego ust na dłoń. Znajdowała się w odległości czterech metrów ode mnie. Jakim cudem mogła jednocześnie trzymać mnie za gardło? I dlaczego słyszałam w głowie jego głos, choć on nic nie mówił?

*Nie wiem dokładnie, jaką rolę grasz, panienko, i czy w ogóle jesteś ważna. Ale nie ścierpię, by ktoś łamał moje zasady. To tylko ostrzeżenie. Zrozumiałaś?*

Uścisk palców stał się mocniejszy.

Byłam sparaliżowana ze strachu. Mogłam się tylko na niego gapić i dyszeć, łapiąc powietrze. Czyżby nikt nie zauważył, co się ze mną dzieje?

*Pytam, czy zrozumiałaś.*

- Tak - wyszeptalam.

Uścisk natychmiast zelżał, dłoń się odsunęła. Powietrze zaczęło swobodnie wpływać do moich płuc.

Hrabia ściągnął usta i rozmasował sobie nadgarstek.

- Jeszcze się zobaczymy - powiedział.

Gideon się skłonił, mężczyźni również. Tylko ja stałam wyprostowana jak struna, nie mogąc się poruszyć. W końcu Gideon chwycił mnie za rękę i wyciągnął z pokoju.

Nawet gdy znaleźliśmy się znowu w powozie, napięcie nie ustępowało. Czułam się wyczerpana, bezsilna i w jakiś sposób także zbrukana.

Jak hrabia zdołał rozmawiać ze mną tak, że inni tego nie usłyszeli? I jak mu się udało dotknąć mnie, mimo że stał cztery metry ode mnie? Mama miała rację, to, co o nim mówiono, było prawdą: umiał wnikać do duszy innego człowieka i przejmować kontrolę nad jego uczuciami. Dałam się na

początku zwieść jego próżnemu, niezbornemu gadulstwu i jego starczemu wyglądowi. Podeszłam do niego zbyt bez troski.

Strasznie to głupie z mojej strony.

W ogóle za lekko podeszłam do całej tej historii, w którą się wplątałam.

Dorożka ruszyła z miejsca. Trzęsło tak samo mocno jak w drodze tutaj. Gideon wydał polecenie ubranemu na żółto Strażnikowi, żeby się pospieszył. Co prawda wcale nie było to konieczne, bo przecież już w tamtą stronę jechał tak, jakby mu życie było niemiłe.

- Wszystko z tobą w porządku? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. - Gideon zdjął płaszcz i położył go obok siebie. - Strasznie gorąco jak na wrzesień.

- Nie ducha - powiedziałam, niezdolna spojrzeć mu w oczy. Głos drżał mi lekko. - Tylko hrabiego de Saint Germain i jedną z tych jego sztuczek.

- Nie był dla ciebie zbyt uprzejmy - przyznał Gideon. - Ale tego należało się spodziewać.

Najwyraźniej miał zupełnie inną wizję tego, jaka powinnaś być.

Ponieważ milczałam, mówił dalej:

- W prorocztwach dwunasty podróżnik w czasie jest przedstawiany zawsze jako ktoś szczególny, wyjątkowy. „Magią kruka obdarzony”. Cokolwiek to znaczy. Hrabia w każdym razie wydawał się niespecjalnie wierzyć, że jesteś tylko zwyczajną dziewczyną.

Co dziwne, ta jego uwaga natychmiast rozwiązała we mnie owo paskudne uczucie bezsilności wywołane fantomowym dotykiem hrabiego. Zamiast wyczerpania i lęku poczułam teraz ogromną urazę. I wściekłość. Zagryzłam wargi.

- Gwendolyn?

- Co?

- Nie chciałem cię obrazić. Mówiąc „zwyczajna”, nie miałem na myśli „głupia”, raczej chodziło mi o „przeciętną”, rozumiesz?

Coraz lepiej.

- W porządku. - Spiorunowałam go wzrokiem. - Mam gdzieś, co o mnie myślisz.

Spokojnie wytrzymał mój wzrok.



- To nie twoja wina.
- Przecież w ogóle mnie nie znasz - prychnęłam.
- Może i tak - powiedział Gideon. - Ale znam całą masę takich dziewczyn jak ty. Wszystkie jesteście takie same.
  - Całą masę dziewczyn? Och!
  - Was interesują tylko fryzury, ciuchy, filmy i piosenkarze. Przez cały czas chichoczenie i chodzicie stadami do toalety. I obgadujecie Lisę, bo kupiła sobie u Marksa i Spencera bluzkę za pięć funtów.

Mimo że byłam wściekła, musiałam się roześmiać.

  - Chcesz powiedzieć, że wszystkie dziewczyny, które znasz, obgadują Lisę, bo kupiła sobie u Marksa i Spencera bluzkę za pięć funtów?
  - Wiesz, o co mi chodzi.
  - Tak, wiem, wiem. - Właściwie nie miałam ochoty mówić dalej, ale samo jakoś to ze mnie popłynęło. - Myślisz, że wszystkie dziewczyny, które różnią się od Charlotty, są puste i głupie. Tylko dlatego, że miały normalne dzieciństwo, a nie przez cały czas naukę fechtunku i misteriów. Tak naprawdę nigdy nie poznałeś normalnej dziewczyny, dlatego wymyśliłeś sobie te żalosne uprzedzenia.
- Uważaj sobie! Ja też byłem w liceum, tak samo jak ty.
  - No jasne! - Słowa wylewały się ze mnie wartkim strumieniem. - Jeśli przygotowywałeś się do swojej roli podróżnika w czasie choćby w połowie tak starannie jak Charlotta, to nie masz przyjaciół ani wśród dziewczyn, ani wśród chłopaków, a twoja opinia na temat tak zwanych przeciętnych dziewczyn opiera się na obserwacjach, które sobie urządzałeś, stojąc samotnie na szkolnym boisku. A może mi powiesz, że chłopaki z twojego internatu uważali twoje pasje typu łacina, gawot i powożenie bryczką za super, hiper i odpalowe?

Gideon wydawał się raczej rozbawiony niż obrażony.

  - Zapomniałeś o grze na altówce. - Odchylił się do tyłu i splótł ręce na piersi.
  - Na altówce? Serio? - Moja wściekłość ulotniła się tak nagle, jak się pojawiła. - Na altówce, ja nie mogę!

- Przynajmniej dostałaś teraz trochę kolorów na twarzy. Przed chwilą byłaś blada jak Miro Rakoczy.

Faktycznie, Rakoczy.

- Jak się to właściwie pisze?

- R-a-k-o-c-z-y - przeliterował Gideon. - Czemu pytasz?

- Chcę go wrzucić w Google.

- O, tak ci się spodobał?

- Spodobał? To wampir - powiedziałam. - Z Transylwanii.

- Owszem, pochodzi z Transylwanii. Ale nie jest wampirem.

- A skąd ty to możesz wiedzieć?

- Bo wampiry nie istnieją, Gwendolyn.

- Ach tak? Nie istnieją? Skoro istnieją wehikuły czasu... - „i ludzie, którzy są w stanie udusić kogoś, nawet go nie dotykając”, dodałam w myśli - to dlaczego nie mogą istnieć wampiry?

Spojrzałaś mu choć raz w oczy? Są jak czarne dziury.

To skutek okładów z belladony, z którymi eksperymentuje - wyjaśnił Gideon. - To trująca roślina, która rzekomo pomaga poszerzyć granice umysłu.

- A ty skąd o tym wiesz?

- Tak jest napisane w *Kronikach Strażników*. Rakoczy jest tam nazywany Czarnym Lampartem. Dwukrotnie ocalił hrabiemu życie. Jest bardzo silny i niezwykle biegle posługuje się bronią.

- Kto chciał zabić hrabiego? Gideon wzruszył ramionami.

- Taki człowiek jak on ma wielu wrogów.

- W to nietrudno uwierzyć. Ale odniosłam wrażenie, że sam potrafi się dobrze upilnować.

- Bez wątplenia - zgodził się ze mną Gideon. Zastanawiałam się, czy powinnam mu opowiedzieć, co zrobił

hrabia, ale w końcu zdecydowałam, że nie. Gideon nie tylko był dla niego uprzejmy, dla mnie to wyglądało tak, jakby jego i hrabiego łączyła jakaś szczególna, mocna więź. „Nie ufaj nikomu”.

- Ty naprawdę udałeś się w przeszłość do tych wszystkich ludzi i pobrałeś od nich krew? - zapytałam.

Gideon skinął głową.

- Z tobą i ze mną teraz już ośmioro z dwanaściorga podróżników w czasie zostało wczytanych do chronografu. Pozostałą czwórkę jeszcze znajdę.

Przypomniały mi się słowa hrabiego.

- Jak mogłeś pojechać z Londynu do Paryża i Brukseli? -zapytałam. - Chodzi o to, że czas, jaki można spędzić w przeszłości, jest ograniczony do kilku godzin.

- Ściśle biorąc, do czterech - powiedział Gideon.

- W ciągu czterech godzin za nic w świecie nie dałoby się w tamtych czasach dojechać z Londynu do Paryża, nie mówiąc o tym, żeby jeszcze zatańczyć gawota i pobrać od kogoś krew.

- To prawda. I dlatego najpierw pojechaliliśmy z chronogra-fem do Paryża, głuptasie. To samo zrobiliśmy z Brukselą, Mediolanem i Bath. Pozostałych znalazłem w Londynie.

- Rozumiem.

- Naprawdę? - Uśmiech Gideona znów był pełen drwiny. Tym razem go zignorowałam.

- Tak, tak, powoli zaczynam rozumieć parę rzeczy. - Wyjrzałam przez okno. - Ale w tamtą stronę nie jechaliśmy koło tych łąk, prawda?

- To jest Hyde Park - powiedział Gideon, nagle mocno skoncentrowany i spięty. Wychylił się z powozu. - Hej, Wil-bour, czy jak tam się nazywasz, dlaczego jedziemy tędy? Musimy najkrótszą drogą dostać się z powrotem do Tempie!

Człowiek na koźle odpowiedział coś, czego nie zrozumiałam.

- Zatrzymaj się natychmiast - rozkazał Gideon. Gdy się do mnie odwrócił, zobaczyłam, że zbladł.

- Co się dzieje?

- Nie wiem. Ten człowiek twierdzi, że otrzymał rozkaz dowiezienia nas na południowy kraniec parku, w umówione miejsce.

Konie zatrzymały się i Gideon otworzył drzwi powozu.

- Coś się tu nie zgadza. Do przeskoku w czasie pozostało nam niewiele czasu. Przejmę powożenie i zawiozę nas do Tempie. - Wysiadł i zamykając drzwi powozu, dodał: - A ty masz zostać w środku, obojętnie, co się będzie działo.

W tym momencie rozległ się huk. Skuliłam się instynktownie. Choć znałam ten dźwięk tylko z filmów, od razu wiedziałam, że to musiał być strzał. Usłyszałam cichy krzyk, konie zarżały, dorożka poderwała się w przód, ale potem, chybotając, stanęła w miejscu.

- Schyl się! - zawołał Gideon i popchnął mnie na ławkę. Padł drugi strzał. Cisza, która po nim nastąpiła, była nie do wytrzymania.

- Gideon? - Wyprostowałam się i wyjrzałam na zewnątrz. Za oknem, na łące, Gideon dobył szpady.

- Powiedziałem ci, nie ruszaj się stamtąd!

Dzięki Bogu, żył jeszcze. Możliwe jednak, że już niedługo. Jak z nicości wyłoniło się naraz dwóch mężczyzn, obaj ubrani na czarno, trzeci zaś zbliżał się na koniu od strony cieni rzucanych przez drzewa. W ręku miał srebrzyście połyskujący pistolet.

Gideon bił się z oboma mężczyznami jednocześnie, wszyscy walczyli w milczeniu, nie było słyhać nic poza ich postękiwaniami i brzękiem zwierających się kling. Przez kilka sekund przyglądałam się zafascynowana, jak zręcznie radzi sobie Gideon. To było jak w filmie, każdy wypad, każdy cios, każdy skok był wykonany perfekcyjnie, jak gdyby kaskaderzy cyzelowali choreografię przez wiele dni. Ale gdy jeden z mężczyzn krzyknął i osunął się na kolana, a z jego szyi trysnęła fontanna krwi, natychmiast oprzytomniałam. To nie był żaden film, to się działo naprawdę. I nawet jeśli szpady mogły być śmiertelnością bronią (trafiony mężczyzna leżał tymczasem w drgawkach na ziemi, wydając z siebie straszliwe jęki), to w konfrontacji z pistoletami wydawały mi się mało skuteczne. Dlaczego Gideon nie nosił przy sobie pistoletu? Przecież zabranie z domu tak praktycznej broni byłoby dziecinnie proste. No i gdzie podział się woźnica, dlaczego nie walczył u boku Gideona?

- Kim jesteście? Czego chcecie? - zapytał Gideon.

- Niczego więcej poza twoim życiem, panie - powiedział ten mężczyzna, który dołączył do nich ostatni.

- Zatem tego właśnie nie dostaniecie!

- Weźmiemy sobie! Możesz być tego pewien!

I znowu walka rozgrywająca się za oknem powozu wyglądała jak wyćwiczony balet, ale trzeci mężczyzna, ten ranny, leżał teraz bez życia na ziemi, a pozostali musieli go omijać.

Gideon parował każdy cios, jak gdyby potrafił z góry przewidzieć zamiary przeciwnika, ale tamci również na pewno od dziecka pobierali lekcje fechtunku. Naraz zobaczyłam, jak szpada przeciwnika sunie ze świstem w stronę jego ramienia, podczas gdy Gideon zajęty był parowaniem ciosu tego drugiego.

I tylko delikatny zwrot w bok przeszkodził napastnikowi, który prawdopodobnie uciąłby mu pół ręki. Usłyszałam dźwięk pękającego drewna, gdy szpada zamiast w Gideona uderzyła w powóz.

To wszystko nie mogło się dziać naprawdę! Kim byli ci ludzie i czego od nas chcieli?

Pospiesznie przesunęłam się na ławce i wyjrzałam przez okno po drugiej stronie powozu. Czy nikt nie zauważył, co się tutaj dzieje? Czy naprawdę można było w biały dzień zostać napadniętym w Hyde Parku? Walka zdawała się trwać całą wieczność.

Choć Gideon dobrze sobie radził z napastnikami, nie wyglądało na to, by kiedykolwiek mógł zdobyć nad nimi przewagę. Tamci dwaj mężczyźni będą go otaczać coraz ciaśniej i wreszcie go pokonają.

Nie miałam pojęcia, ile czasu upłynęło od strzału ani ile czasu pozostało jeszcze do naszego przeskoku w czasie. Prawdopodobnie zbyt dużo, by mieć nadzieję, że na oczach napastników rozplniemy się w powietrzu. Nie mogłam już dłużej wytrzymać w powozie i tak po prostu się przyglądać, jak ci dwaj zabijają Gideona.

Może udałoby mi się wydostać przez okno i sprowadzić pomoc?

Przez krótką chwilę obawiałam się, czy ogromna suknia zmieści się w tym otworze, ale po sekundzie stałam już na piaszczystej drodze, próbując zorientować się w naszym położeniu.

Z tamtej strony powozu słychać było tylko jęki, przekleństwa i bezlitosny brzęk metalu uderzającego o metal.

- Poddaj się po prostu, panie - wysapał jeden z tych obcych.
- Przenigdy! - odpowiedział Gideon.

Ostrożnie poszłam naprzód, do koni. O mało się przy tym nie wywróciłam, potknąwszy się o coś żółtego. Z trudem stłumiłam okrzyk. To był ten człowiek w żółtym żakiecie. Zsunął się z kozła i leżał na plecach w piasku. Z przerażeniem dostrzegłam, że brakowało mu części twarzy, a jego odzież była przesiąknięta krwią. Jego szeroko otwarte oko w nieuszkodzonej części twarzy wpatrywało się w nicość.

To dla niego był przeznaczony strzał, który usłyszałam przedtem. Widok był zbyt straszny, czułam, jak wszystko przewraca mi się w żołądku. Jeszcze nigdy nie widziałam martwego człowieka. Ileż bym dała, żeby siedzieć teraz w kinie i móc po prostu odwrócić oczy od ekranu!

Ale to tutaj działo się naprawdę. Ten człowiek nie żył, a tam, po drugiej stronie, Gideonowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Z otępienia wyrwał mnie brzęk żelaza. Gideon jęknął i to już całkowicie przywróciło mnie do rzeczywistości.

Zanim zdążyłam się zastanowić, co robię, spostrzegłam szpadę przytroczoną do boku martwego mężczyzny i szybko ją odpięłam.

Okazała się cięższa, niż myślałam, ale od razu poczułam się lepiej. Wprawdzie nie miałam pojęcia, jak należy obchodzić się z bronią, ale z całą pewnością szpada była ostra i spiczasta.

Odgłosy walki nie milkły. Zaryzykowałam i wychyliłam się, żeby sprawdzić sytuację. Zobaczyłam, że tamtym mężczyznom udało się przyprzeć Gideona plecami do powozu. Kilka kosmyków wysunęło mu się z warkocza i opadło na czoło. W jednym rękawie ziała głęboka dziura, ale ku swej uldze nigdzie nie dostrzegłam krwi. Na razie więc nie odniósł ran.

Po raz ostatni rozejrzałam się na wszystkie strony, jednak znikąd nie można było oczekiwać pomocy. Zważyłam szpadę w dłoni i zdecydowanie postąpiłam do przodu. Moje pojawienie się powinno przynajmniej odwrócić ich uwagę i może dzięki temu Gideon zyska trochę czasu.

W rzeczywistości jednak stało się zupełnie inaczej. Ponieważ obaj mężczyźni walczyli zwróćeni do mnie plecami, nie dostrzegli mnie, natomiast oczy Gideona rozszerzyły się z przerażenia na mój widok.

Przez ułamek sekundy zawahał się i to wystarczyło jednemu z ubranych na czarno mężczyznom, by jeszcze raz go trafić, niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym rozdarty był rękaw.

Tym razem połała się krew. Gideon walczył jednak dalej, tak jakby nic się nie stało.

- Już długo nie wytrzymasz, panie! - krzyknął tamten mężczyzna triumfująco i jeszcze gwałtowniej natarł na Gideona. - Módl się, jeśli potrafisz! Bo za chwilę staniesz przed obliczem Stwórcy.

Chwyciłam oburącz rękojeść szpady i ruszyłam do przodu, nie zważając na przerażone spojrzenie Gideona. Tamci mężczyźni nie słyszeli, że nadchodzę. Moją obecność zauważyli dopiero wtedy, gdy miecz przejechał po obleczonych czarnym płaszczem plecach jednego z nich, nie napotykając żadnego oporu. Przez jedną straszliwą chwilę myślałam, że chybiłam, że być może trafiłam akurat dokładnie w lukę między tułowiem a ramieniem, ale potem mężczyzna, charcząc, upuścił szpadę i runął na ziemię niczym ścięty pień drzewa. Dopiero kiedy upadł, puściłam rękojeść szpady.

O mój Boże!

Gideon wykorzystał chwilę przerażenia drugiego z mężczyzn i zadał mu cios, który powalił go na kolana.

- Zwariowałaś? - wrzasnął na mnie, odkopując na bok szpadę przeciwnika i przystawiając mu czubek własnej szpady do gardła.

Z mężczyzny jakby uszło powietrze.

- Proszę... nie zabijaj mnie, panie - powiedział. Zaczęłam szczękać zębami.

To się nie mogło wydarzyć. Właśnie przed chwilą przebiłam człowieka szpadą.

Tamten zaczął charczeć. Ten drugi wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać.

- Kim jesteście i czego od nas chcecie? - spytał zimno Gideon.

- Uczyniłem tylko to, czego ode mnie zażądano. Proszę!

- Kto i czego od was zażądał?

Spod czubka szpady przytkniętej do jego gardła wypłynęła kropelka krwi. Gideon zacisnął usta, jak gdyby z trudem tylko mógł się opanować, by nie puścić szpady w ruch.

- Nie znam nazwisk, przysięgam.

Zniekształcona strachem twarz zaczęła się rozmywać przed moimi oczami, zieleń łąk zawirowała wokół mnie, nieomal z ulgą dałam się porwać temu wirowi i zamknęłam powieki.



### 13.

**Wylądowałam** miękko pośrodku mojej własnej sukni, ale nie byłam w stanie się podnieść. Zdawało mi się, że wszystkie kości z moich nóg gdzieś znikły, cała się trzęsłam i szczękałam zębami jak oszaląca.

- Wstawaj! - Gideon podał mi dłoń. Szpadę przytroczył na powrót do pasa. Z przerażeniem spostrzegłam, że lepi się od krwi. - Chodź, Gwendolyn! Ludzie się na nas gapią.

Był już wieczór i dawno zapadła ciemność, ale my wylądowaliśmy pod latarnią w parku. Biegacz ze słuchawkami na uszach minął nas truchtem, rzucając nam zdziwione spojrzenie.

- Mówiłem ci, że masz zostać w powozie! - Ponieważ nie reagowałam, Gideon złapał mnie za rękę i poderwał z ziemi. Twarz miał bladą jak ściana. - To było strasznie lekkomyślne i ogromnie... niebezpieczne, i...

Przełknął ślinę i wlepił we mnie wzrok.

- I, do wszystkich diabłów, dość odważne.

- Myślałam, że czujesz, kiedy trafiasz kogoś w żebra - wykrztusiłam, szczękając zębami. - Nie wiedziałam, że to takie uczucie, jakby... jakby się kroilo tort. Dlaczego ten człowiek nie miał kości?

- Na pewno miał - powiedział Gideon. - Trafiłaś go akurat gdzieś pomiędzy.

- Czy on umrze?

- Jeśli to był czysty cios, to nie. Ale osiemnastowieczną medycynę trudno porównać z serialem *Chirurdzy*.

Jeśli to był czysty cios? Cóż to znaczy? Jak cios może być czysty?

Co ja narobiłam? Może właśnie zabiłam człowieka! Ta myśl sprawiła, że o mały włos znowu nie osunęłam się na ziemię. Ale Gideon mnie przytrzymał.

- Chodź, musimy wrócić do Tempie. Będą się o nas martwić. Najwyraźniej dokładnie wiedział, gdzie się znaleźliśmy, bo

pociągnął mnie zdecydowanie za sobą, mijając dwie kobiety, które spacerowały z psami i gapiły się na nas.

- I proszę, przestań szczękać zębami. To brzmi okropnie.

- Jestem morderczynią - powiedziałam.

- Słyszałaś już kiedyś o obronie koniecznej? Broniłaś się. A mówiąc precyzyjniej, broniłaś mnie.

Uśmiechnął się do mnie krzywo i przemknęło mi przez głowę, że jeszcze godzinę temu mogłabym przysiąc, że nigdy w życiu nie zdołałby się do czegoś takiego przyznać.

Bo też i nie zdołał.

- Nie, żeby to było konieczne - dodał.

- Jak to nie było konieczne? A co z twoją ręką? Ty krwawisz!

- Nie jest tak źle. Doktor White mi to opatrzy.

Przez chwilę szliśmy obok siebie w milczeniu. Chłodne wieczorne powietrze dobrze na mnie działało, puls powoli wracał do normy i przestałam szcząkać zębami.

- Serce mi stanęło, kiedy nagle cię zobaczyłem.

Puścił moją rękę. Najwyraźniej uznał, że dam już radę sama utrzymać się na nogach.

- Dlaczego nie miałeś przy sobie pistoletu? - zaintrygowałam go. - Tamten człowiek miał!

- Nawet dwa! - powiedział Gideon.

- To dlaczego ich nie użył?

- Ależ użył. Zastrzelił biednego Wilboura, a kula z drugiego pistoletu minęła mnie o włos.

- Ale dlaczego nie wystrzelił jeszcze raz?

- Bo każdy pistolet ma tylko jeden strzał, głuptasie. Te małe praktyczne rewolwery, które widziałas na filmach z Jamesem Bondem, jeszcze nie zostały wynalezione.

- Ale teraz są już wynalezione! Dlaczego zabierasz ze sobą w przeszłość tę głupią szpadę, a nie weźmiesz porządnego pistoletu?

- Przecież nie jestem płatnym zabójcą - odrzekł Gideon.

- Ale to jest... to znaczy... co jeszcze można mieć z tego, że przybywa się z przyszłości? Och! To my jesteśmy tutaj!

Wyszliśmy dokładnie na Apsley House koło Hyde Park Cor-ner. Wieczorni spacerowicze, biegacze i właściciele psów patrzyli na nas z nieukrywanym zdziwieniem.

- Weźmiemy taksówkę do Tempie - powiedział Gideon.

- Masz przy sobie kasę?
- Oczywiście, że nie.
- Ale za to ja mam komórkę - powiedziałam i wyciągnęłam telefon zza dekoltu.
- Ach, to jest ten srebrny relikwiarz! Tak sobie właśnie myślałem. Ty idio... dawaj to!
- Hej! To mój telefon!
- I co z tego? Znasz numer?

Gideon już wystukiwał numer na klawiaturze.

-Przepraszam, moja kochana... - Jakaś starsza pani pociągnęła mnie za rękaw. - Po prostu muszę panią o to zapytać. Czy państwo są może z teatru?

- Hmm, no tak - odpowiedziałam.

- Tak właśnie myślałam. - Kobieta z trudem mogła utrzymać na smyczy jamniczkę, która ciągnęła mocno w stronę innego psa, kilka metrów dalej. - To wygląda tak cudownie autentycznie, tylko kostiumolog potrafi zrobić coś takiego. Wie pani, ja w młodości też bardzo dużo szyłam... Polly! Nie ciągnij mnie tak!

- Zaraz po nas przyjadą - oznajmił Gideon i oddał mi komórkę. - Podejdziemy do rogu Piccadilly.

- A gdzie można podziwiać wasze przedstawienie?

- Hmm, znaczy... dzisiaj wieczorem był ostatni spektakl -powiedziałam.

- Och, jaka szkoda.

- Też tak uważam.

Gideon pociągnął mnie za sobą.

- Dowidzenia.

- Nie rozumiem, jak ci ludzie mogli nas znaleźć. I jakie rozkazy skłoniły Wilboura do tego, żeby zawieźć nas do Hyde Parku. Przecież nawet nie mieliby czasu na przygotowanie zasadzki - mruczał do siebie Gideon. Tu, na ulicy, ludzie gapili się na nas jeszcze bardziej niż w parku. - Ktoś wiedział, że tam będziemy. Ale skąd? Jak to w ogóle możliwe?

- Wilbour... on miał jedno oko... - Nagle zebrało mi się na wymioty.

- Co ty wyprawiasz? Dławiłam się, ale nic nie poszło.

- Gwendolyn, musimy jeszcze przejść kawałek. Weź kilka głębokich oddechów i ci przejdzie. Zatrzymałam się. Miarka się przebrała.

- Przejdzie mi? - Choć właściwie chciało mi się raczej wrzeszczeć, zmusiłam się, by mówić powoli i wyraźnie. - Przejdzie mi to, że właśnie zabiłam człowieka? Przejdzie mi to, że całe moje życie nagle stanęło na głowie? Przejdzie mi to, że bezczelny długowłosey, ubrany w jedwabne pończochy, grający na skrzypcach drań nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko bez przerwy mną komenderować, chociaż właśnie uratowałam mu jego zasrane życie? Oświadczam ci, że mam wszelkie powody do tego, żeby się teraz porzygać! I jeśli cię to ciekawi, jesteś jednym z tych powodów! Rzygać mi się chce!

No dobra, ostatnie zdanie może i trochę wykrzyczałam, ale niezbyt głośno. Nagle zorientowałam się, jak dobrze było wyrzucić z siebie to wszystko. Po raz pierwszy tego dnia poczułam się naprawdę wolna i przestało mnie mdlić.

Gideon patrzył na mnie kompletnie zaskoczony. Gdyby nie to, że byłam całkowicie załamana, pewnie bym się roześmiała. Ha! Wreszcie najwyraźniej jemu też odebrało mowę!

- A teraz chcę do domu - zakończyłam, by z jak największą godnością ukoronować swoje zwycięstwo.

Niestety, tak do końca mi się to nie udało, bo na myśl o rodzinie usta nagle zaczęły mi drżeć i poczułam, jak do oczu napływają mi łzy.

Cholera, cholera, cholera!

- Już dobrze - powiedział Gideon.

Jego zaskakująco łagodny ton obrócił wniwecz moje opanowanie. Łzy pociekły mi z oczu i nie mogłam nic na to poradzić.

- Hej, Gwendolyn. Przykro mi. - Gideon podszedł do mnie całkiem blisko, chwycił mnie za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Co za idiota ze mnie, nie pomyślałem, jakie to musi dla ciebie być trudne - wymamrotał gdzieś na ukos od mojego ucha.

- A przecież jeszcze pamiętam, jakie to było dziwne uczucie, kiedy pierwszy raz przeskoczyłem w czasie. Mimo nauki fechtunku. Nie mówiąc o lekcjach gry na altówce...

Pogładzi! moje włosy. Chlipnęłam jeszcze głośniej.

- Nie płacz - powiedział bezradnie. - Wszystko będzie dobrze.

Ale nic nie było dobrze. Wszystko było straszne. Ta dzika pogoń dziś w nocy, kiedy wzięto mnie za złodziejkę, koszarne oczy Rakoczego, hrabia z tym jego głosem zimnym jak lód i dłonią ściskającą moje gardło i wreszcie biedny Wilbour, i ten człowiek, któremu zadałam cios w plecy. Nie mówiąc o tym, że nie umiałam powiedzieć Gideonowi, co o tym myślę, i nie wybuchnąć przy tym płaczem, tak żeby nie musiał mnie pocieszać.

Wyrwałam mu się.

O niebiosa, gdzie się podział mój szacunek do samej siebie?

Zmieszana otarłam sobie dłonią twarz. - Chcesz chusteczkę? - zapytał i z uśmiechem wyjął z kieszeni haftowaną chusteczkę w kolorze cytryny. - W czasach rokoko niestety nie było jeszcze chusteczek higienicznych. Potraktuj ją jako prezent.

Wyciągałam właśnie po nią rękę, kiedy obok nas zatrzymała się czarna limuzyna.

W środku czekał na nas pan George, z łysiną całą pokrytą drobnymi kropelkami potu, i na jego widok myśli krążące swobodnie w mojej głowie uspokoiły się nieco. Pozostało jedynie śmiertelne zmęczenie.

- Omal nie umarliśmy ze strachu - powiedział pan George. - Och, mój Boże, Gideonie, co ci się stało w rękę? Ty krwawisz! A Gwendolyn jest kompletnie wykończona. Jest ranna?

- Tylko wyczerpana - rzekł krótko Gideon. - Zawieziemy ją do domu.

- Ależ to niemożliwe. Musimy was oboje zbadać i trzeba jak najszybciej opatrzyć twoją ranę.

- Już dawno przestała krwawić, to tylko zadrapanie, naprawdę. Gwendolyn chce wrócić do domu.

- Może jej elapsja nie trwała wystarczająco długo. Przecież jutro musi iść do szkoły i...

- Panie George. - Głos Gideona przybrał tak dobrze mi znany arogancki ton, ale tym razem nie był on skierowany do mnie. - Nie było jej przez trzy godziny, to dość na następne osiemnaście godzin.

- Prawdopodobnie dość - zgodził się pan George. - Ale to wbrew zasadom, a poza tym musimy się dowiedzieć, czy...

- Panie George!

Dał za wygraną, obrócił się i zastukał w okno szoferki. Szyba z szelestem spłynęła w dół.

- Proszę skrócić w prawo, w Berkeley Street - powiedział. - Nadłożymy trochę drogi. Bourdon Place, numer 81.

Gdy auto wtoczyło się w Berkeley Street, odetchnęłam z ulgą. Mogłam wrócić do domu. Do mamy.

Pan George przygląda! mi się z powagą. Miał wzrok pełen współczucia, jakby jeszcze nigdy nie widział nic tak pożałowania godnego jakja.

- Na miłość boską, co się wydarzyło?

Ciągle jeszcze zmęczenie ciążyło mi niczym ołów.

- Trzech mężczyzn napadło na nasz powóz w Hyde Parku - wyjaśnił Gideon. - Woźnica został zastrzelony.

- O mój Boże - powiedział pan George. - Wprawdzie nic nie rozumiem, ale to ma sens.

- Co takiego?

- Tak napisano w Kronikach. Data 14 września 1782 roku. Strażnika drugiego stopnia, Jamesa Wilboursa, znaleziono martwego w Hyde Parku. Kula wyrwała mu pół twarzy. Nigdy się nie dowiedziano, kto to uczynił.

- Teraz już wiemy - rzekł ponuro Gideon. - To znaczy wiem, jak wyglądał morderca, ale nie znam jego nazwiska.

- A ja go zabiłam - powiedziałam tępo.

- Co?

- Wbiła zabójcy Wilboursa szpadę w plecy - wyjaśnił Gideon. - Ale czy go faktycznie zabiła, nie wiemy.

Niebieskie oczy pana George'a zrobiły się okrągłe jak monety.

- Co zrobiła?!

- Było dwóch na jednego - mruknęłam. - Przecież nie mogłam spokojnie się temu przyglądać.

- Było trzech na jednego - poprawił mnie Gideon. - I jednego z nich zdążyłem już załatwić.

Mówiłem ci, że masz zostać w powozie, obojętnie, co się będzie działo.

- Nie wyglądało na to, żebyś miał jeszcze długo wytrzymać - powiedziałam, nie patrząc na niego.

Gideon milczał, a pan George patrzył to na Gideona, to na mnie i potrząsał głową.

- Cóż za katastrofa! Twoja matka mnie zabije, Gwendolyn! To miała być całkiem bezpieczna akcja. Rozmowa z hrabią, w tym samym domu, bez żadnego ryzyka. Ani przez sekundę nie miało ci grozić niebezpieczeństwo. A zamiast tego przejechaliście przez pół miasta i daliście się napaść rozbójnikom... Gideon, na miłość boską, coś ty sobie wyobrażał?

- Poszłoby zupełnie gładko, gdyby ktoś nas nie zdradził. - Gideon mówił wzburzonym tonem. - Ktoś musiał wiedzieć o naszej wizycie. Ktoś, kto zdołał nakłonić Wilboura do tego, żeby zawiózł nas na ustalone miejsce w Hyde Parku.

- Ale dlaczego ktoś chciałby was zabić? I kto mógł wiedzieć o waszej wizycie właśnie tego dnia? Przecież to nie ma sensu. - pan George zagryzł dolną wargę. - No, to jesteśmy.

Spojrzałam w górę. Tak, tu był nasz dom, z oknami rozjarzonymi światłem. Gdzieś tam w środku czekała na mnie mama.

I moje łóżko.

- Dziękuję - powiedział Gideon. Odwróciłam się w jego stronę.

- Za co?

- Być może... być może rzeczywiście już długo bym nie wytrzymał. - Krzywy grymas przemknął mu przez twarz. - Myślę, że faktycznie uratowałam moje zasrane życie.

Och! Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Mogłam się tylko na niego gapić. Zauważyłam, że dolna warga znowu zaczęła mi drżeć.

Gideon szybko wyciągnął koronkową chusteczkę. Tymrazem ją wzięłam.

- Najlepiej wytrzymaj sobie twarz, bo twoja mama mogłaby zauważyć, że płakałaś - powiedział.

Miało mnie to rozśmieszyć, ale w tamtej chwili było to niemożliwe. Przynajmniej jednak nie rozryczałam się po raz kolejny.

Kierowca otworzył drzwi samochodu i pan George wysiadł.

- Odprowadzę ją do drzwi, Gideonie, to potrwa tylko chwilę.
- Dobranoc - wydusiłam z siebie.
- Spij dobrze. - Gideon uśmiechnął się. - Zobaczymy się jutro.

- Gwen! Gwenny! - Caroline potrząsała mną, starając się mnie dobudzić. - Spóźnisz się, jeśli zaraz nie wstaniesz! Proszę, wstawaj!

Naciągnęłam sobie koldrę na głowę. Nie chciałam się budzić, jeszcze we śnie wiedziałam, że czekają na mnie straszliwe wspomnienia, jeśli opuszczę ten błogosławiony stan półsnu.

- Serio, Gwenny! Już jest piętnaście po!

Na próżno zaciskałam powieki. Wspomnienia wdarły się do mojej głowy niczym... hmmm... niczym Attyła w szeregi Wandali? Z historii naprawdę byłam straszną nogą.

Przed moimi oczami przetoczyły się niczym kolorowy film wydarzenia dwóch ostatnich dni. Nie mogłam sobie jednak przypomnieć, jak znalazłam się w łóżku. Pamiętałam tylko, jak wczoraj wieczorem pan Bernhard otworzył mi drzwi.

„Dobry wieczór, panno Gwendolyn. Dobry wieczór, panie George”.

„Dobry wieczór, panie Bernhardzie. Przywiozłem Gwendolyn do domu trochę wcześniej, niż to było zaplanowane. Proszę przekazać moje pozdrowienia lady Ariście”.

„Oczywiście. Dobranoc, sir”. Zamykając drzwi za panem George'em, pan Bernhard miał jak zawsze niewzruszoną minę. „Ładna suknia, panno Gwendolyn - powiedział do mnie po chwili. - Koniec osiemnastego wieku?”.

„Chyba tak”. Byłam tak zmęczona, że mogłabym się położyć na dywanie i natychmiast zasnąć. Jeszcze nigdy tak bardzo nie stęskniłam się za swoim łóżkiem. Bałam się tylko, że w drodze na trzecie piętro natknę się na ciotkę Glendę, Charlotte i lady Aristę, a one zasypią mnie wyrzutami, drwinami i pytaniami.

„Niestety, panie zjadły już kolację. Ale przygotowałem dla panienki małą przekąskę w kuchni”.

„Och, to bardzo miłe, panie Bernhardzie, aleja...”.



„Panienska chciałaby się położyć - powiedział pan Bernhard i na jego twarzy pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech. - Proponuję, by udała się panienska prosto do swej sypialni, wszystkie panie są w pokoju muzycznym, i jeśli przekradnie się panienska jak kot, nic nie usłyszą. Potem powiadomię panią Shepherd, że panienska wróciła, i dam jej przekąskę, żeby zabrała dla panienki na górę”.

Byłam zbyt zmęczona, by zdziwić się jego zapobiegliwością i troską. Mruknęłam tylko: „Wielkie dzięki, panie Bernhardzie” i poszłam po schodach na górę. Przekąskę i rozmowę z mamą pamiętam jak przez mgłę, bo już wtedy na wpół spałam. Na pewno nie byłam w stanie niczego pogryźć. Ale może to była zupa.

- Och, jakie to piękne! - Caroline odkryła suknię, która razem z obszytą falbankami halką wisiała przewieszona przez krzesło. - Przyniosłaś to ze sobą z przeszłości?

- Nie. Już wcześniej miałam ją na sobie. - Wyprostowałam się. - Czy mama opowiadała wam, co się stało?

Caroline skinęła głową.

- Wcale nie musiała dużo opowiadać. Ciotka Glenda tak się darła, że sąsiedzi teraz też na pewno wszystko wiedzą. Zachowywała się tak, jakby mama była podłą oszustką, która wykradła biednej Char lotcie gen podróży w czasie.

- A Charlotta?

- Poszła do swojego pokoju i już z niego nie wyszła, choć ciotka Glenda błagała ją na kolanach. Ciotka Glenda wrzeszczała, że życie Charlotty zostało zmarnowane i że to wszystko wina mamy. Babcia powiedziała, żeby ciotka Glenda wzięła tabletkę, inaczej będzie zmuszona wezwać lekarza. A ciotka Maddy cały czas się wtrącała i gadała coś o orle, o szafirze, o jarzębinie i o zegarze na wieży.

- To musiało być straszne - powiedziałam.

- Strasznie ciekawe - uściśliła Caroline. - Stwierdziliśmy razem z Nickiem, że to dobrze, że ty masz ten gen, a nie Charlotta. Moim zdaniem poradzisz sobie ze wszystkim równie dobrze jak Charlotta, chociaż ciotka Glenda mówi, że masz rozum wielkości ziarnka grochu i dwie lewe nogi. Strasznie jest bezczelna. - Poglaskała lśniąca tkaninę gorsetu. - Pokażesz mi dziś po szkole, jak wyglądasz w tej sukni, co?

- Jasne. Ale jak chcesz, też ją możesz przymierzyć. Caroline zachichotała.

- Przecież ona jest na mnie za duża, Gwenny! A teraz już naprawdę musisz wstać, bo inaczej nie dostaniesz śniadania.

Całkiem obudziłam się dopiero pod prysznicem. Kiedy myłam włosy, moje myśli nieubłaganie krążyły wokół wczorajszego wieczora, a ściślej biorąc, wokół tej półgodziny (czas odczuwany), którą spędziłam, rycząc jak bóbr w ramionach Gideona.

Przypominałam sobie, jak przytulił mnie do siebie i pogłaskał po włosach. Byłam tak wykończona, że w ogóle nie pomyślałam o tym, jak bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Ale tym bardziej było mi teraz głupio. Szczególnie dlatego, że wbrew swoim zwyczajom był dla mnie naprawdę miły (nawet jeśli tylko z czystego współczucia). A przecież założyłam sobie, że będę go nienawidzić do końca moich dni.

- Gwenny! - Caroline zastukała do drzwi łazienki. - No chodź już! Nie możesz bez końca siedzieć w łazience.

Miała rację. Nie mogłam tu siedzieć bez końca. Musiałam wyjść - z powrotem w to śmieszne nowe życie, które nagle dostałam. Zakręciłam kran z ciepłą wodą i pozwoliłam tak długo spływać lodowatemu strumieniowi po moim ciele, aż wypłukał z niego ostatnie resztki zmęczenia. Mój mundurek pozostał w szwalni madame Rossini, a dwie bluzki były w praniu, dlatego musiałam włożyć drugi komplet, który był już na mnie trochę za mały. Bluzka opinała się na piersiach, a spódnica była odrobinę za krótka. A niech tam. Ciemnoniebieskie szkolne buty też zostały w Tempie, więc wzięłam czarne adidas, co w zasadzie było zabronione. Ale może dyrektor Gilles właśnie dzisiaj nie zrobi kontrolnego przejścia po klasach.

Na wysuszenie włosów nie było już czasu, wytarłam je więc ręcznikiem na tyle, na ile się dało, i przeczesalam. Wilgotne i gładkie opadły mi na ramiona. Po jedwabistych lokach, wyczarowanych wczoraj przez madame Rossini, nie zostało ani śladu.

Przez moment przyglądałam się swojej twarzy w lustrze. Nie wyglądałam na zbyt wyspaną, ale w sumie było lepiej, niż można by się spodziewać. Rozsmarowałam sobie na policzkach i i czole odrobinę kremu przeciwzmarszczkowego mamy. Na to nigdy nie jest za wcześnie, powtarza zawsze mama.

Chętnie zrezygnowałabym ze śniadania, ale przecież i tak musiałam kiedyś stanąć oko w oko z ciotką Glendą i Charlottą, i więc lepiej było mieć to już za sobą.

- Wielki ptak jest symbolem nieszczęścia - usłyszałam głos i ciotecznej babki Maddy. O rany! Zwykle nie wstawała przed dziesiątą, była śpiochem i uważała śniadanie za jedyny zbędny posiłek w ciągu dnia. - Szkoda, że nikt mnie nie słucha. ,

- Ależ Maddy! Nikt nie jest w stanie pojąć twoich wizji! Słyszeliśmy to już co najmniej dziesięć razy. - To była lady Arista.

- No właśnie - powiedziała ciotka Glenda. - Jeśli jeszcze raz usłyszę słowo „szafirowe jajo”, zacznę krzyczeć.

- Dzień dobry - odezwałam się.

Nastąpiła chwila ciszy. Wszyscy gapili się na mnie, jakbym była sklonowaną owieczką Doiły.

- Dzień dobry, dziecko - powiedziała po chwili lady Arista. - Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

- Tak, dziękuję, wspaniale. Byłam bardzo zmęczona.

- To na pewno było zbyt dużo jak dla ciebie - rzuciła wyniośle ciotka Glenda.

Faktycznie, było. Opadłam na krzesło, naprzeciw Charlotty, która nawet nie tknęła swojej grzanki. Spojrzała na mnie tak, jakby to dopiero mój widok odebrał jej resztki apetytu.

A jednak mama i Nick uśmiechali się do mnie konspiracyjnie, a Caroline podsunęła mi miseczkę z płatkami kukurydzianymi. Znad drugiego końca stołu kiwała do mnie cioteczna babka Maddy w swym różowym szlafroku.

- Aniołeczku! Ależ się cieszę, że cię widzę! Wniesiesz wreszcie trochę światła w to całe zamieszanie. W tym wczorajszym wrzasku w niczym nie mogłam się połapać. Glenda wyciągnęła jakieś przedpotopowe historie, z czasów kiedy nasza Lucy dała drapaka z tym przystojnym chłopakiem od de Villiersów. Nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego wszyscy zrobili wtedy taką aferę z tego, że Grace pozwoliła im przez parę dni mieszkać u siebie. Wydawałoby się, że to wszystko dawno już popadło w zapomnienie. Ale nie, ledwie się trochę uleżało, a tu przyszło parę dzików i z powrotem rozkopało.

Caroline parsknęła śmiechem. Bez wątpienia wyobrażała sobie teraz ciotkę Glendę jako dzika.

- To nie jest serial telewizyjny, ciociu Maddy - prychnęła ciotka Glenda.

- Dzięki Bogu, nie - powiedziała cioteczna babka Maddy. -Gdyby to był serial, dawno już bym zgubiła wątek.

- Przecież to całkiem proste - rzuciła zimno Charlotta. -Wszyscy myśleli, że to ja mam gen, ale w rzeczywistości ma go Gwendolyn. - Odsunęła od siebie talerz i wstała. - Niech się martwi, jak sobie z tym poradzi.

- Charlotto, poczekaj!

Ale ciotka Glenda nie zdołała zatrzymać Charlotty w pokoju. Zanim pobiegła za nią, rzuciła jeszcze mamie złowrogie spojrzenie.

- Powinnaś się wstydzić, Grace!

- Ona naprawdę stanowi ogólne zagrożenie - powiedział Nick.

Lady Arista westchnęła głęboko. Mama też westchnęła.

- Muszę iść do pracy, Gwendolyn. Umówiłam się z panem George'em, że dziś odbierze cię ze szkoły. Poddasz się elapsji i zostaniesz wysiana do roku 1956, do bezpiecznej piwnicy, i tam będziesz mogła w spokoju odrobić lekcje.

- Ale czad! - zawołał Nick. Pomyślałam to samo.

- A potem natychmiast wrócisz do domu - powiedziała lady Arista.

- I to już będzie koniec dnia - zauważyłam.

Czy od teraz każdy mój dzień będzie tak wyglądał? Po szkole do Tempie na elapsję, potem siedzenie w jakiejś nudnej piwnicy, odrabianie lekcji, a potem z powrotem do domu na kolację? Co za koszmar!

Cioteczna babka Maddy zaklęła cicho, kiedy jeden z rękawów jej szlafroka wylądował w dzemie na jej grzance.

- O tej porze człowiek powinien leżeć w łóżku, zawsze to powtarzam.

- Dokładnie - zgodził się Nick.

Jak każdego ranka mama pocałowała jego, Caroline i mnie na pożegnanie, a potem położyła mi rękę na ramieniu i powiedziała cicho:

- Jeśli spotkasz przypadkowo mojego tatę, pozdrów go ode mnie.

Lady Arista drgnęła lekko na dźwięk tych słów. Przez chwilę w milczeniu popijała herbatę, po czym spojrzała na zegarek i powiedziała:

- Musicie się pospieszyć, jeśli chcecie zdążyć do szkoły.

- Tak czy owak, kiedyś w przyszłości otworzę biuro detektywistyczne - powiedziała Leslie.

Właśnie poszłyśmy na wagary. Zamiast na geografii z panią Counter byłyśmy obie w jednej kabinie damskiej toalety. Leslie siedziała na pokrywie deski klozetowej, trzymając na kolanach gruby segregator. Ja opierałam się plecami o drzwi pomazane długopisem i flamastrem. Było tam napisane: *Jenny kocha Adama, Malcolm to kretyn i Życie jest do dupy*. Między innymi.

- Zgłębianie tajemnic mam po prostu we krwi - oznajmiła Leslie. - Albo może jeszcze będę studiować historię i wyspecjalizuję się w starych mitach i dokumentach. I zrobię coś takiego jak Tom Hanks w *Kodzie da Vinci*. Oczywiście wyglądam lepiej od niego i zatrudnię sobie jakiegoś naprawdę spoko asystenta.

- Zrób tak - powiedziałam. - To na pewno będzie pasjonujące. A ja tymczasem spędzę każdy dzień reszty mojego życia w pozbawionej piwnicy okien, w 1956 roku.

- Tylko trzy godziny w ciągu dnia - przypomniała mi Leslie. Była zorientowana w całej sprawie.

Zdawało się, że znacznie lepiej i znacznie szybciej pojmuję te różne skomplikowane relacje. Wysłuchiwała wszystkiego, włącznie z moją historią o tych ludziach w parku oraz z niekończącą się litanią moich wyrzutów sumienia.

„Lepiej, jak się będziesz bronić, niż żebyś miała dać się pokroić jak tort” - taki był jej komentarz. I dziwnym trafem ten komentarz pomógł mi bardziej niż wszystkie zapewnienia pana George'a czy Gideona.

- Popatrz na to w ten sposób - powiedziała teraz. - Skoro musisz odrabiać lekcje w piwnicy, to przynajmniej nie spotkasz strasznych hrabiów, którzy opanowali sztukę telekinezy.

„Telekineza” była pojęciem, które Leslie wynalazła na określenie zdolności hrabiego do duszenia mnie, chociaż stał kilka metrów dalej. Za pomocą telekinezy, twierdziła, można się też

porozumiewać bez otwierania ust. Obiecała mi, że zajmie się tym tematem jeszcze dziś po południu.

Wczorajszy dzień i pół nocy spędziła na poszukiwaniu w Internecie informacji na temat hrabiego de Saint Germain i całej reszty tego kramu, o którym jej opowiedziałam. Odrzuciła moje natrętne podziękowania, twierdząc, że to wszystko sprawiło jej ogromną radochę.

- A więc ten hrabia de Saint Germain jest bardzo tajemniczą postacią historyczną. Nie ma pewności nawet co do daty jego urodzenia. Jego pochodzenie kryje wiele tajemnic - mówiła z przejęciem. - Rzekomo miał się w ogóle nie starzeć, a przyczyny tego jedni upatrywali w magii, inni zaś w zbilansowanej diecie.

- Ale on był stary - wtrąciłam. - Może i dobrze się trzymał, ale na pewno był stary.

- No więc to jedno się nie sprawdziło - powiedziała Leslie. Musiał być fascynującą osobowością, bo występuje w wielu powieściach, a w niektórych kręgach związanych z ezoteryką jest kimś w rodzaju guru, wtajemniczonym, cokolwiek to znaczy.

Należał do licznych tajnych stowarzyszeń, wolnomularzy i różokrzyżowców, i jeszcze paru innych, był świetnym muzykiem, grał na skrzypcach i komponował, mówił płynnie tuzinem języków i... teraz się mocno trzymaj, podróżował w czasie. W każdym razie utrzymywał, że był świadkiem wielu różnych zdarzeń, przy których nie mógł być obecny.

- Taaak, najwidoczniej mógł.

- No, obłąd. Poza tym parał się alchemią. W Niemczech miał własną pracownię alchemiczną, w której prowadził wszelkiego rodzaju eksperymenty.

- Alchemią? To ma coś wspólnego z kamieniem filozoficznym, prawda?

- Tak. I z magią. Ale kamień filozoficzny dla każdego oznacza coś innego. Jedni chcieli tylko w sztuczny sposób uzyskać złoto, co doprowadziło do wielce dziwacznych wybryków. Wszyscy królowie i książęta byli strasznie napaleni na ludzi, którzy utrzymywali, że są alchemikami, bo oni wszyscy byli oczywiście strasznie napaleni na złoto. W czasie prób wyprodukowania złota uzyskano

wprawdzie między innymi porcelaną, ale najczęściej nie uzyskiwano nic i dlatego alchemicy często byli ogłaszani heretykami i oszustami, wtrącani do więzienia albo skracani o głowę.

- Sami sobie byli winni - powiedziałam. - Trzeba było lepiej uważać na lekcjach chemii.

- Ale w rzeczywistości alchemikom nie chodziło wcale o złoto. Tak naprawdę była to tylko przykrywka dla ich eksperymentów. Kamień filozoficzny jest w znacznie większym stopniu symbolem nieśmiertelności. Alchemicy myśleli, że jeśli wymieszają właściwe składniki: oczy ropuchy, krew dziewicy, włosy z ogona czarnego kota... cha, cha, nie, to był tylko żart... no więc jeśli wymieszają właściwe składniki i zastosują właściwą procedurę chemiczną, to na końcu otrzymają substancję, której wypicie uczyni człowieka nieśmiertelnym. Zwolennicy hrabiego de Saint Germain utrzymują, że był w posiadaniu takiej receptury i w związku z tym jest nieśmiertelny. Wprawdzie źródła powiadają, że zmarł w Niemczech w 1784 roku, ale istnieją inne źródła i relacje osób, które miały go spotkać żywego jeszcze wiele lat później.

- Hmm, hmm - mruknęłam. - Nie wierzę, że jest nieśmiertelny. Ale może stanie się nieśmiertelny? Może to jest ta tajemnica skrywana za tajemnicą? To, co się stanie, gdy krąg się zamknie?

- Możliwe. Ale to jest tylko jedna strona medalu, forsowana przez zaprzysięgłych miłośników ezoterycznych teorii spiskowych, którzy czasem chętnie manipulują danymi źródłowymi. Krytyczni obserwatorzy zakładają, że mity krążące wokół hrabiego de Saint Germain należy w większości zawdzięczać jedynie fantazji jego fanów oraz jego własnej, zręcznej inscenizacji.

Leslie klepała to wszystko tak płynnie i z takim entuzjazmem, że musiałam się roześmiać.

- No to idź do pana Whitmana i zapytaj go, czy możesz o tym napisać referat - zaproponowałam. - Tyle tego wyszukałaś, że przypuszczalnie mogłabyś napisać całą książkę.

- Nie sądzę, żeby Wiewiór potrafił docenić moje wysiłki - powiedziała Leslie. - W końcu jest jednym z fanów hrabiego de Saint Germain, jako Strażnik musi nim być. A zatem dla mnie jest zupełnie jasne, że to on jest złym duchem w całej tej historii, to znaczy de Saint Germain, a nie Wiewiór. Groził ci i dusił cię. A twoja mama ostrzegła cię, żebyś miała się przed nim na baczności. Ona wie więcej, niż się do tego przyznaje. A wiedzieć może właściwie tylko od tej całej Lucy.

- Sądzę, że wszyscy wiedzą więcej, niż się do tego przyznają - westchnęłam. - W każdym razie wiedzą więcej ode mnie. Nawet ty!

Leslie roześmiała się.

- Potraktuj mnie po prostu jako zewnętrzny moduł swojego mózgu. A wokół swego pochodzenia hrabia robił zawsze wielką tajemnicę. Nazwisko i tytuł zostały w każdym razie wymyślone. Prawdopodobnie był nieślubnym synem Marii Anny von Habsburg, wdowy po hiszpańskim królu Karolu II. Jeśli chodzi o ojca, w grę może wchodzić wiele osób. Inna teoria brzmi, iż jest synem transylwańskiego księcia, który wychował się we Włoszech u ostatniego księcia z rodu Medyceuszy. Tak czy tak, żadnej z tych teorii dowieść nie sposób i każdy porusza się po omacku. Ale my dwie mamy teraz nową teorię.

- Mamy?

Leslie przewróciła oczami.

- Oczywiście! Wiemy, że jedno z jego rodziców musiało pochodzić z rodziny de Villiers.

- A skąd my to wiemy?

- Och, Gwen! Sama powiedziałaś, że pierwszy podróżnik w czasie nazywał się de Villiers, a więc hrabia musi być prawowitym lub nieprawowitym członkiem tego rodu, chyba to rozumiesz, prawda? W przeciwnym razie jego potomkowie nie nosiliby tego nazwiska.

- Hmm, no tak - przyznałam niepewnie. Nie do końca jeszcze rozumiałam tę całą sprawę z dziedziczeniem. - Ale moim zdaniem w historii z transylwańskim księciem też coś jest. To przecież nie może być przypadek, że ten Rakoczy właśnie stamtąd pochodzi.

- Jeszcze tego poszukam - obiecała Leslie. - Uwaga! Drzwi przed nami zakołysały się i ktoś wszedł do damskiej toalety. Ta osoba - założyłyśmy oczywiście, że to była „ona”

- weszła do kabiny obok. Siedziałyśmy cichutko, dopóki nie wyszła.

- Nie umyła rąk, fuj! - wzdrygnęła się Leslie. - Cieszę się, że nie wiem, kto to był.

- Papierowe ręczniki się skończyły - powiedziałam. Powoli zaczynały mi cierpnąć nogi. - Myślisz, że będziemy miały kłopoty? Pani Counter na pewno zauważy, że nas nie ma. A nawet jeśli nie, to na pewno zaraz ktoś wypapla.



- Dla pani Counter wszyscy uczniowie i tak wyglądają tak samo. Od piątej klasy mówi na mnie Lilly, a ciebie myli z Cynthia. Akurat z nią! Nie, nie, to tutaj jest znacznie ważniejsze niż geografia. Musisz się jak najstaranniej przygotować. Im więcej się wie o swoim przeciwniku, tym lepiej.

- Gdybym tylko wiedziała, kto jest moim prawdziwym przeciwnikiem.

- Nie możesz ufać nikomu - powiedziała Leslie, dokładnie tak samo jak moja mama. - Gdyby to był film, na końcu czarnym charakterem okazałby się ten, po którym najmniej się tego można było spodziewać. Ale ponieważ to nie jest film, stawiam na tego gościa, który cię dusił.

- Ale kto napuścił na nas tych ubranych na czarno typków w Hyde Parku? Hrabia? Nigdy w życiu. Przecież potrzebuje Gideona, żeby dotarł do pozostałych podróżników w czasie i pobrał od nich krew, by krąg mógł się zamknąć.

- Tak, to prawda. - Leslie w zamyśleniu przygryzła dolną wargę. - Ale może w tym filmie jest więcej czarnych charakterów. Bądź co bądź ukradli chronograf. A co się właściwie dzieje z tym facetem w czerni pod numerem osiemnastym?

Wzruszyłam ramionami.

- Dziś rano stał tam jak zwykle. A dlaczego? Myślisz, że on też mógłby dobyć szpady?

- Nie. Stawiam raczej na to, że należy do Strażników i wystaje tam jak głupek po prostu dla zasady. - Leslie powróciła do swoich papierów. - Nawiasem mówiąc, o Strażnikach jako takich nie udało mi się niczego znaleźć, to chyba było bardzo tajne stowarzyszenie. Ale kilka nazwisk, które wymieniłaś, jak Churchill, Wellington, Newton, znalazłam też u wolnomularzy. Można zatem założyć, że obie loże co najmniej pozostawały ze sobą w kontakcie. O Robercie Whicie, chłopcu, który się utopił, nie znalazłam w Internecie nic, ale w bibliotece można przejrzeć wszystkie wydania „Timesa” i „Observera” z ostatnich czterdziestu lat. Jestem pewna, że coś tam znajdę. Co tam jeszcze było? Ach, tak, jarzębina, szafir i kruk... no, to oczywiście można interpretować na wszelkie możliwe sposoby, ale w tych nadprzyrodzonych historiach wszystko może zawsze oznaczać wszystko i dlatego nie da się znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Trzeba oprzeć się bardziej na faktach niż na tych pokemonach. Musisz się po prostu więcej dowiedzieć. Przede wszystkim na temat Lucy i Paula

i dlaczego ukradli chronograf... Najwyraźniej wiedzą coś, czego nie wiedzą pozostali. Albo czego nie chcą przyjąć do wiadomości. Albo mają na ten temat zasadniczo odmienne zdanie.

Drzwi znowu się otworzyły. Tym razem kroki były ciężkie i energiczne. I zmierzały wprost do drzwi naszej kabiny.

- Leslie Hay i Gwendolyn Shepherd! Macie natychmiast stamtąd wyjść i wrócić do klasy!

Obie milczałyśmy osłupiałe. A potem Leslie powiedziała:

- Wie pan, że to jest damska toaleta, panie Whitman?

- Liczę do trzech - oznajmił pan Whitman. - Raz... Przy „trzy” otworzyliśmy drzwi.

- Będą uwagi w dzienniczkach - powiedział pan Whitman, mierząc nas wzrokiem groźnej wiewiórki. - Bardzo mnie rozczarowałyście. Przede wszystkim ty, Gwendolyn. Tylko dlatego, że zajęłaś miejsce swojej kuzynki, nie możesz się teraz zachowywać tak, jakby ci wszystko było wolno. Charlotta nigdy nie zaniedbywała szkolnych obowiązków.

- Tak jest, panie Whitman.

Ta autorytarna poza była do niego zupełnie niepodobna. Zawsze był taki uroczy, a co najwyżej czasami sarkastyczny.

- A teraz zjeżdżajcie do klasy.

- A skąd pan wiedział, że tu jesteśmy?

Pan Whitman, jakby nie słyszał mojego pytania, wyciągnął rękę po segregator Leslie.

- A to na razie rekwiruję.

- O nie, to niemożliwe. - Leslie przycisnęła segregator do piersi.

- Oddaj to, Leslie!

- Ale ja... ja tego potrzebuję na lekcje!

- Liczę do trzech.

Przy „dwa” Leslie, zgrzytając zębami, podała mu segregator. Było nam strasznie głupio, kiedy pan Whitman wepchnął nas do klasy. Pani Counter najwyraźniej potraktowała nasze wagary osobiście, bo przez resztę lekcji całkowicie nas ignorowała.

- Paliliście coś? - spytał potem Gordon.
- Nie, kretynie - zaatakowała go Leslie. - Chciałyśmy sobie tylko w spokoju pogadać.
- Poszłyście na wagary, bo chciałyście sobie pogadać?! -Gordon stuknął się w głowę. - O rany!

Dziewczyny!

- Teraz pan Whitman będzie mógł obejrzeć wszystkie twoje papiery - zwróciłam się do Leslie. -I dowie się, i Strażnicy też się dowiedzą, że wszystko ci opowiedziałam. A to na pewno jest zabronione.

- Tak, na pewno jest - zgodziła się Leslie. - Może przyślą do mnie faceta w czerni, żeby mnie sprzątnął, bo wiem rzeczy, których nikt nie powinien wiedzieć... - Ta wizja zdawała się ją bawić.

- A jeśli ta myśl wcale nie jest tak absurdalna?

- No to... idę dziś po południu kupić ci spray pieprzowy, to od razu wezmę też dla siebie. - Leslie poklepała mnie po plecach. - Chodź już! Nie damy się zastraszyć.

- Nie, nie, na pewno nie.

Zazdrościłam Leslie jej niewzruszonego optymizmu. Zawsze patrzyła na wszystko od jasnej strony. O ile ta sprawa w ogóle miała jakąś jasną stronę.

*Kroniki Strażników 14 sierpnia 1949 roku*

*Między 15.00 a 18.00 Lucy i Paul pojawili się w moim biurze, by poddać się elapsji. Rozmawialiśmy o odbudowie i renowacji poszczególnych części miasta i o niewiarygodnym fakcie, że w ich czasach Notting Hill stanie się jedną z najbardziej popularnych i szykownych dzielnic (oni na to mówią „trendy”). Poza tym przynieśli mi listę wszystkich zwycięzców Wimbledonu po 1950 roku. Obiecałem im, że wygrane w zakładach przeznaczę na fundusz edukacyjny dla moich dzieci i wnuków. Poza tym rozważam nabycie jednej lub dwóch podupadłych nieruchomości w Notting Hill. Nigdy nic nie wiadomo.*

Raport: Lucas Montrose, adept III stopnia

## 14.

Lekcja wlokła się nieznośnie długo, obiad był paskudny jak zwykle (pudding yorkshire) i kiedy po podwójnej lekcji chemii mogliśmy po południu wreszcie wracać do domu, właściwie byłam gotowa znowu iść spać.

Charlotta przez cały dzień mnie ignorowała. Raz, w czasie przerwy, spróbowałam z nią porozmawiać, ale powiedziała:

- Jeśli chciałabyś mnie przeprosić, zapomnij!

- A za co miałabym cię przeproszać? - zapytałam wkurzona.

- No, skoro sama nie wiesz...

- Charlotto! Nic nie mogę na to poradzić, że to ja odziedziczyłam ten durny gen, a nie ty.

Charlotta spiorunowała mnie wzrokiem. Była wściekła.

- To nie jest durny gen, to jest dar. Coś bardzo szczególnego. Dając go komuś takiemu jak ty, zwyczajnie go zmarnowano. Ale ty jesteś o wiele za dziecinna, żeby cokolwiek z tego zrozumieć.

Odwróciła się i po prostu mnie zostawiła.

- W końcu się pozbiera - powiedziała Leslie, kiedy poszliśmy do szafek po swoje rzeczy. - Musi najpierw przywyknąć do tego, że nie jest już nikim szczególnym.

- Ale ona jest taka niesprawiedliwa. Przecież niczego jej nie zabrałam.

- W gruncie *rzeczy* zabrałaś. - Leslie podała mi swoją szczotkę do włosów. - Masz!

-Co ja mam z tym zrobić?

-Uczesać się, to chyba jasne!

Powoli przejechałam szczotką po włosach.

-Po co ja to właściwie robię? - zapytałam po chwili.

-Po to, żebyś ładnie wyglądała, kiedy znowu spotkasz się z Gideonem. Na szczęście nie potrzebujesz tuszu do rzęs, bo twoje rzęsy z natury są tak strasznie czarne i długie...

Na dźwięk imienia Gideona zrobiłam się czerwona jak burak.

- Może wcale się z nim dzisiaj nie zobaczę. Mają mnie wysłać do roku 1956, żebym odrobiła lekcje w jakiejś piwnicy.

- No tak, ale może natkniesz się na niego przedtem albo potem.

- Leslie, ja nie jestem w jego typie!

- On wcale tak nie myślał - powiedziała Leslie.

- Ależ oczywiście, że myślał!

- No i co z tego? Można zmienić zdanie. W każdym razie on na pewno jest w twoim typie.

Otworzyłam usta i zaraz znów je zamknęłam. Nie było sensu zaprzeczać. Owszem, był w moim typie. Chociaż chętnie bym udawała, że jest inaczej.

- On by się spodobał każdej dziewczynie - powiedziałam. - Przynajmniej z wyglądu. Ale przez cały czas mnie wkurza i rozkazuje mi, i jest po prostu... jest po prostu nieprawdopodobnie...

- ..fantastyczny? - Leslie uśmiechnęła się do mnie z czułością. - Ty też jesteś, naprawdę! Jesteś najbardziej fantastyczną dziewczyną, jaką znam. No, może poza mną. A rozkazywać też potrafisz. Chodź już. Chcę koniecznie zobaczyć tę limuzynę, która po ciebie przyjedzie.

James uklonił mi się sztywno, kiedy mijałyśmy jego niszę.

- Poczekaj - poprosiłam Leslie. - Muszę o coś zapytać Jamesa.

Kiedy się zatrzymałam, zblazowana mina Jamesa od razu znikła i uśmiechnął się do mnie uradowany.

- Rozmyślałem o naszej ostatniej rozmowie - powiedział.

- O pocałunkach?

- Nie! O ospie. Może faktycznie na nią zachorowałem. Nawiasem mówiąc, twoje włosy pięknie dziś błyszczą.

- Dziękuję. James, możesz mi wyświadczyć przysługę?
- Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z całowaniem. Mimo woli roześmiałam się.
- To też nie jest zły pomysł - powiedziałam. - Ale mnie chodzi o maniery.
- Maniery?
- Zawsze narzekasz, że mam bardzo złe maniery. I w pełni się z tobą zgadzam. Dlatego chciałabym cię prosić, żebyś mi pokazał, jak należy się właściwie zachowywać. W twoich czasach. Jak się wysławiać, jak dygać, jak... och, już sama nie wiem co.
- Jak trzymać wachlarz? Jak tańczyć? Jak się zachować w obecności następcy tronu?
- Właśnie!
- Mogę ci to pokazać - odrzekł James.
- Kochany jesteś. - Już miałam odejść, ale coś mi się przypomniało. - Ach, jeszcze jedno, James!

Umiesz walczyć na szpady?

- Oczywiście - powiedział James. - Nie chciałbym się chwalić, ale wśród moich przyjaciół w klubie uchodzę za jednego z najlepszych fecht mistrzów. Sam Galliano mawia, że mam wybitny talent.
- Super! Jesteś prawdziwym przyjacielem.
- Chcesz, żeby duch nauczył cię fechtunku? - Leslie z zainteresowaniem przysłuchiwała się naszej rozmowie. Oczywiście mogła usłyszeć tylko moje kwestie. - Czy duch w ogóle może utrzymać w ręku szpadę?
- Zobaczymy - powiedziałam. - W każdym razie świetnie się orientuje w osiemnastym wieku. W końcu to jego czasy.

Gordon Gelderman wyprzedził nas na schodach.

- Znowu rozmawiałaś z niszą, Gwendolyn? Dokładnie to widziałem.
- Tak, Gordonie, to jest moja ulubiona nisza. Obraża się, jeśli z nią nie porozmawiam.
- Wiesz, że jesteś dziwaczką, prawda?
- Tak, drogi Gordonie, wiem. Ale przynajmniej nie mam mutacji.
- To przechodzi - powiedział Gordon.

- Byłoby miło, gdybyś TY sobie przeszedł - wtrąciła Leslie.  
- Ach, na pewno znowu chcecie sobie pogadać. - Gordon zawsze był strasznie namolny. -  
Rozumiem. Przegadałyście dzisiaj dopiero pięć godzin. Spotkamy się później w kinie?

- Nie - odparła Leslie.

- Ja i tak nie mogę - powiedział Gordon, postępując za nami przez hol niczym cień. - Muszę napisać to durne wypracowanie o sygnetach. Mówiłem już, że nienawidzę pana Whitmana?

- Tak, ale dopiero ze sto razy - rzuciła Leslie.

Jeszcze nim wyszłyśmy, dostrzegłam limuzynę stojącą przed szkolną bramą. Serce zaczęło mi nieco szybciej bić. Wciąż było mi straszliwie głupio z powodu wczorajszego wieczoru.

- Hej, a to co za wózek? - Gordon gwizdnął cicho przez zęby. - Może te plotki, że córka Madonny chodzi do naszej szkoły, oczywiście incognito i pod fałszywym nazwiskiem, są jednak prawdziwe?

- Jasne. - Leslie wzniosła oczy do nieba. - I dlatego przyjeżdża po nią limuzyna. Żeby się nikt nie połapał z tym incognito.

Kilkoro uczniów gapiło się na limuzynę. Także Cynthia i jej przyjaciółka Sara stały na schodach i wytrzeszczały oczy. Ale patrzyły nie na limuzynę, tylko kawałek dalej na prawo.

- A ja myślałam, że tej kujonki chłopaki w ogóle nie interesują - odezwała się Sarah. - A już na pewno nie takie ciacha.

- A może to jest jej kuzyn - powiedziała Cynthia. - Albo jej brat.

Wbiłam palce w rękę Leslie. Na naszym szkolnym boisku faktycznie stał Gideon, kompletnie wyluzowany, w dżinsach i koszulce. I rozmawia! z Charlotta.

Leslie od razu wiedziała, o co chodzi.

- A ja myślałam, że ma długie włosy - zwróciła się do mnie z wyrzutem.

- No bo ma - odrzekłam.

- Pódlugie - uściśliła Leslie. - To jest różnica. Spoko gość.

- To gej, mogę się założyć o pięćdziesiąt funtów, że to gej - powiedział Gordon, opierając rękę na moim ramieniu, żeby lepiej widzieć między mną a Cynthia.

- O matko, on jej dotyka - zawołała Cynthia. - Bierze ją za rękę!



Do tej pory doskonale znałam uśmiech Charlotty. Nie uśmiechała się często (pomijając grymas zaciśniętych ust w stylu Mony Lisy), ale kiedy już to robiła, wyglądała zachwycająco. Miała nawet dołeczek, który stawał się wtedy widoczny. Gideon też go musiał widzieć i też na pewno uważał, że Charlotta jest zachwycająca.

- Głaszcz ją po policzku!

O mój Boże. Naprawdę! Poczulałam ukłucie, którego nie dano się już zignorować.

- A teraz ją całuje!

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech. To faktycznie wyglądało tak, jakby Gideon chciał pocałować Charlotte.

- Ale tylko w policzek - powiedziała z ulgą Cynthia. - To jednak jej kuzyn. Gwenny, powiedz, proszę, że to jest jej kuzyn.

- Nie - odparłam. - Nie są spokrewnieni.

- I on nie jest gejem - dodała Leslie.

- Założysz się? Spójrz tylko na jego sygnet!

Charlotta raz jeszcze uśmiechnęła się do Gideona i ruszyła przed siebie energicznym krokiem. Jej podły nastrój najwidoczniej się ulotnił.

Gideon zwrócił się w naszą stronę. Dobrze wiedziałam, jak wyglądamy: cztery dziewczyny i Gordon, gapiący się i chichoczący na schodach.

„Znam całą masę takich dziewczyn jak ty”.

Dokładnie tak, jak się spodziewał. No, super.

- Gwendolyn! - zawołał Gideon. - Jesteś nareszcie! Cynthia, Sarah i Gordon zgodnie wstrzymali oddech. I ja też, jeśli mam być szczerą. Tylko Leslie dalej była wyluzowana. Dała mi lekkiego kuksańca.

- No, pospiesz się trochę. Limuzyna na ciebie czeka.

Idąc w dół po schodach, czułam na plecach wzrok tamtych. Chyba mieli szeroko otwarte usta. A już Gordon na pewno.

- Cześć - powiedziałam, podchodząc do Gideona. Więcej nie byłam w stanie wykrztusić. W promieniach słońca

jego oczy jeszcze bardziej lśniły zielenią niż zwykle.

- Cześć. - Przyjrzał mi się, być może nieco zbyt dokładnie. - Urosłaś przez noc?

- Nie. - Naciągnęłam bluzę na piersiach. - Mundurek mi się skurczył.

Gideon wyszczerzył zęby. Potem spojrział mi przez ramię.

- Te tam na górze to twoje przyjaciółki? Coś mi się zdaje, że jedna właśnie mdleje.

O mój Boże.

- To Cynthia Dale - powiedziałam, nie odwracając się. - Cierpi na podwyższony poziom estrogenów. Jeśli jesteś zainteresowany, mogę cię z nią poznać.

Uśmiech Gideona stał się jeszcze szerszy.

- Może jeszcze do tego wrócimy. A teraz w drogę! Mamy na dziś ambitne plany. - Wziął mnie za rękę (od strony schodów dobiegł głośny pisk) i poprowadził do limuzyny.

- Muszę tylko odrobić lekcje. W 1956 roku.

- Plany się zmieniły. - Gideon otworzył przede mną drzwi limuzyny (zgodny wrzask od strony schodów). - Pojedziemy dziś do twojej praprababki. Bardzo prosiła o spotkanie z tobą. - Położył mi rękę na plecach, żeby wepchnąć mnie do samochodu (jeszcze raz wrzask od strony schodów).

Opadłam na tylną kanapę. Naprzeciw mnie siedziała już znana okrągła postać. Dzień dobry, panie George.

- Gwendolyn, moja dzielna dziewczynko, jak się dzisiaj miewasz? - Łysina pana George'a lśniła chyba bardziej niż zwykle.

Gideon usiadł obok niego.

- Ehm, dobrze, dziękuję.

Zaczerwieniłam się, bo uprzytomniłam sobie, jaki obraz nędzy i rozpaczyny musiałam przedstawiać wczoraj wieczorem. Ale przynajmniej Gideon nie zrobił żadnej paskudnej aluzji. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało.

- Jak to było z tą moją praprababką? - zapytałam pospiesznie. - Nie zrozumiałam tego.

- Tak, my też nie do końca to zrozumieliśmy - powiedział z westchnieniem Gideon.

Limuzyna ruszyła z miejsca. Zwalczyłam w sobie pokusę wyrzucia przez tylne okno i pomachania moim przyjaciołom.

- Margret Tilney, z domu Grand, była babką twojej babki Aristy i ostatnią podróżniczką w czasie przed Lucy i przed tobą. Strażnicy zdołali ją bez problemu wczytać do pierwszego chronografu po jej drugiej podróży w czasie, w 1894 roku. Przez resztę życia, a zmarła w 1944 roku, poddawała się regularnym elapsjom za pomocą chronografu, a *Kroniki* opisują ją jako przyjazną, chętną do współpracy osobę. - Pan George nerwowo potarł dłonią łysinę. - W trakcie bombardowania Londynu w czasie drugiej wojny światowej grupa Strażników razem z nią i z chronografem przeniosła się na wieś. Tam Margret Tilney zmarła w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat wskutek powikłań po zapaleniu płuc.

- Jakie to... hmmm... smutne. - Nie bardzo wiedziałam, co mam począć z tymi informacjami.

- Jak wiesz, Gideon odwiedził już w przeszłości siedmioro z Kręgu Dwanaściora i pobrał od nich krew do tego drugiego, nowego chronografu. Sześcioro, jeśli policzymy bliźniaków jako jedną osobę. Licząc twoją i jego krew, w kręgu brakuje jeszcze tylko czterech osób. Opal, jadeit, szafir i czarny turmalin.

- Elaine Burghley, Margret Tilney, Lucy Montrose i Paul de Villiers - uzupełnił Gideon.

- Tę czwórkę trzeba odwiedzić w przeszłości i utoczyć im krwi. - Tyle to ja zrozumiałam, aż taka głupia w końcu nie byłam.

- Właśnie. Nie myśleliśmy, że w przypadku Margret mogą wystąpić jakieś komplikacje. - Pan George odchylił się do tyłu. - W innych przypadkach tak, ale u Margret Tilney nie było powodu, żeby zakładać jakiegokolwiek kłopoty. Jej życie zostało w najdrobniejszych szczegółach zaprotokołowane przez Strażników. Wiemy, gdzie przebywała w każdym dniu swojego życia. I dlatego zaaranżowanie jej spotkania z Gideonem było bardzo proste. Wczoraj w nocy udał się do roku 1937, aby spotkać się z Margret Tilney w naszym domu w Tempie.

- Naprawdę, wczoraj w nocy? A kiedy ty w ogóle spałeś, na miłość boską?

- To miało pójść bardzo szybko. - Gideon skrzyżował ręce na piersi. - Na tę akcję przeznaczaliśmy zaledwie godzinę.

Pan George mówił dalej:

- Jednak niespodziewanie, kiedy wyłożył jej sprawę, Margret odmówiła oddania krwi. - Spojrzał na mnie wyczekująco.

Och, co ja mam teraz powiedzieć?

- Może... och... może tylko tego nie zrozumiała - wyjąkałam.

W końcu była to przecież bardzo zawiła historia.

- Zrozumiała wszystko bardzo dobrze. - Gideon potrząsnął głową. - Wiedziała już, że pierwszy chronograf został skradziony i że będę teraz próbował zdobyć jej krew do drugiego chronografu.

- AJe jak mogła domyślić się tego, co miało się zdarzyć dopiero wiele lat później? Była jasnowidzem...? - Ledwie zdążyłam dokończyć to pytanie, już się sama skapnęłam. Chyba naprawdę zaczynałam powoli pojmować ten cały biznes z podróжами w czasie. - Ktoś tam był przed tobą i jej powiedział, tak?

Gideon skinął głową z uznaniem.

- I namówił ją, żeby pod żadnym pozorem nie dała sobie pobrać krwi. Jeszcze dziwniejsze było to, że w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać. Zawołała na pomoc Strażników i zażądała, bym trzymał się od niej z daleka.

- Ale kto to mógł być? - Zastanowiłam się. - Właściwie w grę wchodzi tylko Lucy i Paul. Mogą podróżować w czasie i chcą przeszkodzić w zamknięciu kręgu.

Pan George i Gideon wymienili spojrzenia.

- Kiedy Gideon wrócił, stanęliśmy przed prawdziwą zagadką - powiedział pan George. - Mieliśmy wprawdzie niejasną wizję tego, co się mogło wydarzyć, ale brakowało nam dowodów. Dlatego dziś rano Gideon raz jeszcze udał się w przeszłość i ponownie odwiedził Margret Tilney.

- Miałaś dość pracowity dzień, no nie? - Spróbowałam znaleźć na twarzy Gideona ślady zmęczenia, ale mi się nie udało. Wręcz przeciwnie, wyglądał zupełnie rześko. - A jak się właściwie miewa twoja ręka?

- Dobrze. Słuchaj, co mówi pan George. To ważne.

Tym razem Gideon odwiedził Margret zaraz po jej pierwszej podróży w czasie, w 1894 roku - wyjaśniał pan George. - Musisz do tego wiedzieć, że czynnik x czy też, jak to nazywamy, gen podróży w czasie najwyraźniej ujawnia się we krwi dopiero po inicjacyjnym przeskoku w czasie. Krwi, którą pobierze się od podróżnika w czasie przed jego pierwszym przeskokiem, chronograf nie potrafi rozpoznać. Hrabia de Saint Germain przeprowadził w związku z tym kilka doświadczeń, które omal nie doprowadziły do zniszczenia chronografu. Nie ma więc sensu odwiedzać podróżnika w okresie jego dzieciństwa po to, by pobrać mu krew. Choć ułatwiłoby to wiele spraw. Rozumiesz?

- Tak.

Cóż innego mogłam teraz powiedzieć.

- Gideon spotkał się więc dziś rano z młodą Margret z okazji jej pierwszego oficjalnego terminu elapsji. Po swojej pierwszej podróży w czasie została natychmiast przewieziona do Tempie. Jeszcze w trakcie przygotowań do elapsji przeskoczyła po raz drugi. To był do tej pory najdłuższy ze wszystkich niekontrolowany przeskok w czasie, który został zmierzony. Nie było jej ponad dwie godziny.

- Panie George, niech pan pominie sprawy nieistotne - zaproponował Gideon z nutą niecierpliwości w głosie.

- Tak, tak. Na czym to ja stanąłem? A więc Gideon odwiedził Margret podczas jej pierwszej elapsji. I znowu opowiedział jej tę historię ze skradzionym chronografem i szansą naprawienia wszystkiego za pomocą drugiego chronografu.

- Ha! - przerwałam mu - A zatem stąd starsza Margret знаła całą tę historię. Sam Gideon jej to opowiedział.

- Tak, to byłaby jedna z możliwości - przyznał pan George. - Ale także i tym razem młoda Margret nie usłyszała tej historii po raz pierwszy.

- A więc był jeszcze ktoś przed Gideonem. Lucy i Paul. Udali się w przeszłość wraz ze skradzionym chronografem, żeby opowiedzieć Margret Tilney o tym, że prędzej czy później pojawi się ktoś, kto będzie chciał od niej pobrać krew.

Pan George milczał.

- Czy tym razem pozwoliła, żeby pobrać jej krew?

- Nie - odparł pan George. - Także tym razem odmówiła.

- Chociaż jako szesnastolatka nie była jeszcze tak straszliwie uparta jak potem, jako stara kobieta - doda! Gideon. - Zgodziła się chwilę porozmawiać. A na koniec oświadczyła, że jeśli w ogóle będzie pertraktować o swojej krwi, to tylko z tobą.

- Ze mną?!

- Wymieniła twoje imię i nazwisko: Gwendolyn Shepherd.

- Ale... - Zagryzłam dolną wargę, a Gideon i pan George przyglądali mi się badawczo. - Myślałam, że Paul i Lucy zniknęli przed moimi narodzinami. Skąd więc mogli znać moje imię i opowiedzieć o mnie tej Margret?

- No, to jest pytanie - rzekł pan George. - Bo widzisz, Lucy i Paul ukradli chronograf w maju, w roku twoich narodzin. Najpierw ukryli się razem z nim w teraźniejszości. Przez kilka miesięcy udawało im się całkiem zgrabnie unikać detektywów Strażników, wyprowadzać ich w pole i stosować różne sztuczki. Często przenosili się z miasta do miasta, przemierzali z chronografem pół Europy. Potem jednak zataczaliśmy wokół nich coraz ciasniejsze kręgi i pojęli wreszcie, że na dobre mogą umknąć przed nami tylko wtedy, gdy uciekną z chronografem w przeszłość. W ich przypadku poddanie się nie wchodziło niestety w rachubę. Niezłomnie i bezkompromisowo bronili swych fałszywych ideałów. - Westchnął. - Byli tacy młodzi i tacy pełni pasji. - Wzrok nieco mu się rozmarzył.

Kiedy Gideon chrząknął, pan George przestał gapić się w próżnię i podjął wątek:

- Do tej pory wierzyliśmy, że zrobili to we wrześniu, tu, w Londynie, kilka tygodni przed twoimi narodzinami.

- Ale wtedy nie mogliby znać mojego imienia!

- No właśnie - powiedział pan George. - Dlatego po dzisiejszym ranku rozważamy możliwość, że udali się z chronografem w przeszłość dopiero po twoich narodzinach.

- Choć nie wiemy, co było tego przyczyną - uzupełnił Gideon.

- Należałoby również wyjaśnić, skąd Lucy i Paul znali twoje imię i twoje przeznaczenie. Tak czy owak, Margret Tilney odmawia wszelkiej współpracy.

Zastanowiłam się.

- I jak teraz zdobędziemy jej krew? - Och, mój Boże! Chyba tego nie powiedziałam, co? - Nie zastosujecie przemocy, prawda?

Oczami wyobraźni widziałam już Gideona manipulującego eterem, kajdankami oraz monstrualną strzykawką i ta wizja burzyła mi jego wizerunek.

Pan George potrząsnął głową.

- Jedna z dwunastu złotych zasad Strażników brzmi, iż przemocy używamy jedynie wtedy, gdy zawiodą wszystkie inne drogi: pertraktacje i porozumienie. Spróbujemy więc najpierw tego, co zaproponowała Margret. Wyślemy cię do niej.

- Żeby ją mogła namówić?

- Żebyśmy zyskali jasność co do jej motywów i informatorów. Sama zdecydowała się z tobą porozmawiać. Zobaczymy, co ma ci do powiedzenia.

Gideon westchnął.

- I tak nic z tego nie będzie, ale ja już cały ranek gadam jak do ściany.

- Tak. I dlatego madame Rossini szyje ci właśnie uroczą letnią suknię na 1912 rok - oznajmił pan George. - Poznasz swoją praprababkę.

- Dlaczego akurat ten rok?

- Wybraliśmy go zupełnie spontanicznie. Mimo to Gideon sądzi, że możecie wpaść w pułapkę.

- W pułapkę?

Gideon nie odezwał się, tylko popatrzył na mnie. I naprawdę wyglądał na zatroskanego.

- Według zasad logiki to jest właściwie wykluczone - powiedział pan George.

- Dlaczego ktoś miałby zastawiać na nas pułapkę? Gideon nachylił się do mnie.

- Pomyśl tylko: Lucy i Paul mają chronograf z wczytaną do niego krwią aż dziesięciorga spośród dwunastki podróżników w czasie. Aby zamknąć krąg i móc samemu wykorzystać tajemnicę, potrzebują już tylko krwi od ciebie i ode mnie.

- Ale... przecież Lucy i Paul właśnie chcieli zapobiec zamknięciu kręgu i wyjawieniu tajemnicy - powiedziałam.

Pan George i Gideon znowu wymienili spojrzenia.

- Tak sądzi twoja matka - rzekł pan George. Ale i ja tak sądziłam do tej pory.

- A wy tak nie sądzicie?

- Spójrz na to z innej strony. A co, jeśli Lucy i Paul chcą zachować tajemnicę tylko dla siebie? - spytał Gideon. - Jeśli właśnie dlatego ukradli chronograf? W takim przypadku jedynym, czego by im brakowało, by zatriumfować nad hrabią de Saint Germain, byłaby nasza krew.

Pozwoliłam tym słowom przez chwilę wybrzmieć, po czym uzupełniłam:

- A ponieważ mogą nas spotkać jedynie w przeszłości, muszą nas gdzieś zwabić, aby dotrzeć do naszej krwi.

- Może sądzą, że uzyskają naszą krew wyłącznie przemocą - powiedział Gideon. - Tak jak my sądzimy, że oni nie dadzą nam swej krwi dobrowolnie.

Pomyślałam o ludziach, którzy napadli nas wczoraj w Hyde Parku.

- Właśnie - rzekł Gideon, jakby czytał moich myślach. - Gdyby nas zabili, mogliby wziąć tyle naszej krwi, ile by chcieli. Pozostaje tylko wyjaśnić, skąd wiedzieli, że tam będziemy.

- Znam Lucy i Paula. To po prostu nie w ich stylu - zaprotestował pan George. - Wychowali się na dwunastu złotych zasadach Strażników i z całą pewnością nie kazaliby mordować swoich krewnych. Oni też stawiają na pertraktacje i poro...



- Pan znalazł Lucy i Paula kiedyś, panie George - przerwał mu Gideon. - Ale czy może pan naprawdę wiedzieć, jacy są teraz?

Patrzyłam to na jednego, to na drugiego.

- W każdym razie uważam, że byłoby bardzo ciekawie przekonać się, czego chce ode mnie moja praprababka - powiedziałam. - No i jaka to może być pułapka, skoro sami wybieramy sobie moment naszej wizyty?

- Ja też tak to widzę - zgodził się ze mną pan George. Gideon westchnął z rezygnacją.

- To i tak już dawno postanowione.

Madame Rossini włożyła mi przez głowę białą suknię do kostek, w delikatną krataczkę, z czymś w rodzaju marynarskiego kołnierza. W talii była przewiązana szarfą z jasnoniebieskiej satyny, z tego samego materiału co wstążka przypięta w miejscu, gdzie kołnierz przechodził w plisę z guzikami.

Kiedy zobaczyłam się w lustrze, byłam nieco rozczarowana. Wyglądałam bardzo grzecznie. Ten strój przypominał nieco ubrania ministrantów w kościele Świętego Łukasza, gdzie czasem chodziliśmy na mszę.

- Mody z roku 1912 oczywiście nie można porównać do ekstrawagancji stylu rokoko - powiedziała madame Rossini, podając mi skórzane botki. - Wdzięki kobiety raczej się ukrywało, niż podkreślało, tak bym to ujęła.

- Ja też bym tak to ujęła.

- Jeszcze fryzura.

Madame Rossini popchnęła mnie delikatnie na krzesło i zrobiła mi na boku przedziałek, po czym poupiła pasemka z tyłu głowy.

- Czy nad uszami nie jest trochę... hmm... zbyt puszyście?

- Tak ma być - odrzekła madame Rossini.

- Ale mnie się wydaje, że źle w tym wyglądam.

- Ty we wszystkim wyglądasz znakomicie, moja mała łabędzia szyjko. A poza tym to nie jest konkurs piękności. Chodzi o...

- ...autentyczność. Wiem. Madame Rossini zaśmiała się.

- No to w porządku.

Tym razem przyszedł po mnie doktor White, który zaprowadził mnie do kryjówki w podziemiach, do chronografu. Patrzył wielce naburmuszony, jak zwykle, ale dla równowagi Robert, ten mały duszek, uśmiechał się do mnie przyjaźnie.

Odwzajemniłam jego uśmiech. Był naprawdę bardzo słodki z tymi blond loczkami i dołeczkami.

- Cześć!

- Cześć, Gwendolyn - powiedział Robert.

- Nie ma powodów do takiej wylewnej radości ze spotkania - burknął doktor White i pomachał czarną opaską na oczy.

- O nie, a po co to znowu?

- Nie ma powodów, żeby ci ufać - odrzekł.

- Och! Proszę mi to zaraz dać, panie brutalu! - Madame Rossini wydarła mu czarną chustkę z dłoni. - Tym razem nikt nie będzie mi tu rujnował fryzury.

Właściwie szkoda. Madame Rossini sama bardzo ostrożnie zawiązała mi oczy. Nie zmierzwiła przy tym nawet jednego włoska.

- Powodzenia, maleńka - powiedziała, kiedy doktor White mnie zabierał.

Pomachałam jej po omacku na pożegnanie. To nie było przyjemnie uczucie, takie potykanie się w próżni. A jednak droga zaczęła mi się już wydawać trochę bardziej znajoma. Ale tym razem to Robert cały czas mnie ostrzegał.

- Jeszcze dwa schodki, a teraz w lewo przez tajemne drzwi. Ostrożnie, uważaj na próg. Jeszcze dziesięć kroków i zaczną się główne schody.

- To naprawdę fantastyczna obsługa, dziękuję.

- Tylko bez ironii - warknął doktor White.

-Dlaczego ty mnie słyszysz, a on nie? - spytał Robert zmartwiony.

-Tego niestety nie wiem - odparłam i ogarnęło mnie przemożne współczucie. - Chciałbyś mu coś powiedzieć?

Robert milczał.

- Glenda miała rację - odezwał się doktor White. - Ty naprawdę rozmawiasz sama ze sobą. Wymacałam ręką ścianę.

- Ach, znam tę niszę. Teraz będzie stopień, o, tutaj jest, a po dwudziestu czterech krokach skrećmy w lewo.

- Liczyłaś kroki!

- Wyłącznie z nudów. Dlaczego jest pan taki nieufny, doktorze White?

- Och, wcale nie jestem nieufny. Ufam ci w pełni. Na razie. Bo w tej chwili jesteś w miarę grzeczna, a co najwyżej buntują cię osobliwe pomysły twojej matki. Ale kto wie, co z ciebie kiedyś wyrośnie. I dlatego bardzo bym nie chciał, żebyś знаła miejsce przechowywania chronografu.

- Aż taka duża ta piwnica nie może być - powiedziałam.

- Nie masz o tym pojęcia - odrzekł. - Straciliśmy już w niej wielu ludzi.

- Naprawdę?

- Tak. - W jego głosie pobrzmiwały nuty śmiechu, po czym poznałam, że tylko żartował. - Inni błądzili całymi dniami po korytarzach, aż w końcu natrafili na wyjście.

- Chciałbym mu powiedzieć, że mi przykro - odezwał się Robert. r

Najwyraźniej musiał się nad tym długo zastanawiać.

- Och.

Biedactwo. Najchętniej zatrzymałabym się i wzięła go w ramiona.

- Ale przecież to nie twoja wina.

- Jesteś pewna? - Doktor White miał zapewne na myśli ludzi, którzy zgubili się w podziemiach. Robert pociągnął nosem.

- Tego ranka pokłóciliśmy się. Powiedziałem mu, że go nienawidzę i że chciałbym mieć innego ojca.

- Ale on nie potraktował tego poważnie. Na pewno nie.

- Ależ tak, potraktował. A teraz myśli, że go nie kochałem, a ja już nie mogę mu tego powiedzieć. - Wysoki głosik, który teraz wyczuwalnie drżał, nieomal rozdzierał mi serce.

- To dlatego wciąż tutaj jesteś?

- Nie chcę go zostawić samego. Wprawdzie nie widzi mnie ani nie słyszy, ale może czuje, że tu jestem.

- Och... kochanie. - Teraz już nie wytrzymałam i stanęłam w miejscu. - Z całą pewnością wie, że go kochasz. Każdy ojciec wie, że dzieci mówią czasem coś, czego tak naprawdę nie myślą.

- Oczywiście. - Głos doktora White'a zabrzmiał dziwnie ochryple. - Jeśli zakazuje się dzieciom przez dwa dni oglądać telewizję tylko dlatego, że zostawiły rower na deszczu, to nie ma się co dziwić, że na człowieka nawrzeszczą i powiedzą coś, czego wcale nie myślą.

Popchnął mnie do przodu.

- Cieszę się, że pan to powiedział, doktorze White.

- Ja też! - zawołał Robert.

Resztę drogi przebyliśmy w jak najlepszych humorach. Ciężkie drzwi uchyliły się, a potem zatrzasnęły za nami.

Kiedy tylko zdjęłam opaskę z oczu, musiałam się roześmiać, ujrawszy Gideona w cylindrze na głowie. Ha! Tym razem to on był głupkiem w kapeluszu!

- Jest dzisiaj w nadzwyczaj dobrym humorze - powiedział doktor White. - Dzięki długim rozmowom z samą sobą.

Ale jego głos nie brzmiał już tak odpychająco jak zwykle. Pan de Villiers dołączył do mojego śmiechu.

- Też mnie to bawi - śmiał się. - Wygląda jak dyrektor cyrku.

- Cieszę się, że jest wam tak wesoło - rzucił Gideon.

Pomijając cylinder, wyglądał całkiem nieźle. Długie ciemne spodnie, ciemny frak, biała koszula - trochę tak, jakby się wybierał na wesele. Zmierzył mnie od stóp do głów, aż wstrzymałam oddech, oczekując rewanżu. Na jego miejscu przyszło-by mi do głowy co najmniej dziesięć obraźliwych uwag o moich ciuchach.

Ale on nic nie mówił, tylko się uśmiechał. Pan George zajęty był chronografem.

- Czy Gwendolyn otrzymała wszelkie instrukcje?

- Myślę, że tak - powiedział pan de Villiers.

Przez pół godziny rozmawiał ze mną na temat „Operacji Ja-deit”, podczas gdy madame Rossini przygotowywała kostium. Operacja Jadeit! Czułam się trochę jak tajna agentka Emma Peel. Leslie i ja uwielbiałyśmy ten film z Umą Thurman. *Rewolwer i melonik*.

W dalszym ciągu nie byłam w stanie zrozumieć niewzruszonej teorii Gideona o tym, że mogliśmy zostać zwabieni w pułapkę. Margret Tilney wprawdzie wyraźnie zażyczyła sobie rozmowy ze mną, ale nie wyznaczyła żadnego terminu. Nawet jeśli jej zamiarem byłoby zwabienie mnie w pułapkę, to przecież nie mogła wiedzieć, którego dnia i o której godzinie pojawimy się w jej życiu.

A już kompletnie nieprawdopodobne było to, że Lucy i Paulowi udało się nas złapać właśnie w tym wybranym czasie. Decyzja o wyborze czerwca 1912 roku zapadła spontanicznie. Margret Tilney miała wtedy trzydzieści lat, mieszkała z mężem i trójką dzieci w domu w dzielnicy Belgravia. I właśnie tam zamierzaliśmy ją odwiedzić.

Spojrzałam w górę i zauważyłam spoczywający na mnie wzrok Gideona. Ściślej biorąc - na moim dekolcie. To już był szczyt wszystkiego!

- Hej, ty, gapisz się na moje piersi? - syknęłam oburzona. Wyszczrzył zęby.

- Nie całkiem - odszepnął.

Nagle zorientowałam się, co ma na myśli. W epoce rokoko ukrywanie przedmiotów za koronkowym obszyciem było znacznie prostsze.

Pochyli! się do przodu.

- Czy to jest może komórka? - zapytał. - Nie wolno ci zabierać w przeszłość żadnych przedmiotów z naszych czasów!

- A czemu nie? To się może okazać przydatne. - (Zdjęcia Rakoczego i lorda Bromptona wyszły świetnie!). - Gdybyś ostatnim razem miał przy sobie porządny pistolet, byłoby znacznie łatwiej.

Gideon przewrócił oczami.

- Wyobraź sobie, że zgubiłabyś tę swoją komórkę w przeszłości - zaczął mi tłumaczyć pan de Villiers. - Ten, kto by ją znalazł, zapewne nie wiedziałby, co z nią począć. A może jednak by wiedział. A wtedy twoja komórka zmieniłaby przeszłość.

Albo pistolet! Nawet nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby ludzkość wcześniej wpadła na pomysł posługiwania się tą zmyślną bronią.

- A poza tym przedmioty te stanowiłyby dowód waszej, a także naszej egzystencji - dodał doktor White. - Przez jakieś małe niedopatrzenie wszystko mogłoby się zmienić i ciągłość byłaby zagrożona.

Zagryzłam wargę, rozmyślając o tym, na ile spray pieprzowy, który zgubiłabym na przykład w XVIII wieku, mógłby zmienić przyszłość ludzkości. Może jedynie na korzyść, gdyby znalazła go właściwa osoba...

Pan George wyciągnął rękę.

- Na razie ci go przechowam.

Wzdychając, sięgnęłam za dekollet i położyłam mu komórkę na dłoni.

- Ale potem proszę mi ją natychmiast oddać.

- Czy już wreszcie jesteśmy gotowi? - spytał doktor White. - Chronograf jest gotów do startu.

Byłam gotowa. Czulałam lekki ucisk w brzuchu i musiałam się przyznać sama przed sobą, że podobało mi się to znacznie bardziej, niż gdybym musiała w jakimś innym nudnym czasie siedzieć w piwnicy i odrabiać lekcje.

Gideon obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. Może się zastanawiał, co takiego jeszcze mogłam ukryć. Spojrzałam na niego niewinnie - spray pieprzowy będę mogła zabrać ze sobą dopiero następnym razem. W sumie szkoda. J

- Gotowa, Gwendolyn? - zapytał w końcu. Uśmiechnęłam się do niego.

- Gotowa, jeśli i ty jesteś gotów.

*Teraz rozejdźmy się. - Świat wyszedł z formy I mniej to trzeba wracać go do normy!*

*Hamlet* (przel. Józef Paszkowski]

William Szekspir (1564-1616)

## 15.

**Powóz** Strażników wioził nas z Tempie do dzielnicy Belgravia, cały czas wzdłuż brzegu Tamizy, i tym razem udało mi się rozpoznać wiele fragmentów znanego mi Londynu. Słońce oświetlało Big Bena i Katedrę Westminsterską i ku mojej wielkiej radości, po szerokich bulwarach paradowały kobiety w kapeluszach, z parasolkami przeciwsłonecznymi i w jasnych sukniach, takich jak moja, parki lśniły wiosenną zielenią, ulice były porządnie wybrukowane, bez kałuż i błota.

- To wygląda jak scenografia do musicalu - zauważyłam. - Też chcę mieć taką parasolkę.

- Trafiliśmy na dobry dzień - powiedział Gideon. - I dobry rok.

Cylinder zostawił w piwnicy, a ponieważ ja też bym tak zrobiła na jego miejscu, nie powiedziałam na ten temat ani słowa.

- Dlaczego po prostu nie złapiemy Margret w Tempie, kiedy przyjdzie poddać się elapsji?

- Próbowałam tego już dwukrotnie. Nie było łatwo przekonać Strażników o moich dobrych zamiarach mimo hasła, sygnetu i tak dalej. Nigdy nie da się przewidzieć reakcji Strażników w przeszłości. W razie jakichkolwiek podejrzeń trzymają raczej stronę tych podróżników w czasie, których znają i których mają chronić, a nie gościa z przyszłości, którego ledwie znają albo nie znają wcale. Tak jak to uczynili dzisiaj w nocy i rano. Odwiedzając ją w domu, może będziemy mieli więcej szczęścia. A na pewno będzie bardziej zaskoczona.

- Ale może ktoś strzeże jej dniem i nocą, ktoś, kto czeka tylko na to, byśmy się pojawili? Przecież ona właściwie się z tym liczy. Już od wielu lat, prawda?

- W *Kronikach Strażników* nie znaleźliśmy nic na temat dodatkowej ochrony osobistej. Mowa jest tylko o nowicjuszach, którzy mają na oku dom każdego z podróżników w czasie.

- Mężczyzna w czerni - zawołałam. - U nas też taki stoi.

- Najwyraźniej specjalnie się nie chowa - roześmiał się Gideon.

- Oj, nie, ani trochę. Moja młodsza siostra uważa go za czarnoksiężnika. - Coś mi przyszło do głowy. - Ty też masz rodzeństwo?

- Młodszego brata - powiedział Gideon. - No, nie jest już taki mały. Ma siedemnaście lat.



- A ty ile?
- Dziewiętnaście. No, w każdym razie prawie.
- Skoro nie chodzisz już do szkoły, to co właściwie robisz? Prócz podróżowania w przeszłość, rzecz jasna.

I grania na skrzypcach. I co on tam jeszcze robił.

- Oficjalnie znajduję się na liście studentów Uniwersytetu Londyńskiego. Ale myślę, że ten semestr mogę spisać na straty.

- Jaki kierunek?

- Strasznie jesteś ciekawska, czy to tak wypada?

- Ja tylko prowadzę konwersację - powiedziałam. Tego zdania nauczyłam się od Jamesa. - No więc co studiujesz?

- Medycynę. - Wydawał się nieco zmieszany.

Zduśliłam w sobie okrzyk zdumienia i znowu wyjrzałam przez okno. Medycynę. Ciekawe. Ciekawe. Ciekawe.

- A ten dzisiaj w szkole to był twój chłopak?

- Co? Kto? - Spojrzałam na niego zaskoczona.

- Ten facet za tobą, który trzymał ci rękę na ramieniu. Zabrzmiało to zupełnie lekko, niemal całkiem obojętnie.

- Myślisz o Gordonie Geldermanie? Mój ty Boże.

- Jeśli to nie jest twój chłopak, to dlaczego pozwalasz mu się tak dotykać?

- Nie pozwalałam. Jeśli mam być szczerą, w ogóle nie zauważyłam, że to zrobił.

Nie zauważyłam dlatego, że byłam zajęta przyglądaniem się Gideonowi, jak z Charlotta prawia sobie czułości. Na samo wspomnienie krew uderzyła mi do głowy. No, prawie.

- Dlaczego się zarumieniłaś? Z powodu Gordona Galla-hana?

- Geldermana - poprawiłam go.

- Nieważne. Wyglądał jak idiota. Musiałam się roześmiać.

- Zawsze tak wygląda - powiedziałam. -I okropnie całuje.

- Tak dokładnie wcale nie chciałem tego wiedzieć. - Gideon pochylił się do butów i jeszcze raz zawiązał sznurówki. Wyprostowawszy się znowu, splótł ręce na piersi i wyjrzał przez okno. - To jest już Belgrave Road, popatrz! Nie jesteś ciekawa swojej praprababki?

- Jestem, i to bardzo.

Natychmiast zapomniałam, o czym rozmawialiśmy. Jakież to wszystko było dziwne! Moja praprababka, którą właśnie zamierzałam odwiedzić, była trochę młodsza od mojej mamy.

Musiała dobrze wyjść za męża, bo dom przy Eaton Place, przed którym zatrzymała się dorożka, był isticie wielkopański. I lokaj, który otworzył nam drzwi, też taki był. Wręcz jeszcze bardziej wielkopański niż pan Bernhard. Miał nawet białe rękawiczki!

Zmierzył nas mocno nieufnym wzrokiem, kiedy Gideon podał mu wizytówkę i oznajmił, że jesteśmy niespodziewanymi gośćmi na herbacie. Jego kochana dawna przyjaciółka lady Tilney z pewnością bardzo się ucieszy, gdy usłyszy, że z wizytą przyszła Gwendolyn Shepherd.

- Myślę, że uważa cię za nie dość eleganckiego - powiedziałam, kiedy lokaj zniknął z wizytówką. - Tak bez kapelusza i bokobrodów.

- I bez wąsów - dodał Gideon. - Lord Tilney ma wąsy sięgające od ucha do ucha. Widzisz? Tam na wprost wisi jego portret.

- Ja cię kręcę - rzuciłam.

Moja praprababka miała bardzo dziwaczny gust. To był ten rodzaj wąsów, które na noc trzeba nawijać na wałki.

- A jeśli ona się teraz po prostu wykpi? - zapytałam. - Może nie ma ochoty znowu się z tobą spotkać?

- Pamiętaj, że dla niej od ostatniego razu minęło osiemnaście lat.

- Naprawdę już tak długo? - Na schodach stała kobieta, szczupła i wysoka, z rudymi włosami upiętymi we fryzurę dość podobną do mojej.

Wyglądała jak lady Arista, tylko trzydzieści lat młodziej. Spostrzegłam zdumiona, że nawet jej sztywny chód był jota w jotę taki sam jak lady Aristy.

Kiedy stanęła przede mną, obie milczałyśmy, tak bardzo byłyśmy pochłonięte wzajemnym przyglądaniem się sobie. Dostrzegłam w mojej praprababce także coś z mojej mamy. Nie wiem, kogo lady Tilney dostrzegła we mnie, ale skinęła głową i uśmiechnęła się tak, jakby mój widok ją zadowolił.

Gideon odczekał chwilę, a potem powiedział:

- Lady Tilney, mam cały czas tę samą sprawę co przed osiemnastu laty. Potrzebujemy nieco pani krwi.

- A ja powtórzę raz jeszcze to samo co przed osiemnastu laty. Nie dostaniesz mojej krwi. - Odwróciła się w moją stronę. - Ale mogę zaproponować wam herbatę. Przy filiżance herbaty lepiej się rozmawia.

- W takim razie powinniśmy koniecznie napić się herbaty - odrzekł szarmancko Gideon.

Poszliśmy za moją praprababką schodami na górę, do pokoju znajdującego się od strony ulicy. Mały okrągły stolik pod oknem był nakryty na trzy osoby, talerze, filiżanki, sztuczce, chleb, masło, dżem i pośrodku półmisek z kanapkami z ogórkiem, cieniutkimi jak papier, i z herbatnikami.

- Wygląda prawie tak, jakby się pani nas spodziewała - powiedziałam, podczas gdy Gideon wnikliwie rozglądał się po pokoju.

Znowu się uśmiechnęła.

- Tak, prawda? Rzeczywiście można by tak pomyśleć. Ale w istocie oczekiwałam innych gości. Usiądźcie.

- Nie, dziękuję, w tych okolicznościach raczej postoiimy - odparł Gideon, nagle bardzo spięty. - Nie będziemy długo pani niepokoić. Chcielibyśmy tylko usłyszeć parę odpowiedzi.

- A jak brzmią pytania?

- Skąd zna pani moje imię? - spytałam. - Kto pani o mnie mówił?

- Miałam gości z przyszłości. - Jej uśmiech pogłębił się. - Często mi się to zdarza.

- Lady Tilney, już ostatnim razem próbowałem pani wytłumaczyć, że pani goście nakarmili panią całkowicie błędnymi informacjami - powiedział Gideon. - Popelnia pani wielki błąd, ufając niewłaściwym osobom.

- Też jej to zawsze powtarzam - odezwał się męski głos. W drzwiach ukazał się młody człowiek, który zbliżył się do nas nonszalancko. - Margret, zawsze ci powtarzam, że popelniasz wielki błąd, ufając niewłaściwym ludziom. Och, to wygląda wybornie. Czy to dla nas?

Gideon gwałtownie wciągnął powietrze, chwycił mnie za rękę i zacisnął dłoń na moim nadgarstku.

- Ani kroku dalej - wysyczał. Mężczyzna uniósł brew.

- Wezmę kanapkę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Często się swobodnie - rzekła moja praprababka i skierowała się do drzwi.

Gdy tylko opuściła pokój, lokaj zainstalował się na progu. Mimo białych rękawiczek wyglądał teraz jak ochroniarz na bramce jakiegoś bardzo popularnego klubu.

Gideon zaklął cicho.

- Nie trzeba bać się Millhouse'a - powiedział młody mężczyzna. - Choć podobno już kiedyś złamał komuś kark. Zdaje się przez pomyłkę, nieprawdaż, Millhouse?

Nie mogłam przestać się gapić na tego mężczyznę. Miał takie same oczy jak Falk de Yilliers, żółte jak bursztyn. Jak wilk.

- Gwendolyn Shepherd! - Kiedy się do mnie uśmiechnął, jeszcze bardziej upodobił się do Falka de Villiers. Był tylko co najmniej dwadzieścia lat od niego młodszy, a jego krótko ostrzyżone włosy były czarne jak smoła. Jego spojrzenie napawało mnie lękiem, był uprzejmy, ale miał też w sobie coś, czego nie potrafiłam bliżej określić. Może złość? Albo ból? - Miło mi cię poznać - rzekł ochryple.

Wyciągnął do mnie dłoń, ale Gideon złapał mnie obiema rękami i przyciągnął do siebie.

- Nie waż się jej dotknąć! Znowu ta uniesiona brew.

- Czego się boisz, mały?

- Wiem dokładnie, czego od niej chcesz. Czulałam na swoich plecach bicie serca Gideona.

- Krwi? - Mężczyzna wziął jedną z maleńkich, cieniutkich jak papier kanapek i wrzucił sobie do ust. A potem wyciągnął w naszą stronę odwrócone dłonie i dodał: - Nie mam strzykawki ani skalpela, widzisz? A teraz puść tę dziewczynę. Zgnieciesz ją. -I znowu to dziwne spojrzenie skierowane na mnie. - Nazywam się Paul. Paul de Villiers.

- Tak myślałam - odrzekłam. - To pan namówił moją kuzynkę Lucy do kradzieży chronografu. Dlaczego pan to uczynił?

Paul de Villiers skrzywił się.

- Uważam, że to śmieszne, że mówisz do mnie „pan”

- A ja uważam, że to śmieszne, że pan mnie zna.

- Nie rozmawiaj z nim - powiedział Gideon.

Jego uścisk zelżał, przytrzymał mnie tylko jedną ręką, drugą zaś otworzył znajdujące się za nim drzwi i zajrzał do sąsiedniego pokoju. Stał tam kolejny mężczyzna w rękawiczkach.

- To jest Frank - oznajmił Paul. - A ponieważ nie jest aż tak duży i silny jak Millhouse, więc ma pistolet, widzisz?

- Tak - warknął Gideon i z powrotem zatrzęsął drzwi. Obawy Gideona się sprawdziły.

Wpadliśmy w pułapkę. Ale

jak to się mogło stać? Przecież Margret Tilney nie mogła codziennie przez całe życie nakrywać dla nas do stołu i trzymać człowieka z pistoletem w pokoju obok.

- Skąd pan wiedział, że dziś tu będziemy? - zapytałam Paula.

- Hmm. Jeśli teraz powiem, że wcale nie wiedziałem, lecz zaszedłem tu tylko przypadkowo, pewnie mi nie uwierzysz, prawda? - Wziął sobie herbatnika i opadł na krzesło. - Jak się miewają twoi drodzy rodzice?

-Zamknij się - syknął Gideon.

-No, chyba wolno mi zapytać, jak się miewają jej rodzice.

- Dobrze - powiedziałam. - W każdym razie mama dobrze. Tato nie żyje.

Paul wyglądał na przestraszonego.

- Nie żyje? Ale przecież Nicolas to chłop jak dąb, wielki i zdrowy!

- Był chory na białaczkę. Zmarł, kiedy miałam siedem lat.
  - O mój Boże. Ogromnie mi przykro. - Paul popatrzył na mnie z powagą i smutkiem. - To musiało być dla ciebie straszne, wychowywać się bez ojca.
  - Przestań z nim rozmawiać - powtórzył Gideon. - Próbuje nas tylko zatrzymać, aż przybędą posiłki.
  - Cały czas myślisz, że przyszedłem tu po waszą krew? -Żółte oczy błysnęły niebezpiecznie.
  - Oczywiście - powiedział Gideon.
  - I uważasz, że Millhouse, Frank, ja i pistolet nie dalibyśmy sobie z tobą rady? - spytał drwiąco Paul.
  - Oczywiście - powtórzył Gideon.
  - Och, jestem pewien, że mój kochany brat i pozostali Strażnicy zatroszczyli się o to, by zrobić z ciebie prawdziwego wojownika - powiedział Paul. - Musiałeś ich przecież wyciągnąć z opresji. A raczej chronograf. Nas, jedynie z uwagi na tradycję, nauczono tylko trochę władać szpadą i grać na skrzypcach. Ale mogę się założyć, że ty znasz taekwondo i inne takie rzeczy. To chyba trzeba umieć, jeśli się chce podróżować w przeszłość i utaczać ludziom krwi.
  - Do tej pory wszyscy oddali mi krew dobrowolnie.
  - Ponieważ nie wiedzieli, do czego to prowadzi!
  - Nie! Ponieważ nie chcieli zniszczyć tego, co od wieków zgłębiali Strażnicy, czego strzegli i nad czym pracowali!
  - Bla, bla, bla! Nas też przez całe życie karmili takimi wzniosłymi gadkami. Ale my znamy prawdę o zamiarach hrabiego de Saint Germain.
  - A jaka jest prawda? - wyrwało mi się. Na schodach rozległy się kroki.
  - Przybywają posiłki - oznajmił spokojnie Paul.
  - Prawda jest taka, że on kłamie, gdy tylko otworzy usta - powiedział Gideon.
- Lokaj odsunął się, żeby wpuścić do pokoju drobną rudowłosą dziewczynę, trochę zbyt dorosłą, by mogła być córką lady Tilney.
- Nie wierzę - odezwała się dziewczyna.

Patrzyła tak, jakby jeszcze nigdy nie widziała nic bardziej dziwnego niż ja.

- Ależ możesz spokojnie uwierzyć, księżniczko. - W głosie Paula dało się słyszeć czułość i lekkie zatroskanie.

- Ty jesteś Lucy - powiedziałam. Rodzinne podobieństwo rzucało się w oczy.

- Gwendolyn. - Lucy właściwie ledwie to wyszeptała.

- Tak, to jest Gwendolyn - potwierdził Paul. - A ten typ, który się jej czepia, jakby była jego ulubionym pluszakiem, to mój stryjeczny bratanek... czy jak to tam zwał. Niestety, przez cały czas chce już iść.

- Proszę, nie! - powiedziała Lucy. - Musimy z wami porozmawiać.

- Innym razem chętnie - odrzekł gładko Gideon. - Może jak będzie przy tym mniej postronnych osób.

- To ważne! Gideon roześmiał się.

- O tak, na pewno.

- Możesz już iść, mały - powiedział Paul. - Millhouse odprowadzi cię do drzwi. Ale Gwendolyn tu jeszcze trochę zostanie. Mam wrażenie, że z nią lepiej się dogadamy. Jeszcze jej całkiem nie wyprali mózgu i... o cholera!

Przekleństwo skierowane było w stronę małego czarnego pistoletu, który pojawił się nagle w dłoni Gideona, wymierzony prosto w Lucy.

- Gwendolyn i ja opuścimy teraz całkiem spokojnie ten niezbyt gościnny dom - powiedział Gideon.

- Lucy zaś grzecznie odprowadzi nas do drzwi. t

- Ty... ty... gnojku - warknął cicho Paul.

Podniósł się i spoglądał niezdecydowanie to na Millhouse'a, to na Lucy, to na nas.

- Usiądź na miejscu - nakazał mu Gideon. Jego głos był lodowaty, ale ja czułam, jak szaleńczo wali mu tętno. Cały czas przyciskał mnie do siebie wolną ręką. - A pan, Millhouse, usiądzie obok niego. Mamy tu całą masę kanapek.

Paul usiadł i spojrzał na boczne drzwi.

- Jedno słowo do Franka i naciśnię spust - ostrzegł Gideon.

Lucy wpatrywała się wprawdzie w niego szeroko otwartymi oczami, ale najwyraźniej się nie bala. W przeciwieństwie do Paula. Paul zdawał się całkowicie wierzyć w to, że Gideon spełni swoją groźbę.

- Rób, co ci każe - zwrócił się do Millhouse'a, a lokaj opuścił swój posterunek na progu i usiadł przy stole, rzucając nam złowrogie spojrzenia.

- Poznałeś go już, prawda? - Lucy popatrzyła Gideonowi prosto w oczy. - Spotkałeś się już z hrabią de Saint Germain?

- Trzykrotnie - powiedział Gideon. - On dokładnie zna wasze zamiary. W tył zwrot! - Przyłożył Lucy lufę pistoletu do tyłu głowy. - Naprzód!

- Księżniczko...

- Wszystko w porządku, Paul.

- Dali mu cholerny automatyczny pistolet Smith & Wesson. Myślałem, że to wbrew dwunastu złotym regułom.

- Na ulicy puścimy ją wolno - powiedział Gideon. - Ale jeśli przedtem ktoś się stąd ruszy, ona zginie. Chodź, Gwendolyn. Jeśli chcą twojej krwi, będą musieli spróbować innym razem.

Zawahałam się.

- Może oni naprawdę chcą tylko porozmawiać... Strasznie mnie ciekawiło, co mieli do powiedzenia Lucy

i Paul. Z drugiej strony - jeśli faktycznie byli tak niegroźni, jak mówili, to po co sprowadzili tych ochroniarzy? Z bronią! Znowu przypomnieli mi się tamci mężczyźni w parku.

- Z całą pewnością chcą nie tylko porozmawiać - warknął Gideon.

- To bezcelowe - rzucił Paul. - Wyprali mu mózg.

- To wina hrabiego - wtrąciła Lucy. - Jak wiesz, potrafi być przekonujący.

- Jeszcze się zobaczymy - powiedział Gideon. Tymczasem dotarliśmy już do schodów.

- Czy to miała być groźba? - zawołał Paul. - Jeszcze się zobaczymy, tego możesz być pewien.

Gideon trzymał pistolet wycelowany w głowę Lucy, aż dotarliśmy do drzwi wejściowych.



Przez cały czas liczyłam się z tym, że dogoni nas tamten Frank, ale nikt się nie pojawił. Nigdzie nie było także widać mojej praprababki.

- Nie wolno wam dopuścić do tego, by krąg został zamknięty - powiedziała z naciskiem Lucy. - I nie wolno wam już nigdy więcej odwiedzać w przeszłości hrabiego. Przede wszystkim Gwendolyn nie może się z nim spotkać.

- Po prostu jej nie słuchaj!

Gideon był zmuszony mnie puścić. Jedną ręką trzymając pistolet skierowany na Lucy, drugą otworzył drzwi i wyjrzał na dwór. Z góry dobiegł nas gwar głosów. Spojrzałam bojaźliwie na schody. Tam na górze było trzech mężczyzn i jeden pistolet i niech już tam sobie pozostaną. ,

- Już się z nim spotkałam - oznajmiłam. - Wczoraj...

- Och, nie. - Twarz Lucy zrobiła się jeszcze o ton bledsza. -Czy on zna twoją magię?

- Jaką znów magię?

- Magię kruka - powiedziała Lucy.

- Magia kruka to tylko mit - warknął Gideon.

Złapał mnie za rękę i pociągnął na zewnątrz. Po naszej dorożce nie było nawet śladu.

- To nieprawda! I hrabia o tym wie!

Gideon wciąż jeszcze trzymał pistolet wycelowany w głowę Lucy, ale jego spojrzenie błędziło teraz po oknach na pierwszym piętrze. Prawdopodobnie stał tam ten Frank z pistoletem. Dzięki daszkowi nad drzwiami ciągle jeszcze byliśmy bezpieczni.

- Poczekaj - powiedziałam do Gideona. Popatrzyłam na Lucy. W jej dużych niebieskich oczach załśniły łzy i z jakiegoś powodu trudno było mi jej nie uwierzyć. - Dlaczego jesteś taki pewien, że oni nie mówią prawdy, Gideonie? - spytałam cicho.

Przez chwilę patrzył na mnie poirytowany. Jego oczy płonęły.

- Bo jestem pewien - wyszeptał.

- Wcale na to nie wygląda - powiedziała Lucy łagodnie. -Możecie nam zaufać.

Czy naprawdę mogliśmy? Dlaczego więc dokonali rzeczy niemożliwej i złapali nas tutaj? Kątem oka dostrzegłam cień.

- Uwaga! - wrzasnęłam, ale Millhouse był już o krok. Gideon obrócił się w ostatnim momencie, gdy potężny lokaj zamierzał się do ciosu.
- Millhouse, nie! - To był głos Paula od strony schodów.
- Biegnij! - krzyknął Gideon i w ułamku chwili podjęłam decyzję. Ruszyłam biegiem tak szybko, na ile było to możliwe w botkach na obcasach. Z każdą sekundą spodziewałam się odgłosu wystrzału.
- Porozmawiaj z dziadkiem! - zawołała za mną Lucy. - Spytaj go o zielonego jeźdźca!

Gideon dogonił mnie dopiero za następnym rogiem.

- Dzięki - wysapał i schował pistolet. - Byłoby kiepsko, gdybym go stracił. Tędy.

Obejrzałam się przez ramię.

- Gonia nas?
- Nie sędzę - powiedział Gideon. - Ale na wszelki wypadek powinniśmy się pospieszyć.
- Skąd się nagle wziął ten cały Millhouse? Przez cały czas patrzyłam na schody.
- Zapewne w tym domu są jeszcze jedne schody. Też o tym nie pomyślałem.
- A gdzie jest Strażnik z dorożką? Przecież miał na nas czekać.
- A skąd ja mogę wiedzieć? - wysapał Gideon, z trudem łapiąc oddech.

Ludzie na chodnikach patrzyli na nas zdziwieni, gdy mijaliśmy ich biegiem, ale do takich spojrzeń zdążyłam się już przyzwyczaić.

- Kim jest zielony jeździec?
- Nie mam pojęcia - odparł Gideon.

Zaczynałam dostawać kolki. Takiego tempa długo nie wytrzymam. Gideon skręcił w wąską uliczkę i wreszcie zatrzymał się przed wejściem do jakiegoś kościoła.

Na tablicy widniał napis „Holy Trinity”, Święta Trójca.

- Co tu będziemy robić?
- Wyspowiadamy się - powiedział Gideon.

Rozejrzał się wokół, nim otworzy! ciężkie wrota, a potem wepchnął mnie do środka i zamknął! je za nami.

Natychmiast otoczyły nas półmrok, wszechobecna cisza, woń kadzidła i ów odświętny nastrój, jaki ogarnia człowieka, gdy tylko przekroczy próg świątyni.

To był ładny kościół z kolorowymi witrażami w oknach, jasnymi ścianami z piaskowca i ołtarzykami, na których cicho i spokojnie płonęły małe świece, a każda z nich była modlitwą lub dziękczynieniem.

Gideon poprowadził mnie przez boczną nawę do starego konfesjonału, odsunął na bok zasłonkę i wskazał mi miejsce w środku.

- Chyba nie mówisz poważnie? - wyszeptałam.

- Ależ tak. Ja sobie teraz usiądę obok ciebie i poczekamy, aż z powrotem przeskoczmy w czasie.

Oszołomiona zajęłam miejsce. Gideon zaciągnął mi przed nosem zasłonkę. Chwilę później odsunął się niewielki zakratowany wizjer z boku konfesjonału.

- Wygodnie?

Stopniowo odzyskiwałam oddech, a moje oczy zaczynały się przyzwyczajać do mroku.

Gideon spojrzał na mnie z udawaną powagą.

- No, moja córko. Pozwól, że podziękujemy Panu za schronienie w domu Jego.

Wlepiłam w niego wzrok. Jak on mógł być taki wyluzowa-ny, żeby nie powiedzieć: beztroski? Przecież dopiero co przeżył potworny stres. Do diabła, przystawiał mojej kuzynce pistolet do głowy! Przecież to nie mogło nie zrobić na nim wrażenia!

- Jak możesz sobie teraz stroić żarty? Zmieszał się. Wzruszył ramionami.

- A masz jakiś lepszy pomysł?

- Tak! Na przykład moglibyśmy zastanowić się nad tym, co się właśnie wydarzyło! Dlaczego Lucy i Paul twierdzą, że ktoś wyprał ci mózg?

- A skąd ja mam to wiedzieć? - Przejechał dłonią po włosach i dostrzegłam, że ręka mu lekko drży. A więc nie jest takim twardzielem, za jakiego chciałby uchodzić. - Chcieli cię wyprowadzić z równowagi. Mnie też.

- Lucy powiedziała, że mam zapytać dziadka. Pewnie nie wie, że on nie żyje. - Pomyślałam o oczach Lucy pełnych łez. - Biedactwo. To musi być straszne już nigdy nie zobaczyć całej swojej rodziny w przyszłości.

Gideon milczał. Przez szczelinę w zasłonce wyjrzałam do prezbiterium. Mały gargulec, sięgający mi może do kolan, ze spiczastymi uszami i śmiesznym jaszczurkowatym ogonem, wyszedł w podskokach z cienia pod kolumną i patrzył na nas. Szybko spojrzałam w drugą stronę. Jeśli zauważy, że go widzę, będzie namolny. Duchy-gargulce potrafią być strasznie uciążliwe, wiedziałam to z doświadczenia.

- Jesteś pewien, że możesz ufać hrabiemu de Saint Germain? - zapytałam, podczas gdy gargulec zbliżał się do nas w podskokach. *t*

Gideon wziął głęboki oddech.

- On jest geniuszem. Odkrył rzeczy, których nie odkrył żaden człowiek przed nim... tak, ufam mu. Niech Paul i Lucy myślą, co chcą, ale są w błędzie. - Westchnął. - W każdym razie jeszcze niedawno byłem tego zupełnie pewien. Wszystko wydawało się logiczne.

Mały gargulec najwidoczniej stwierdził, że jesteśmy nudni. Wspiął się po kolumnie i zniknął na prospekcie organowym.

- A teraz już takie nie jest?

- Wiem tylko, że panowałem nad tym wszystkim, póki ty się nie pojawiłaś - rzekł Gideon.

- Nie chcesz mnie chyba obarczyć odpowiedzialnością za to, że po raz pierwszy w życiu nie wszyscy tańczą tak, jak im zagrasz!

Podniosłam brwi dokładnie tak samo, jak widziałam to u niego. To było naprawdę świetne uczucie. Nieomal się uśmiechnęłam, tak byłam z siebie zadowolona.

- Nie! - Potrząsnął głową i westchnął. - Gwendolyn, właściwie dlaczego z tobą wszystko jest bardziej skomplikowane niż z Charlotta? - Pochylił się do przodu, a w jego oczach zobaczyłam coś, czego do tej pory nigdy nie widziałam.

- Aha. I rozmawialiście dzisiaj o tym na szkolnym boisku? -zapytałam urażona.

A niech to szlag. Właśnie podsunęłam mu doskonały pretekst. Szczeniacki błąd!

- Zazdrosna? - rzucił natychmiast, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

- Wcale nie!

- Charlotta zawsze robiła to, co mówiłem. Ty tego nie robisz. A to jest bardzo męczące. Ale też w pewien sposób zabawne. I słodkie.

Tym razem z równowagi wyprowadziło mnie nie tylko jego spojrzenie.

Zmieszana odgarnęłam sobie z twarzy kosmyk włosów. Moja durna fryzura w czasie tego długiego biegu całkowicie się rozpadła, a szpilki do włosów pewnie zaznaczyły szlak od Eaton Place aż do kościelnych drzwi.

- Dlaczego nie wracamy do Tempie?

- Bo tu jest przyjemnie. Jak wrócimy, znowu się zacznie jedna z tych niekończących się dyskusji. I szczerze mówiąc, raz chętnie daruję sobie rozkazy wuja Falka.

Ha! Teraz moja kolej.

- Niezbyt fajne uczucie, prawda? Potrząsnął głową.

- Nie, właściwie nie.

Z zewnątrz, z kościelnej nawy, dobiegł jakiś dźwięk. Skuliłam się i ponownie wyjrzałam przez zasłonkę. Tylko jakaś stara kobieta zapalająca świeczkę od gromnicy.

- A co, jeśli zaraz przeskoczmy w czasie? Nie chciałabym wylądować na kolanach... hmmm... księdza, który spowiada dziecko idące do pierwszej komunii... Nie byłiby zachwyceni.

- Nie martw się. - Gideon zaśmiał się cicho. - W naszych czasach tego konfesjonału się nie używa. Można powiedzieć, że jest dla nas zarezerwowany. Pastor Jakobs nazywa go „windą do podziemi”. Oczywiście jest jednym ze Strażników.

- Ile zostało nam do przeskoku? Gideon spojrzął na zegarek.

- Mamy jeszcze czas.

- Więc powinniśmy go sensownie wykorzystać. - Zachicho-tałam. - Czy chciałbyś się wypowiedzieć, mój synu?

To mi się po prostu tak gładko wymknęło i w tej samej chwili uświadomiłam sobie z całą jasnością, co się tutaj dzieje.

Siedziałam z Gideonem, znanym wcześniej jako pan Obrzydliwiec, w konfesjonale, na początku XX wieku i flirtowałam, ile wlezie! O rany! Dlaczego Leslie nie założyła na tę okoliczność grubego segregatora ze wskazówkami?

- Tylko jeśli i ty zdradzisz mi swoje grzechy.

- Chciałbyś. - Pospiesznie zmieniałam temat, bo stąpaliśmy po zbyt kruchym lodzie. - Miałeś zresztą rację z tą pułapką. Ale skąd Paul i Lucy mogli wiedzieć, że pojawimy się właśnie dziś?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - powiedział Gideon i nachylił się nagle w moją stronę tak bardzo, że nasze nosy dzieliła odległość zaledwie paru centymetrów. W mroku jego oczy zdawały się zupełnie ciemne. - Ale może ty wiesz?

Zirytowana spiorunowałam go wzrokiem (zirytowana nawet podwójnie: przez to pytanie, ale chyba w sumie jeszcze bardziej przez tę nagłą bliskość).

- Ja?

- Może to ty jesteś tym kimś, kto zdradził Lucy i Paulowi miejsce naszego spotkania.

- Co? - Musiałam wyglądać na kompletnie osłupiałą. - Co to za bzdury? Kiedy niby miałam to zrobić? Nawet nie wiem, gdzie się ten chronograf znajduje. I nigdy w życiu nie dopuściłabym do tego, by... - urwałam, zanim jeszcze zdążyłam się wygadać.

- Gwendolyn, nie masz pojęcia, co jeszcze będziesz robić w przyszłości.

Musiałam to najpierw przetrwać.

- Równie dobrze to mogłeś być ty - powiedziałam po chwili.

- Też prawda. - Gideon przeniósł się znowu na swoją połowę konfesjonału, a w mroku rozbłysły jego zęby. Uśmiechnął się. - Myślę, że w najbliższym czasie będzie się między nami działo.

To zdanie wywołało u mnie lekki ucisk w żołądku. Perspektywa przyszłych przygód powinna w sumie napędzić mi stracha, jednak w tym momencie napęniała mnie wyłącznie dziką radością.

Tak, mogłoby być ciekawie.

Przez chwilę milczeliśmy. Wreszcie Gideon się odezwał:

- Ostatnio w powozie, kiedy rozmawialiśmy o magii kruka... pamiętasz?

Oczywiście, że pamiętałam. Każde słowo.

- Powiedziałeś, że nie mogę mieć tej magii, bo jestem tylko całkiem zwyczajną dziewczyną. Dziewczyną, jakich znasz całą masę. Takich, co zawsze chodzą razem do toalety i obgadują Lisę, która...

Jego dłoń spoczęła na moich wargach.

- Wiem, co powiedziałem. - Gideon przysunął się do mnie bardzo blisko. -1 przepraszam.

Co?! Siedziałam tam jak rażona piorunem, niezdolna się poruszyć czy choćby odetchnąć. Jego palce dotknęły ostrożnie moich warg, pogładziły mnie po brodzie i powędrowały w górę policzków, aż do skroni.

- Nie jesteś zwyczajna, Gwendolyn - wyszeptał, gładząc mnie po włosach. - Jesteś całkiem, zupełnie niezwykła. Nie potrzebujesz magii kruka, żeby być dla mnie kimś szczególnym.

Jego twarz zbliżyła się do mojej. Kiedy jego wargi dotknęły moich ust, zamknęłam oczy.

Okej. To ja sobie teraz zemdleję.

*Kroniki Strażników 24 czerwca 1912 roku*

*Słonecznie, 23 stopnie w cieniu Lady Tilney stawia się punktualnie o dziewiątej do elapsji. Ruch w śródmieściu zostaje zakłócony przez marsz protestacyjny oszalałych bab, które żądają praw wyborczych dla kobiet. Szybciej założymy kolonie na Księżycu, niż kobiety otrzymają prawa wyborcze. Poza tym żadnych szczególnych wydarzeń.*

Raport: Frank Mine, Krąg Wewnętrzny



## Epilog

*Hyde Park, Londyn*

- Te parasolki przeciwsłoneczne są naprawdę praktyczne -powiedziała i zakręciła swoją. - Nie rozumiem, dlaczego je zlikwidowano.

- Może dlatego, że tu bez przerwy pada deszcz? - Uśmiechnął się do niej. - Choć mnie się też bardzo podobają te wszystkie rzeczy. A w białej koronkowej letniej sukience naprawdę jest ci do twarzy. Stopniowo zaczynam się też przyzwyczajać do długich spódnic. To taki piękny moment, kiedy je znowu ściągasz.

- Ale ja nigdy nie przyzwyczaję się do tego, że nie mogę nosić spodni - westchnęła żałośnie. - Codziennie bardzo boleśnie odczuwam brak moich džinsów.

Dobrze wiedział, że to nie džinsy były tym, za czym naprawdę tęskniła, ale pilnował się, by tego nie powiedzieć. Przez chwilę milczeli.

Park wydawał się tak cudownie spokojny w promieniach wiosennego słońca, a miasto, które się za nim rozciągało, sprawiało wrażenie niezniszczalnego. Pomyślał o tym, że za dwa lata zacznie się pierwsza wojna światowa i że niemieckie sterowce będą zrzucić bomby na Londyn. Może wtedy będą musieli na jakiś czas przenieść się na wieś.

- Ona wygląda dokładnie tak samo jak ty - odezwała się nagle.

Od razu wiedział, o kim mówiła.

- Nie, ona wygląda tak jak ty, księżniczko. Po mnie ma tylko włosy.

- I ten sposób, w jaki przechyliła głowę, kiedy się nad czymś zastanawia.

- Jest prześliczna, prawda? Skinęła głową.

- To w sumie śmieszne. Dwa miesiące temu trzymałam ją w ramionach jako noworodka, a teraz ma już szesnaście lat i jest wyższa ode mnie o pół głowy. I tylko o dwa lata młodsza.

- Tak, to zwariowane.

- Ale w sumie odczuwam ogromną ulgę, że ma się dobrze. Tylko Nicolas... Dlaczego musiał umrzeć tak młodo?

- Białaczka. Nigdy bym nie pomyślał. Biedne dziecko, tak wcześnie stracić ojca. - Odchrząknął. - Mam nadzieję, że będzie się trzymała z dala od tego chłopaka. Mojego... hmm, bratanka czy kim tam on dla mnie jest. Trudno się połapać w tych rodzinnych koligacjach.

- To przecież nie jest takie trudne: twój pradziadek i jego prapradziadek byli braćmi bliźniakami. Czyli twój prapradzia-dek jest jednocześnie jego praprapradziadkiem. - Roześmiała się, widząc jego niepewne spojrzenie. - Kiedyś ci to rozrysuję.

- Przecież mówię, że trudno się w tym połapać. W każdym razie nie lubię tego faceta. Zauważyłaś, jak ją pouczał? Na szczęście nie daje sobie w kaszę dmuchać.

- Jest w nim zakochana.

- Nie, nie jest.

- Ależ tak.jesl. Tylko jeszcze o tym nie wic.

- A ty niby skąd miałabyś to wiedzieć?

- Och, jemu po prostu nie można się oprzeć. Mój Boże, widziałeś jego oczy? Zielone jak u tygrysa. Mnie chyba też kolana trochę zmiękły, gdy mnie tak gniewnie spiorunował wzrokiem.

- Co? Chyba nie mówisz poważnie! Od kiedy podobają ci się zielone oczy?

Roześmiała się.

- Nie bój się. Twoje oczy w dalszym ciągu są najpiękniejsze. Przynajmniej dla mnie. Ale wydaje mi się, że ona bardziej lubi zielone...

- Nie ma mowy, żeby była zakochana w tym typku.

- Ależ jest. A on jest zupełnie taki sam jak ty kiedyś.

- Co proszę? Ten... Ja ci nigdy nie rozkazywałem, nigdy w życiu!

Uśmiechnęła się.

- Chyba jednak tak.

- Ale tylko wtedy, gdy było to konieczne. - Zsunął kapelusz na tył głowy. - Niech on ją zostawi w spokoju.

- Jesteś zazdrosny.

- Tak - przyznał. - Czy to nie jest normalne? Jak go zobaczę następnym razem, powiem mu, żeby zabierał od niej łapy!

- Myślę, że w najbliższym czasie będziemy ich oboje spotykać dość często - powiedziała, teraz już bez uśmiechu. - I myślę, że mógłbyś zacząć ćwiczyć swój kunszt szermierski. Czeka nas jeszcze parę spraw.

Podrzucił swoją laseczkę i zręcznie ją złapał.

- Jestem gotów. A ty, księżniczko?

- Gotowa, jeśli i ty jesteś gotów.